

MOC CZYTANIA PRZEWODNIK PO TRIDUUM | CZYSZCZENIE KRZYŻA
CZEGO CHCEMY OD RZĄDU | PASTERZE LASU | BISKUP BOHATER | MIŁE HORRORKI
ŻYWNÓŚĆ MA PRZYSZŁOŚĆ | PENROSE: WSZECHŚWIAT I JA **NA WIELKANOC**

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 27 marca – 2 kwietnia 2024 nr 13 (3899)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl





GDAŃSK

DOBRA I POKOJU

WIELKANOC 2024

Pokoju w sercach i na świecie.
Miłości bliskich i wiernych przyjaciół.
I wiary, że wspólnie możemy czynić świat lepszym.

Życzymy w czas Wielkanocy wszystkim,
którzy mają nadzieję,
że to co złe, może się odmienić w dobre.

Aleksandra Dulciewicz

Aleksandra Dulciewicz
prezydent Gdańska

Agnieszka Owczarczak

Agnieszka Owczarczak
przewodnicząca Rady Miasta Gdańska

KS. ADAM

Boniecki: *Nie gaście nadziei*

WIELKANOC, CZYLI ŚWIĘTO ZMARTWYCHWSTANIA... Niedawno przeczytałem rozprawkę, w której to zmartwychwstanie opisane jest jako mit, jako opowieść powstała w pierwszym lub drugim wieku po Chrystusie. Tekstów z tego okresu jest niewiele i powstanie Jezusa z grobu miało zostać właśnie wtedy wymyślone – nie będę referował argumentów, wspomnę tylko, że przyjęcie tej teorii musiałoby oznaczać odrzucenie znacznej części pism uznanych przez chrześcijan za prawdziwe. Oczywiście, w powstanie z martwych trudno uwierzyć, trudno zresztą uwierzyć w wiele spraw. Zmartwychwstanie Jezusa nie jest nigdzie opisane jako wydarzenie banalne czy oczywiste. Apostołowie z trudem przyjmowali je za fakt, a wielu ludzi po prostu nie wierzyło. Pogląd kwestionujący fakt powstania z martwych Jezusa jest zresztą stary jak chrześcijaństwo.



mojej rodziny uległ kompletnej zmianie i w Mogielnicy właśnie, chyba po raz pierwszy, uczestniczyłem jako ministrant w liturgii paschalnej. Byliśmy, brat i ja, ministrantami. Wtedy ta Wielkanoc, rok chyba 1946... Coś absolutnie nowego. Niczego nie pamiętam dokładnie, ale samo liturgiczne przeżywanie święta zapisało się w pamięci.

W tym roku – ile to już lat od tego 1946 – mój brat odszedł. Ileż Wielkanocy byliśmy zupełnie gdzie indziej: on poza Polską, ja w Krakowie, w Warszawie... Ale teraz zmarł i wróciły wspomnienia tamtych lat. Byliśmy prawie równolatkami, więc do pewnego momentu wszystko robiliśmy razem, a później ta wspólnota przetrwała, choć byliśmy od siebie oddaleni setki kilometrów. Umarł w Polsce, otoczony kochającymi go bliskimi osobami. Odchodzenie, śmierć, jednak wśród najbliższych.

A jednak... Nawet jeśli dziś powtarza się w nowej wersji stare argumenty zaprzeczające zmartwychwstaniu Jezusa, chrześcijaństwo istnieje i wiara w zmartwychwstanie istnieje. Kryzysem dotknięci są wyznawcy i obrońcy tej wiary. Kwestionowane jest ich postępowanie. Kwestionowany jest stworzony w oparciu o tę wiarę system, który rzeczywiście może budzić zastrzeżenia. Bo co jest od Pana Boga, a co od ludzi? Papież Franciszek, i oczywiście nie tylko on, robi porządek w Kościele. Ale tu nie chodzi o Kościół. „Jeśli zaś Chrystus nie zmartwychwstał, to próżne jest nasze głoszenie i próżna jest nasza wiara”.

Wielkanoc jest więc świętowaniem Zmartwychwstania. Co roku niby świętujemy to samo, ale ponieważ my nie jesteśmy tacy sami, obchodzenie Wielkanocy też nie jest takie samo. Ja pamiętam np. Wielkanoc, podczas której odkryłem liturgię. To było w małym miasteczku Mogielnica. Sposób życia

Wielkanoc jest świętem nadziei. Nie tylko nadziei eschatologicznych, ale także tych doczesnych, ziemskich, ograniczonych. Nie należy ich gasić. Kto wie, może będzie lepiej, może nowy przewodniczący Episkopatu okaże się orłem, może Ukraina osiągnie swój cel, wolność, może pokusy podboju słabszych przez silniejszych okazać się nie do realizacji, bo państwa i ludzie okażą się lepsi i mądrzejsi, niż to bywało w przeszłości. Kto wie, jak będą przebiegały losy ludzkości, nie mówiąc o losach Ziemi. Jest jednak dosyć ludzi mądrych i dobrej woli, by sprawy nie obróciły się ku najgorszemu. A nawet jeśli tak się nie stanie, jeśli nie najlepszy i najmądrzejsi, ale będący ich przeciwieństwem nadal będą kierowali sprawami świata, nawet wtedy zawsze jest nadzieja na niebo, o którym nam przypominają te święta.

Alleluja. Zmartwychwstał i my zmartwychwstaniemy. Jak? Kiedy? To się okaże. © P



Nasze najważniejsze tematy omawiamy także w Podkaście Tygodnika Powszechnego

TygodnikPowszechny.pl/podcast

Zaprasza Michał Kuźmiński



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAŻYNA MAKARA



WIELKANOC

12 Wiosenna jedność przeciwieństw
PIOTR SIKORA
Od początku chrześcijaństwa między chrześcijanami toczył się spór, co właściwie świętujemy w Wielkanoc.

15 Inny, choć ten sam
ROZMOWA Z KALINĄ WOJCIECHOWSKĄ:
Gdybym mogła zdecydować o narracji na temat zmartwychwstania, to bym skończyła na pustym grobie i anielskich wyjaśnieniach.

18 Mały przewodnik po Wielkiej Nocy
MAREK KITA
Święta możemy przeżywać w poczuciu, że gdzieś na głębokim poziomie rzeczywistości klamka zbawienia zapadła.

22 Ocala Bóg, nie cierpienie
PAWEŁ RAKOWSKI SJ
Naśladowanie Jezusa nie prowadzi do cierpiętnictwa.

25 Czystczenie krzyża
RYSZARD KOZIOŁEK
Bez religii i wielkiej sztuki zostanie nam medycyna, siłownia, w przyszłości inżynieria genetyczna. I samotność cierpiących bez sensu.

29 Muzyka w Katedrze
STEFAN CHWIN
Głosy organów w nas dogasały. Wróciliśmy do domu przemienieni.



Tvoja pierwsza prenumerata na stronie 53

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

6 Zamach z konsekwencjami
ANNA ŁABUSZEWSKA**7-11 Obraz tygodnia****32-33 Czytania / Widzenia**

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

34 Polak mówi „sprawdzam”
ROZMOWA Z MARCINEM DUMĄ,
SZEFEK IBRIS: *Przez osiem lat
rządów PiS nauczyliśmy się,
że możemy czegoś wymagać od
władzy, a jej obowiązkiem jest
spełnić złożone obietnice*

38 Sto dni kampanii
MAŁGORZATA SOLECKA, PIOTR
ŚMIŁOWICZ: *Podsumujmy trzy
miesiące nowego rządu*

41 Szkoła cyfrowej higieny
ROZMOWA Z JACKIEM
PYŻAŁSKIM, EKSPERTEM
DS. EDUKACJI MEDIALNEJ
*o rozsądnym korzystaniu ze
smartfonów przez uczniów*

44 Podszepty i krzyki
MAREK RABIJ:
*W Kotlinie Kłodzkiej czas
przeszły płynnie harmonijnie
obok teraźniejszego*

■ ■ **REPORTAŻ**

48 Pomoc, czyli szkoła życia
KAROLINA PRZEWROCKA-
-ADERET: *Omar Albhaisi nie
mógł przewidzieć, że znajdą się
ludzie, którzy dla jego ratowania
zrobią tak wiele*

■ ■ **Z ODDECHEM**

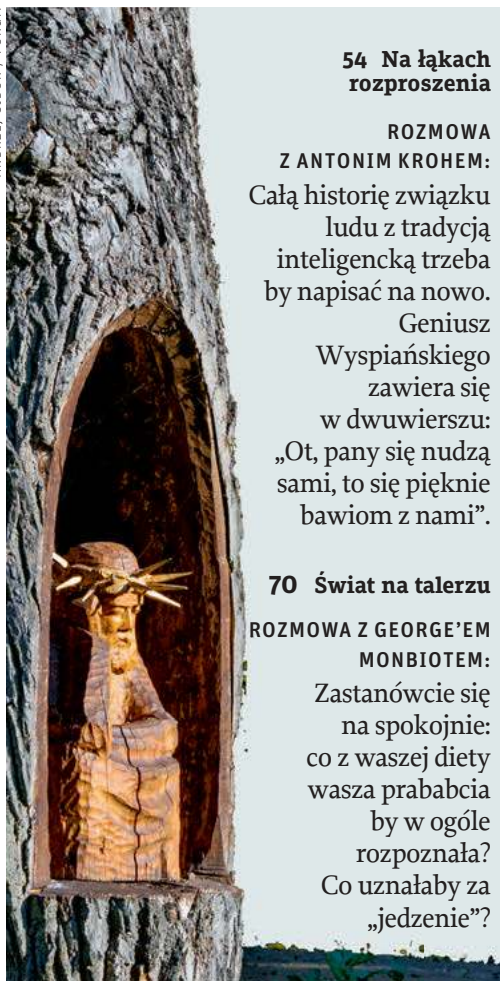
54 Na ławkach rozproszenia
ROZMOWA Z ANTONIM KROHEM

■ ■ **ŚWIAT**

58 Rumuński „złoty Orbán”
KAMIL CAŁUS *o rumuńskiej
antysystemowej prawicy*

62 Pasterze lasu
ANTONINA PALARCZYK:
*Tu ekolog nie walczy z leśnikami.
Mówi, że robią bohaterską
robotę, bo sadzą drzewa tam,
gdzie była wojna*

ANDRZEJ SIDOR / FORUM

**54 Na ławkach
rozproszenia**

ROZMOWA
Z ANTONIM KROHEM:
Całą historię związku
ludu z tradycją
inteligencją trzeba
by napisać na nowo.
Geniusz
Wyspiańskiego
zawiera się
w dwuwierszu:
„Ot, pany się nudzą
sami, to się pięknie
bawiom z nami”.

70 Świat na talerzu

ROZMOWA Z GEORGE'EM
MONBIOTEM:
Zastanówcie się
na spokojnie:
co z waszej diety
wasza prababcia
by w ogóle
rozpoznała?
Co uznałaby za
„jedzenie”?

■ **DODATEK SPECJALNY** ■**75 ANTONI BARANIAK. ARCYBISKUP
POZNANIA, WIĘZIEŃ PRL-u**■ **FELIETONY** ■

47 TOMASZ STAWISZYŃSKI **74** WOJCIECH BONOWICZ
104 OLGA DRENDĄ **105** PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
EL GRECO: CHRYSSTUS ZBAWICIEL, OK. 1610-1614 R.
W ZBIORACH MUSEUM DEL GRECO, TOLEDO / DOMENA PUBLICZNA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

**65 Mały książę i brytyjska
królowa**
WOJCIECH JAGIELSKI:
*Uprowadzony z domu, umarł
z tęsknoty 145 lat temu. Dziś
Etiopia chce sprowadzić jego prochy*

68 Afrykańskie lustro
ZBIGNIEW ROKITA: *Choć
kontynent ten zdekolonizowano
już politycznie, ciągle czeka na
dekolonizację mentalną*

■ ■ **ROZMOWA**

70 Świat na talerzu
ROZMOWA Z GEORGE'EM
MONBIOTEM

■ **NAUKA**

84 Matematyka nie zawodzi
ROZMOWA Z ROGEREM
PENROSE'EM *o teorii strun i 26
wymiarach czasoprzestrzennych*

■ ■ **KULTURA**

90 Miłego horroru
ROZMOWA Z URSZULĄ HONEK,
PISARKĄ: *Moim marzeniem jest
zamieszkanie na opuszczonej farmie.
Żeby wokół było wiele mil pustki*

94 Gdyby, gdyby, gdyby
MAGDALENA NOWICKA-
-FRANCZAK: *Laureatka
Gouncourtów, Brigitte Giraud,
wciąż zachowuje dystans wobec
literackiego parnasu*

97 Ta twarz brzmi złowrogo
ANITA PIOTROWSKA: *Co jakiś
czas któryś z reżyserów odkrywa
nieznany dotąd potencjał Madsa
Mikkelsena*

100 Chwile ukojenia
ROZMOWA Z MACIEJEM PŁAZĄ,
PISARZEM: *Kiedy czyta się
wspomnienia z początków XX
wieku, uderza poryw entuzjazmu
wobec nadchodzącej wojny*

**103 Przed herbertowską
rocznicą**
LEKTOR o „Kanonie”
Zbigniewa Herberta

■ ■ **ZMYSŁY**

106 Nie jestem operą
ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM
KLIMĄ, SZEFEK KUCHNI:
*Dziś ludzie chcą mieć taką
restaurację, do której się wraca*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Nigeria: Polowania na dzieci**

Prawie tysiąc ludzi uprowadzili w marcu handlarze „żywym towarem” z Nigerii, by wziąć za nich okup. Głównym celem są dzieci – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **„Powoli”: niekonwencjonalna love story**

Marija Kavtaradze traktuje temat aseksualności z delikatnością i humorem, nie trywializując go – dowodzi **ANITA PIOTROWSKA** | tygodnikpowszechny.pl/weekend



OBRAZ
TYGODNIA

ZAMACH Z KONSEKWENCJAMI

Czemu machina represji, która szybko rozprawia się z przeciwnikami Putina, nie zapobiegła atakowi terrorystów w Krasnogorsku? I czego można się teraz spodziewać po Kremlu?

ANNA ŁABUSZEWSKA

POWYŻEJ:

Spalony Crocus City Hall w Krasnogorsku, 23 marca 2024 r.

PIĄTKOWY WIECZÓR 22 MARCA W CENTRUM handlowo-rozrywkowym Crocus City Hall, położonym na administracyjnej granicy Moskwy i satelickiego miasta Krasnogorsk, zapowiadał się zwyczajnie. To miejsce spotkań mieszkańców stolicy, którzy żyją w swoich kokonach pod hasłem „ja się do polityki nie mieszam”. A skoro się nie miesza, to nie zwracają uwagi na zbrodniczą politykę Putina, który od dwóch lat prowadzi inwazję na sąsiedni kraj.

Nie rezygnują też z dawnych przyzwyczajęń. Także teraz wykupili komplet biletów na koncert zespołu Piknik. Sala koncertowa liczy 6200 miejsc. Gdy publiczność zajmowała fotele, na widownię wbiegło kilku mężczyzn z bronią. Zaczęli strzelać do publiczności, dobijali rannych nożami. Wybuchła panika.

Długo nie było wiadomo, co się dzieje. W rosyjskich mediach społecznościowych przez wiele godzin trwała licytacja sprzecz-

nych danych: o liczbie ofiar, przyczynach pożaru, który ogarnął Crocus City Hall, o sprawstwie zamachu.

NIENAWISTNICY Ukrainy z rosyjskiego drugiego szeregu – jak eksprezydent Dmitrij Miedwiediew czy tzw. prawosławny oligarcha Konstantin Małofiejew – od razu wskazali winowajcę. To Ukraina, którą należy zmieść z powierzchni ziemi, najlepiej z zastosowaniem broni jądrowej, żeby się już nie podniosła.

Strona ukraińska kategorycznie odrzuciła oskarżenia, jakoby miała coś wspólnego z tym atakiem. Z kolei wielu komentatorów dostrzegło w zamachu w Krasnogorsku możliwą „rękę Kremla”. Bo analogii w czasie rządów Putina można znaleźć wiele, a każdy kolejny zamach wykorzystywany był przez władze do bieżących celów politycznych, w tym do ograniczania wolności oby-

watelskich. W pierwszych komentarzach do zamachu w Crocus City Hall przewijał się zatem motyw, że Putin może użyć tego aktu terrorku jako pretekstu do ogłoszenia pełnej mobilizacji i eskalacji działań mających zmiażdżyć Ukrainę.

MIJAŁY GODZINY, a Putin nie zabierał głosu. Wprawdzie już w piątek wieczorem w mediach społecznościowych Kremla pojawiła się zapowiedź jego orędzia. Komunikat jednak szybko wycofano, tłumacząc wygenerowanie go pomyłką techniczną. Telewizje nie przerwały programów. Gdy zawałał się dach nad Crocusem, grzebiąc kolejne ofiary, telewidzowie oglądali programy rozrywkowe.

Po kilku godzinach, jeszcze w piątek wieczorem, do autorstwa zamachu przyznało się Państwo Islamskie Prowincji Chorasana – organizacja działająca w Afganistanie i mająca na koncie zamachy także w Iranie i Pakistanie. „To fejk” – napisała kapłanka kremłowskiej propagandy Margarita Simonjan w ramach budowania narracji o rzekomym „ukraińskim śladzie”.

Tymczasem prawdziwość doniesień o sprawstwie islamistów potwierdziły amerykańskie media. Przypomniały też komunikat ambasady USA w Moskwie z 7 marca, w którym ostrzegała ona Amerykanów przebywających w rosyjskiej stolicy o wysokim ryzyku zamachu ze strony islamskich terrorystów w miejscach, gdzie zbiera się dużo ludzi. Wówczas do tych przestróg odniósł się sam Putin: spotkał się z szefostwem FSB i oznajmił, że ostrzeżenia USA to próba zastraszania Rosjan. Zapewniał, że on i FSB uczynią wszystko, by obywatelom włos z głowy nie spadł.

20 GODZIN: tyle czasu musiało minąć, by w końcu Putin zwrócił się do obywateli z krótkim, pięciominutowym orędziem telewizyjnym. Powiedział, że czterech napastników zatrzymano, i że służby dosięgły też kilku ich pomocników; łącznie aresztowano jedenaście osób (media podawały początkowo, że to ludzie z tadżyckim oby-

watelstwem; potem, że to Tadżycy z rosyjskim obywatelstwem).

Dyktator zapowiedział też, że wszyscy autorzy zamachu – i zamachowcy, i zleceńodawcy – zostaną ustaleni i ukarani. Wezwał społeczeństwo do konsolidacji „w walce z międzynarodowym terroryzmem”. Wyraził też nadzieję, iż do walki tej włączy się zagranica, przynajmniej ta część, która współpracuje z Rosją i potępia terroryzm (zaznaczmy, że wcześniej oświadczenia potępiające zamach opublikowały wszystkie państwa Zachodu).

„UKRAIŃSKI ŚLAD” musiał pojawić się też w orędziu: Putin oznajmił, iż uciekający z Moskwy zamachowcy kierowali się ku granicy z Ukrainą, gdzie „strona ukraińska” miała dla nich przyszykowane „okno”, przez które mieliby przekroczyć granicę.

Na jakiej podstawie sformułował takie oskarżenia? Tego nie wiadomo. Wiadomo za to, że jeszcze w sobotę pojawiła się depesza białoruskiej agencji prasowej Belta, w której ambasador Białorusi w Moskwie pochwalił się, iż służby specjalne jego kraju pomogły służbom rosyjskim w ujęciu podejrzanych, nie dopuszczając „do ucieczki terrorystów przez naszą wspólną granicę”. Można z tego wnosić, że podejrzani chcieli uciec nie na Ukrainę, lecz na Białoruś (a stąd zapewne dalej).

CZEMU MACHINA represyjna FSB, która błyskawicznie rozprawia się z przeciwnikami wojny, nie była w stanie zapobiec zamachowi? Propaganda Kremla usiłuje zatrzeć ten blamaż. Kremlowscy propagandyści wrzucają w mediach społecznościowych drastyczne nagrania z „przesłuchań” domniemyanych terrorystów – na jednym z nich rosyjski funkcjonariusz obciął zatrzymanemu ucho i kazał mu je zjeść. Wszystkich dotkliwie bito.

Do poniedziałku rano potwierdzono śmierć 144 osób, a sto kilkadziesiąt zostało rannych. To najkrwawszy zamach terrorystyczny w Rosji od 20 lat. Czy będzie mieć jakieś kolejne konsekwencje? ©



U progu głodu

MAREK MATUSIAK

ONZ WYRÓŻNIA PIĘĆ FAZ KRYZYSU ŻYWNOŚCIOWEGO. Po ponad pięciu miesiącach wojny w Gazie jej mieszkańcy są między trzecią („kryzys”) a piątą („katastrofa”). Dotkliwy niedostatek żywności cierpi tam ponad 2 mln ludzi, a ok. 700 tys. po prostu głoduje. Najgorzej jest na północy, najbardziej zniszczonej, gdzie głodu doświadcza ponad połowa ludzi. Według palestyńskiego ministerstwa zdrowia z niedożywienia umarło już przynajmniej 23 dzieci.

Źródłem tej sytuacji jest – w sensie ogólnym – wojna, ale w wymiarze konkretnym deficyt pomocy. O ile przed atakiem Hamasu na Izrael z 7 października 2023 r. do Gazy wjeżdżało dziennie ok. 500 ciężarówek (w tym 150 z jedzeniem), po tym ataku jest to już odpowiednio tylko 90 i 60. Organizacje pomocowe podkreślają, że doszło do tego w wyniku decyzji Izraela. Polegają one zwłaszcza na ograniczaniu liczby działających przejść granicznych i liczby wpuszczanych tirów.

Osobny problem to nieprzejrzysta lista artykułów, które Izrael klasyfikuje jako „podwójnego zastosowania” (cywilnego i militarnego).

W materiale CNN wśród pozycji, z powodu których transporty są odsyłane przez Izraelczyków lub wstrzymywane, wymieniono m.in. środki znieczulające, butle z tlenem, spiwory, leki onkologiczne czy tabletki do uzdatniania wody. Sytuację pogarszają, jak zawsze w realiach wojny, spekulacja, przestępczość i prawo silniejszego.

Sekretarz generalny ONZ António Guterres uznał kryzys żywnościowy w Gazie za „całkowicie spowodowany przez człowieka”, a wysoki przedstawiciel UE ds. zagranicznych i bezpieczeństwa Josep Borrell stwierdził wprost, że Izrael „używa głodu jako broni”. Na zmianę sytuacji nie wpływa jednak ani krytyka, ani to, że Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości nakazał Izraelowi powstrzymać się od jakichkolwiek ograniczeń wobec pomocy humanitarnej. Izrael bowiem tę krytykę odrzuca. Jego szef MSZ stwierdził wręcz, że ONZ stała się „ciałem antysemitycznym i antyizraelskim, które chroni i ośmiela terrorystów”.

W tej sytuacji trudno wyobrazić sobie, by obecna trajektoria wydarzeń mogła ulec zmianie. Jeśli zaś nie ulegnie, liczba ofiar śmiertelnych tej wojny – wynosząca po stronie palestyńskiej już 32 tys. osób (cywilów i członków Hamasu) – zacznie szybko powiększać się o umierających z głodu. ©



**PROF. PAWEŁ KUBICKI,
GERONTOLOG:**

*Cieszymy się
z bonu senioralnego,
ale wymagamy
więcej*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Minister ds. polityki senioralnej
Marzena Okta-Drewnowicz
przedstawiła szczegóły
zapowiadanego przez Koalicję
Obywatelską bonu senioralnego.
Dla kogo jest przeznaczony
i na jakich zasadach będzie
przyznawany?

PAWEŁ KUBICKI: Wespzrę gospodarstwa, w których mieszka osoba z ograniczoną sprawnością powyżej 75. roku życia oraz jej pracujące dziecko, dzieci bądź inną osobę objętą obowiązkiem alimentacyjnym wobec seniora. Pomoc nie będzie w gotówce, tylko w formie usługi opiekuńczej o maksymalnej wartości odpowiadającej połowie pensji minimalnej. Oznacza to, że wymagający wsparcia senior będzie mógł – wedle dzisiejszych miar – skorzystać z usług opiekuna za nieco ponad 2 tys. zł miesięcznie. Ta opieka to aktywności codzienne, jak ubieranie się, jedzenie, czynności pielęgnacyjne, ale też kontakt z otoczeniem.

Jak Pan to świadczenie ocenia?

Jeżeli potraktujemy je jako celowaną pomoc dla części osób starszych, a równocześnie wsparcie aktywności zawodowej ich dzieci – to jest to całkiem sensowne, pomocne, a równocześnie nie tak kosztowne narzędzie.

Ale jeśli spytamy, czy rozwiąże ono całłościowo problem opieki długoterminowej, to odpowiedź będzie negatywna. Nie pomoże przecież np. niepełnosprawnym osobom między 65. a 75. rokiem życia, nie obejmie gospodarstw przekraczających próg dochodowy, nie trafi do samotnego seniora bądź dwojga seniorów bez pracujących dzieci.

Powiedziałbym tak: doceniajmy ten bon, a równocześnie domagaj-

my się kolejnego kroku, czyli zbudowania systemu usług opieki długoterminowej opartego na stabilnym finansowaniu, np. w ramach powszechnego ubezpieczenia pielęgnacyjnego.

Bo liczba wymagających pomocy seniorów będzie radykalnie rosła.

Starzenie się ludności sprawi, że do roku 2040 przybędzie nam – w zależności od kryteriów, jakie przyjmujemy do obliczeń – między 250 a 400 tys. nowych seniorów wymagających wsparcia. Stanie się tak m.in. ze względu na bardzo szybki wzrost liczby Polaków w wieku 80 plus.

Na razie brakuje, co przyznała w tym samym wystąpieniu minister, 90 tys. opiekunów.

Czy do roku 2025, kiedy bon ma ruszyć, da się taką armię ludzi wyszkolić? I czy taka praca może przyciągnąć kandydatów?

Kwalifikacje nie muszą być bardzo wysokie, szkolenia będą 30-godzinne. Mowa o opiece, a nie np. profesjonalnej kadrze pielęgnarskiej. Zakładam więc, że kandydaci się znajdą, zwłaszcza że – jak wynika z analiz rynku pracy – jest wiele osób 50 plus, które mają już doświadczenie w opiece nad osobami bliskimi, i które chętnie podejmą taką stabilną pracę zarobkową. Na pewno będzie tak np. w starzejących się i wyludniających gminach.

To kolejny powód, by pozytywnie oceniać to rozwiązanie. A równocześnie domagać się więcej. ©

DR HAB. PAWEŁ KUBICKI jest ekonomistą i gerontologiem, pracuje w Szkole Głównej Handlowej. Bada m.in. politykę publiczną wobec osób z niepełnosprawnościami i seniorów.



Kto dalej protestuje

KRZYSZTOF STORY

EFEKT NOCNYCH ROZMÓW PODCZAS EUROPEJSKIEGO Forum Rolniczego mieści się na dwóch stronach A4 i mógłby wystąpić w nowej odsłonie starego kawału. Można by przecież napisać: podpisano porozumienie rządu z rolnikami, które pomoże zakończyć protesty. Tylko zaraz trzeba dodać, że nie porozumienie, a „uzgodnienia”, że podpisali się pod nim nie ci rolnicy, co trzeba, a koniec protestów wyglądał tak, że następnego dnia ciągniki blokowały drogi w ponad 500 miejscach w całym kraju.

W „uzgodnieniach” władza zobowiązuje się nie tylko do utrzymania embarga na zboża z Ukrainy, ale wprowadzenia zakazu ich tranzytu przez Polskę. Dodatkowo rolnikom obiecano dopłaty do tony sprzedanego zboża i utrzymanie podatku rolnego na poziomie z 2023 r. oraz potwierdzonego ustępstwa w Zielonym Ładzie. Równoległe Unia zaproponowała drakońskie cła na zboża z Rosji i limity na import z Ukrainy (choć na liście objętych nimi produktów brakuje np. pszenicy).

*Lobby rolnicze zagrało va banque
i zgarnęło prawie całą pulę
– przynajmniej w sferze obietnic.*

Dlaczego więc protesty nadal trwają? W dodatku przybierają nową formę, bo poza blokadami rolnicy zapowiadają osobiste odwiedzin u polityków. Już mieli okazję przekonać się o tym rodzice Szymona Hołowni, gdy pod ich domem rozsypano obornik. Podobna niespodzianka w niedzielę czekała europosła Krzysztofa Brejły.

Po pierwsze: ruch rolniczy nie jest monolitem. Jedni podpisali porozumienie, inni uważają ich za zdrajców sprawy i fałszywych rolników. Po drugie: protesty nadal cieszą się dużym poparciem społecznym, więc politycy próbują je podsycać i wykorzystać. Bardzo stara się o to PiS, dlatego wśród rolników tak często widać działaczy Solidarności, która od dawna jest partyjną przybudówką. Efekty są mizerne, bo rolnicy dobrze pamiętają, za czyjej władzy negocjowano Zielony Ład i kto przespał temat uregulowania handlu z Ukrainą. Teraz Unia idzie na ustępstwa, więc laury spływają na obecną władzę jako zdolnych negocjatorów (co rządząca koalicja mocno podkreśla). Zyskuje też Konfederacja, która teraz zbiera żniwa z konsekwentnie od lat powtarzanego (i bardzo słabego merytorycznie) sprzeciwu wobec polityki klimatycznej oraz postulatów antyukraińskich. W ostatnich sondażach dostaje 13 proc. głosów i wyprzedza Trzecią Drogę. ©

NA PUNKTY

PRZYCISK

Stu konkretów może nie udało się zrealizować w sto dni, ale za to Donald Tusk pochwalił się stoma tysiącami subskrybentów w serwisie YouTube.

NACISK

Jacek Ozdoba może zostać pozbawiony diety poselskiej na trzy miesiące. Z trybuny sejmowej parlamentarzysta wołał pod adresem polityków KO: „Cicho tam bądź”, „naleśnik” i „king kong”.

WYCISK

„Jestem najstarszy w tym gronie i pełnię najwyższe z was funkcje i w związku z tym mogę was pouczać” – powiedział przed komisją śledczą w sprawie Pegasus Jarosław Kaczyński, ale i bez tego pannał nad sytuacją do tego stopnia, że przed jego kolejnym przesłuchaniem ma dojść do zmiany na stanowisku szefa komisji.

ODCISK

Daniel Obajtek złożył zawiadomienie do prokuratury w związku z publikacjami przez Onet stenogramów jego nagrań pozyskanych przez CBA. Portal tymczasem twierdzi, że treść wypowiedzi b. szefa Orłenu będzie go kosztowała miejsce na liście PiS do Parlamentu Europejskiego. ©P



MAREK RABIŃSKI

Z NBP przed Trybunał Stanu

OSIEM ZARZUTÓW STAWIA KOALICJA Adamowi Glapińskiemu (na zdjęciu) we wniosku o postawienie go przed Trybunałem Stanu. Skazanie równałoby się odwołaniu ze stanowiska szefa NBP.

Wśród zarzutów pojawia się m.in. nieautoryzowany przez Radę Polityki Pieniężnej skup obligacji państwowych, które następnie umarzono, żeby zmniejszyć zadłużenie. Rządzący oskarżają też prezesa o niezapobieganie szybko rosnącej inflacji oraz obniżanie stóp procentowych przed kampanią wyborczą. Brzmi poważnie, ale przypisanie mu osobistej odpowiedzialności za decyzje parafowane przez Radę Polityki Pieniężnej, której szef NBP tylko przewodniczył, będzie dla oskarżających nie lada wyzwaniem.

Dlatego prawdopodobieństwo skazania Adama Glapińskiego w postępowaniu przed Trybunałem Stanu jest niewielkie.

Wniosek może zresztą upaść w Sejmie, a jeśli przejdzie, obradami i tak z urzędu pokieruje Małgorzata Manowska, pierwsza prezes Sądu Najwyższego, która nominację zawdzięcza politykom PiS. Sojusznikiem szefa NBP w tej batalii będzie też Try-

bunał Konstytucyjny, który stoi na stanowisku, że do przegłosowania wniosku trzeba w Sejmie trzech piątych głosów, a nie zwykłej większości. Według sędziów TK samo podjęcie decyzji o postawieniu Glapińskiego przed Trybunałem Stanu nie oznacza też zawieszenia go w czynnościach.

Skazanie Glapińskiego przed końcem drugiej kadencji w NBP, czyli przed czerwcem 2028 r., z pewnością nie byłoby PiS-owi na rękę. Ale Donald Tusk wie również, że ta sprawa nie będzie mieć szybkiego rozstrzygnięcia. Groźba postawienia przed Trybunałem może jednak zachęcić prezesa do złożenia wcześniejszej rezygnacji. Gdyby rzucił kwitami, koalicja 15 października mogłaby odzyskać bank centralny w stylu o wiele lepszym od zaprezentowanego w TVP, czyli bez wchodzenia do środka „z drzwiami”.

W ostateczności zyskiem z operacji w NBP będą korzyści wizerunkowe. Rząd Donalda Tuska zrealizował dotąd najwyższą co dziesiątą ze „stu konkretów” ogłoszonych w kampanii. Skoro brakuje chleba, będą igrzyska w Trybunale Stanu. ©P



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER



Biskupi oglądają się wstecz

ARTUR SPORNIAK

TEGOROCZNY LIST BISKUPÓW do kapłanów na Wielki Czwartek zapewne nie zostałby szerzej zauważony, gdyby nie felieton Tomasza Terlikowskiego pierwotnie napisany dla portalu Deon. Rzeczowa krytyka biskupów wywołała jednak zbyt duży lęk wśród redaktorów jezuickiego portalu i tekst został odrzucony (autor opublikował go ostatecznie na stronie „Więzi”). Zadziałał nieformalny kościelny mechanizm: „Jeśli opubli-

kujemy, znowu będą nam suszyć głowę”.

Biskupi w liście kreślą dramatyczny opis sytuacji, jakby życie polskich księży było zagrożone nieustannym męczeństwem. Za kryzys Kościoła winą obarczają brak wiary wśród duchownych. A za wzór dają im biskupa z przełomu XIX i XX wieku, który zasłynął scholastycznym myśleniem o Kościele.

Wypunktowanie tych błędów wywołało refleksję nad źródłami kryzysu kapłaństwa.

Na wypalenie zawodowe i brak adekwatnej odpowiedzi na procesy społeczne wskazał ks. Andrzej Draguła. Ks. Bartosz Rajewski mówił o kłopotach z dostosowaniem duszpasterstwa do stylu życia świeckich. Dominikanin o. Tomasz Dostatni zauważył, że wiele działań stało się kontrproduktywnych. Jako przykład takiego działania ks. Grzegorz Strzelczyk wskazał list biskupów. Ks. Mirosław Tykfer protestował: „Mówienie dzisiaj o »żenicie próby« jest

diagnozą po prostu nie do zaakceptowania”. „Przeczytałem ten list. Dla mnie mowa trawa” – podsumował były prowincjał augustianów o. Wiesław Dawidowski.

Oczywiście nie jest dobrym prognostykiem dla Kościoła w Polsce to, że biskupi żyją we własnej bańce, nie potrafią zdiagnozować rzeczywistości i oglądają się wstecz. Ale pewną nadzieję niesie fakt, że mechanizm cenzury, wciąż ujawniający się u niektórych duchownych, szybko sprowokował swobodną dyskusję wśród innych. Najwyraźniej nie da się już stłumić krytycznego myślenia nawet w strukturach kościelnych. ©P



Uchodźcy z ośrodka w Widnej Górze na dworcu w Przemyślu, 19 marca 2024 r.

Romowie stracili schronienie

UCHODŹCY ■ Blisko 350 osób z ośrodka dla uchodźców w Widnej Górze na Podkarpaciu z dnia na dzień musiało opuścić schronienie. Placówka, w której mieszkaly osoby pochodzenia romskiego, została zamknięta 19 marca. O dramatycznej sytuacji alarmowała Joanna Talewicz, prezeska fundacji „W stronę dialogu”.

Ośrodek prowadzony był przez fundację Unitatem. Decyzję o jego natychmiastowym zamknięciu prezes Patrycjusz Gawel tłumaczy tak: – Doszło do poważnej awarii wodno-sanitarnej, instalacja została zablokowana, stała się skrajnie niewydolna. Nie mogliśmy zostawić ludzi bez wody, bez sanitariatów. Zamknięcie ośrodka to była decyzja konieczna.

Z oświadczenia fundacji „W stronę dialogu” wynika, że mieszkańcy ośrodka nie zostali poinformowani o tej decyzji. „Przebywające w nim rodziny z dziećmi wpadły w panikę. Zrozpaczone zdecydowały się wracać do Ukrainy. 300 osób ruszyło w stronę granicy i nie wiadomo, co się z nimi dzieje. 77 osób trafiło na dworzec w Przemyślu, gdzie spędziły noc” – relacjonowali aktywiści w mediach społecznościowych.

Joanna Talewicz uważa, że ośrodek w Widnej Górze od początku nie spełniał żadnych standardów – był przeludniony, położony w lesie, były problemy z ogrzewaniem. Pomimo naszych wcześniejszych prób prowadzący placówkę unikał kontaktu. Nasza pracownica, osoba pochodzenia romskiego, nie była

tam wpuszczana. Prezes Unitatem odiera te zarzuty: – Współpracowaliśmy z wieloma organizacjami, m.in. z UNHCR, fundację „W stronę dialogu” prosiłiśmy o plan działań, ale nigdy takiego nie dostaliśmy.

Gawel zaprzecza, że wyrzucono ludzi na bruk: – Część osób ulokowaliśmy w naszym drugim ośrodku w Jarosławiu, część zawieźliśmy na dworzec w Przemyślu. Duża grupa znalazła schronienie w Domu Ukraińskim w Przemyślu.

Talewicz podkreśla, że źródłem problemów jest brak odpowiednich procedur, co w momencie kryzysowym umożliwia podejmowanie tak radykalnych działań. Nie kryje też żalu do władz, które nadzór nad placówką sprawowały w niedostateczny sposób. Nasz główny postulat to uszczelnienie procedur dotyczących otwierania, jak i zamykania takich miejsc – mówi Talewicz. – To nie może się odbywać bez weryfikacji, tym się nie może zajmować osoba fizyczna, która wymyśli sobie np. segregację. Romowie są grupą, która nikogo nie obchodzi i to się niestety znormalizowało. Władze muszą wiedzieć, że jednak Romowie kogoś obchodzą. Nie chcemy konfliktu z władzami, chcemy współpracy, ale jako NGO musimy reagować, gdy dzieją się nieprawidłowości.

Bartosz Gubernat, rzecznik prasowy wojewody podkarpackiej Teresy Kubas-Hul, zapewnia, że urząd wszczął drobiazgowo kontrole bez zwłocznie po ujawnieniu problemu.

© P JACEK TARAN

Autobiografia papieża: historia uczuć

FRANCISZEK ■ „Sięganie do historii życia to nie tylko wspomnianie, ale także przekazywanie ważnych rzeczy tym, którzy nas słuchają” – napisał Franciszek w zakończeniu książki „Życie. Moja historia w Historii”, która w ubiegłym tygodniu trafiła do księgarni w kilkunastu krajach (premiera polskiej wersji zapowiadano na 10 kwietnia).

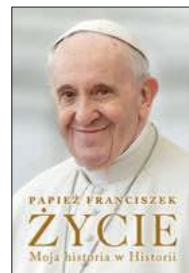
– To pierwsza autobiografia papieża – mówi „Tygodnikowi” Fabio Marchese Ragona, włoski dziennikarz telewizyjny, współautor. – Franciszek dyktował mi swoją historię, ja nagrywałem, spisywałem, redagowałem i wysyłałem mu gotowy rozdział. On oddzwaniał i mówił, co chciałby zmienić albo dodać.

Trudno się dziwić, że autobiografię 88-letniego człowieka traktuje się jak pożegnanie i testament, nawet jeśli autor zapewnia, że nie ma zamiaru abdykować ani umierać, bo zdrowie mu dopisuje. Sam papież nie ukrywa, że opowieść o życiu jest dla niego okazją, kto wie, czy nie ostatnią, opowiedzenia o wszystkim, co najważniejsze.

Osią konstrukcyjną książki jest trzynastcie wydarzeń – od wybuchu II wojny światowej po pandemię COVID-19 – wokół których Franciszek buduje narrację biograficzną, jednocześnie przekazując własną wizję świata, społeczeństwa, polityki, Kościoła. Połączenie bogatej w szczegóły historii osobistej z refleksją na najważniejsze tematy nie zawsze jest udane – raz brzmi naturalnie (jak w rozdziałach o wojnie, Holokauście czy wyścigu zbrojeń), to znów łamie się pod ciężarem dokładanych na siłę wątków (pretekstem do rozważań o aborcji, *in vitro* czy macierzyństwie zastępczym jest lądowanie człowieka na Księżycu).

Nie ma w książce informacji o życiu papieża, których byśmy nie znali (może poza kilkoma drobnymi a smacznymi szczegółami). Nie ma też wypowiedzi czy opinii, które by nas zaskoczyły. Ważne jest zatem nie tyle to, co papież mówi (lub co skrętnie pomija), ale sposób, w jaki buduje swoją opowieść.

Franciszek nie jest teologiem ani filozofem. Jego domeną nie jest refleksja – nie niesie go myśl, jak Benedykta XVI, ani słowo, jak Jana Pawła II. Jest praktykiem – szybko zmierza do pointy, morału, apelu o działanie. Jego wspomnienia oparte są na twarzach napotkanych ludzi i malujących się na nich uczuciach. Są historią emocji, doświadczonych lub dostrzeżonych – radości, żalu, czułości, delikatności, troski. Bo emocje – mówi papież – zmieniają ludzi. Tak jak zmieniały jego. © P EDWARD AUGUSTYN





Jedno ze stoisk na 13. Krakowskim Festiwalu Komiksu, 23-24 marca 2024 r.

Festiwal Komiksu: człowiek szczur i manga ze Śląska

KULTURA ■ Kiedy Tomasz Niewiadomski rysuje dla mnie charakterystyczną postać w pelerynie, można odnieść wrażenie, że cienkopis wędruje po kartce samoczynnie, bez angażowania myśli i woli autora. Nic dziwnego – wyczarowany właśnie Ratman narodził się dokładnie trzydzieści lat temu na łamach „Nowej Fantastyki” i miał od tamtej pory z Niewiadomskim mnóstwo przygód. Poza podróżami w kosmos i na dno morza, odwiedzał bohaterów szkolnych lektur i popkultury – od Koziołka Matołka, przez kapitana Klossa po King Konga.

Trzeci tom zbierający przygody dalekiego krewnego Myszkę Miki miał premierę na odbywającym się w miniony weekend 13. Krakowskim Festiwalu Komiksu, a jego autor otrzymał z rąk organizatorów wyróżnienie za całokształt pracy twórczej. Dziś plansze Niewiadomskiego można oglądać na specjalnej wystawie w Muzeum Komiksu.

W pokoleniu milenialsów, którego dzieciństwo przypadło na lata 90., to właśnie m.in. Ratman, obok Thorgala, bohaterów Dragon Balla czy Tytusa, Romka i A'Tomka, może budzić największe emocje.

– Wbrew pozorom komiksy przyciągają dziś czytelników w średnim wieku, z nostalgia powracających do klasyki gatunku – mówi „Tygodnikowi” bibliotekarka ze Śląska Magdalena Wróbel. Nieco inaczej jest

z najnowszymi polskimi tytułami, które – jak przyznaje ilustratorka Marta Falkowska – wydają się milenialsom smutne, pokracczne albo nawet brzydkie. Odmienne na współczesny komiks patrzą na szczęście młodszy czytelnicy, otwarci na łączenie stylów i gatunków.

Przykład? Coraz większą popularnością cieszą się polskie zeszyty w stylu mangowym. Ciekawym przejawem tego trendu jest nowy album Katarzyny Witerscheim oparty na biografii dziedziczki fortuny górnośląskiego przedsiębiorcy, Karola Goduli. Podczas krakowskiego festiwalu premierę miał śląski przekład rozgrywanej się w XIX-wiecznym Bytomiu „Heleny Wiktorii”. Bohaterka Witerscheim, mimo swojego pochodzenia, ma urodę japońskich koleżanek i charakterystyczne dla nich „wielkie oczy”, dzięki czemu zdobywa spore grono wielbicieli także za granicą, w popularnych serwisach (tzw. webtoonach) dla czytelniczek i czytelników z całego świata.

Wedle danych Biblioteki Narodowej powieści graficzne mają się w Polsce coraz lepiej: tylko w ciągu dekady liczba wydawanych tytułów wzrosła czternastokrotnie. Komiks doczekał się też kilku ważnych nagród literackich, ma swoje targi, wypożyczalnie i sklepy internetowe, a także – organizowany wyłącznie w bibliotekach – Festiwal Komiks Out. Kilka miesięcy temu otwarto w Łodzi Centrum Komiksu i Nacjacji Interaktywnej, którego stała wystawa poświęcona jest stoletniej tradycji polskich historii obrazkowych.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Jest nadzieja dla słowackich środowisk prozachodnich

SŁOWACJA ■ Ivan Korčok, były szef MSZ i kandydat obywatelski, wygrał pierwszą turę wyborów prezydenckich. To szansa na powstrzymanie premiera Roberta Fico w zawłaszczaniu państwa.

Na Korčoka głosowało 42,5 proc. wyborców, a na kandydata obozu rządzącego Petera Pellegriniego 37 proc. (Pellegrini to lider współrządzą-

cej partii Hlas). Taka przewaga Korčoka jest zaskoczeniem, bo choć sondaże wskazywały, że ta dwójka przejdzie do drugiej tury, faworytem był Pellegrini. Frekwencja wyniosła prawie 52 proc. i była najwyższa od lat; Słowacy widzą, jak wysoka jest stawka.

Wynik daje nadzieję środowiskom liberalnym i prozachodnim, że nie wszystko jest dla nich stracone. Od przejęcia władzy w 2023 r. Fico zaczął kontrowersyjne działania m.in. w sądach i prokuraturze (przez opozycję nazwane „pakietem promafijnym”) oraz wymierzone w NGO-sy i media publiczne. Zmienia się też

polityka zagraniczna wobec Rosji i Ukrainy.

Zwycięstwo Pellegriniego, bliźniaczego współpracownika Fica, dałoby premierowi wolną rękę do dalszych zmian i gwarancję bezkarności dla jego środowiska, które do niedawna było w zainteresowaniu wymiaru sprawiedliwości (amnestie i prawo łaski są w gestii prezydenta). Z kolei jeśli prezydentem będzie Korčok, może blokować przynajmniej niektóre plany Fica.

Zgodnie z przewidywaniami Korčok zdobył duże miasta, pozyskał też konserwatywną Orawę i Spisz. Jednak by wygrać w drugiej turze,

musi poszerzyć swój elektorat np. o tych, którzy w pierwszej turze nie głosowali. Pellegriniemu mogą zaś pomóc głosy skrajnie prawicowych wyborców, którzy w pierwszej turze poparli Štefana Harabina (zajął trzecie miejsce z prawie 12 proc.).

Kampania przed pierwszą turą była spokojna – Pellegrini sądził zapewne, że wygraną ma w kieszeni. Teraz może się to zmienić. Jedną z kwestii spornych może stać się wojna w Ukrainie, a Pellegrini może grać na nastrojach prorosyjskich i antyamerykańskich.

Druga tura 6 kwietnia.

© PATRYCJA BUKALSKA

WIELKANOC

WIOSENNA JEDNOŚĆ PRZECIWIENSTW

Od samego początku chrześcijaństwa Wielkanoc
była najważniejszym świętem.
I od samego początku między chrześcijanami toczył się spór,
co właściwie świętujemy.

PIOTR SIKORA



→

I W pewnym sensie wszystko jest jasne. Treścią Wielkanocy, którą chrześcijanie opowiadają sobie i w którą wchodzi w czasie świątecznych celebracji, jest śmierć i zmartwychwstanie Jezusa. Warto jednak zauważyć, że opowieść ma kilka wersji, które znacznie się różnią. Nawet w przypadku tej części historii, która – wydawałoby się – dotyczy empirycznych faktów: został pojmany, skazany, umarł na krzyżu. Wystarczy porównać np. opowieści Marka i Jana. A nawet sam ich kulminacyjny moment, opis śmierci rabbinu z Nazaretu.

U Marka stoi tak: „O godzinie dziewiątej Jezus zawołał donośnym głosem: »*Eloi, Eloi, lema sabachthani*«, to znaczy: Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił. Niektórzy ze stojących obok, słysząc to, mówili: »Patrz, woła Eliasza«. Ktoś pobiegł i napełniwszy gąbkę octem, włożył na trzcinę i dawał Mu pić, mówiąc: »Poczekajcie, zobaczymy, czy przyjdzie Eliasza, żeby Go zdjąć [z krzyża]«. Lecz Jezus wydał z siebie głośny krzyk i wyzionął ducha (*exepneusen*)” (Mk 15, 34-37).

U Jana zaś czytamy: „Potem Jezus świadom, że już wszystko się dokonało, aby się wypełniło Pismo, rzekł: »Pragnę«. Stało tam naczynie pełne octu. Nałożono więc na hizop gąbkę pełną octu i do ust Mu podano. A gdy Jezus skosztował octu, rzekł: »Wypełniło się! (*tetelestai*)«. I skłoniwszy głowę, przekazał (*paredōken*) ducha” (J 19, 28-30).

Czy po lekturze obu fragmentów wiesz, Czytelniczko/Czytelniku, jaki był ostatni, przedśmiertny przeblysł przytomności Jezusa – dramatyczne poczucie opuszczenia przez Boga czy spokojna świadomość spełnienia się odwiecznego zamierzenia Ojca? Zewnętrzne okoliczności śmierci Jezusa są we wszystkich wersjach opowieści takie same. To, co się dzieje w Nim samym – co przecież jest dla wierzących znacznie ważniejsze – wydaje się różnić w zależności do tego, czy czytamy Marka, czy Jana (czy innego ewangelistę).

II Jeszcze większe różnice występują w odniesieniu do drugiego aktu historii – do tego, co stało się w dzień po szabatcie. Tu znów wersja Marka – najwcześniejsza ze wszystkich – podąża najbardziej własną drogą. Jest krótka, można ją przytoczyć w całości:

„Po upływie szabatu Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, i Salome nakupiły wonności, żeby pójść namaścić Jezusa. Wczesnym rankiem w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy słońce wzeszło. A mówiły między sobą: »Kto nam odsunie kamień od wejścia do grobu?«. Gdy jednak spojrzały, zauważyły, że kamień był już odsunięty, a był bardzo duży. Weszły więc do grobu i ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w białą szatę; i bardzo się przestraszyły. Lecz on rzekł do nich: »Nie bójcie się! Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego; powstał, nie ma Go tu. Oto miejsce, gdzie Go złożyli. Lecz idźcie, powiedzcie Jego uczniom i Piotrowi: Idzie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie, jak wam powiedziałam. One wyszły i uciekły od grobu; ogarnęło je bowiem drżenie (*tromos*) i ekstaza (*ekstasis*). Nikomu też nic nie oznajmiły, bo się bały (*ephobounto*)” (Mk 16, 1-8).

W wersji Marka nie ma tego, co w innych wydaje się najbliższe naszemu sercu – zmysłowego rozpoznania Zmartwychwstałego, pocieszenia: „nie bójcie się, to Ja jestem”, upewnienia, że pomimo dramatu Golgoty wszystko dobrze się skończyło: żyje, jest z nami, możemy Go widzieć i dotknąć. W najstarszej ewangelii jest tylko doświadczenie niepojętej, świętej tajemnicy, drżającej ekstazy odbierającej mowę. Narracje pozostałych ewangelistów są znacznie bogatsze, bardziej plastyczne, sugerują, że doświadczenie spotkania ze Zmartwychwstałym może przybrać formę widzenia jakiejś konkretnej postaci.

III Spór pierwszych chrześcijan dotyczył także tego, jak historia śmierci i zmartwychwstania Jezusa wiąże się z naszym życiem. Tak, wszyscy się zgadzali, że istnieje tu jakiś bardzo bliski związek. Związek tak ścisły, iż nadaje sens naszemu życiu i naszej wierze. Jak pisał Koryntianom Paweł z Tarsu: „Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, puste jest nasze nauczanie i pusta jest wasza wiara” (1 Kor 15, 14). Sama śmierć Jezusa – choć może poruszać emocje i wzbudzać głębokie przemyślenia o mechanizmach ludzkiej przemocy, o solidarności w cierpieniu czy o cenie wierności swoim najgłębszym przekonaniom – to zbyt mało, by nadać ostateczny sens życiu. Ten otwiera się tylko wtedy, gdy możemy mieć nadzieję, albo wręcz doświadczyć, że życie jest mocniejsze od śmierci. Tylko wtedy jest co świętować.

Ale właśnie tutaj pojawia się kolejne zasadnicze pytanie: czy naprawdę tej mocy życia możemy doświadczyć już teraz, czy zostaje nam tylko nadzieja na przyszłość? Właśnie o to rozgorzał spór między uczniami Pawła – a jego zapis także znajduje się w kanonie świętych Pism. Najłatwiej na niego trafić, zaczynając od lektury 2. Listu do Tymoteusza. Jeden z uczniów Pawła, pisząc pod imieniem swojego nauczyciela, ostrzega adresata: „Unikaj zaś światowej gadaniny; albowiem uprawiający ją coraz bardziej będą się zbliżać ku bezbożności, a ich nauka jak gangrena będzie się szerzyć wokoło. Do nich należą Hymenajos i Filetos, którzy odpadli od prawdy, mówiąc, że zmartwychwstanie już nastąpiło” (2 Tm 2, 16-18).

Naukę, która w powyższym cytacie nazwana jest gangreną, szerzyli inni uczniowie Pawła, autorzy listów do Kolosan i do Efezjan. Autor pierwszego, wcześniejszego z nich, głosi wewnętrzny, mistyczny związek chrześcijanina z Chrystusem i ogłasza współbraciom: w Chrystusie zostaliście „współpogrzebani w chrzcie, w którym też zostaliście współwskrzeszeni (dosł. *synēgerthēte* – współ-obudzeni) przez wiarę w moc Boga, który Go wskrzesił (dosł. *egeirantos ek nekron* – obudził z martwych)” (Kol 2, 11-12). Podobnie pisze autor Listu do Efezjan: „I wy byliście umarłymi w waszym błądzeniu i nietrafnych działaniach, w waszym niedysyjszym postępowaniu według doczesności tego świata, na sposób Władcy mocarstwa powietrza, to jest ducha, który działa teraz w synach buntu. Pośród nich także my wszyscy niegdyś

postępowaliśmy według pragnień naszego ciała, spełniając dążenia i pomysły ciała. I byliśmy potomstwem skłonności natury, jak wszyscy inni. A Bóg, będąc bogaty w miłosierdzie, przez wielką swą miłość, jaką nas umiłował, i to nas, umarłych w błędzeniu, razem z Chrystusem ożywił. Łaską bowiem jesteście zbawieni. Razem też wskrzesił (dosł. *synēgeiren* – obudził) i razem posadził w niebiosach – w Chrystusie Jezusie” (Ef 2, 1-6).

Autor listu do Tymoteusza, być może zwracając uwagę na niedoskonałość świata, chce podtrzymać nadzieję, że kiedyś będzie „absolutnie inaczej”. Ale autorzy listów do Kolosan i Efezjan odkryli, że „absolutnie inaczej” dośiępnę jest w głębi serca już teraz.

IV Niemożność zbudowania jednej, spójnej wielkanocnej narracji nie pozwala zapomnieć, że to święto rozpięte pomiędzy przeciwieństwami. Z jednej strony wielkie cierpienie, zdrada, niesprawiedliwość, porażka, strach i zwątpienie. Z drugiej strony – ostateczny triumf życia i miłości. Ale czyż nie taka właśnie jest nasza egzystencja na tym świecie? Czyż nie doświadczamy jednocześnie wydarzeń, które wydają się sobie przeczyć?

Tworzymy relacje, które dają nam szczęście, sens i spełnienie – ale właśnie w tych relacjach możemy zostać najgłębiej zranieni (i możemy sami najgłębiej zranić naszych bliskich). Przychodzimy na ten świat, cieszymy się życiem: każdą nową chwilą, każdym nowym doświadczeniem – ale każda taka chwila i każde doświadczenie przybliża nas do śmierci. Im bardziej jesteśmy wrażliwi i zdolni do przeżywania radości, tym bardziej jesteśmy narażeni na ból. To, co bardziej cenne, daje nam więcej szczęścia, ale jednocześnie – przez to, że z istoty przemijające i że musi zostać utracone – nieuchronnie przynosi większe cierpienie.

Każda i każdy z nas patrzy na świat z własnej, niepowtarzalnej perspektywy – i to właśnie czyni nas świadomymi podmiotami, osobami o niezastępowalnej godności. Ale z drugiej strony to właśnie nas ogranicza – każda perspektywa coś pomija, będąc z istoty wybiórczym doświadczeniem świata, nie pozwala rozpoznać absolutnej prawdy. A jednocześnie to właśnie ograniczenie – potrzeba uzupełnienia naszej perspektywy przez perspektywy innych – czyni nas otwartymi na głębokie relacje.

Nie musimy się zatem niepokoić tym, że nie sposób pogodzić wszystkich elementów i wszystkich wersji wielkanocnej historii. A nawet jeśli mamy w sobie taki niepokój – nie musimy się go pozbywać, by jednocześnie doświadczyć i bólu Wielkiego Piątku, i niepewności Wielkiej Soboty i nieogarnionej radości nadchodzącego po niej Poranka.

© PIOTR SIKORA

*Na poprzednich stronach: Grób Pański w Bazylice Dominikanów pw. Świętej Trójcy w Krakowie.
19 kwietnia 2019 r.*



Fra Angelico, „Zmartwychwstanie Chrystusa”, 1438-1447, fragment fresku z celi klasztoru św. Marka we Florencji

Inny, choć ten sam

PROF. KALINA WOJCIECHOWSKA, BIBLISTKA:

Gdybym mogła decydować o narracji na temat zmartwychwstania, to bym skończyła na pustym grobie i anielskich wyjaśnieniach.

ZUZANNA RADZIK: Zmartwychwstanie wydarza się bez świadków.

Czy możemy je zrozumieć dzięki temu, co zapowiadano przed i co wydarzyło się po nim?

KALINA WOJCIECHOWSKA: Raczej to ono jest osiłą interpretacyjną wydarzeń, które miały miejsce przed i po. W momencie zmartwychwstania inne wydarzenia zaczynają być rozumiane, układają się w logiczny ciąg. Jasne stają się zapowiedzi i gesty Jezusa, które wcześniej były skandalizujące (np. oczyszczenie świątyni) czy uznane za bluźnierstwo (zapowiedź, że zburzy świątynię i w trzy dni ją odbuduje). Zmartwychwstanie rzuca nowe światło na nauczanie i dzieła Jezusa, które teraz są interpretowane w duchu rezurekcyjnym i pozwalają zrozumieć, kim On był naprawdę.

I wtedy wszystko staje się jasne?

Tożsamość Jezusa staje się bardziej zrozumiała, ale zrozumienie, kim jest Jezus, to cały czas proces. W opisach ewangelicznych wciąż nie pojawia się pełne wyjaśnienie, kim jest Jezus zmartwychwstały.

A sprawa komplikuje się, bo zmartwychwstania nikt nie widział.



→ To prawda. Na pewno samego wydarzenia nie widzieli nawet autorzy ewangelii. Oni kilkadziesiąt lat później zapisują opowieści o różnych doświadczeniach spotkania i obecności Zmartwychwstałego we wspólnocie. I dlatego opowiadają różne wersje.

Najwcześniejszy, Paweł, mówi w Pierwszym Liście do Koryntian o ukazaniu się Kefasowi, Dwunastu, więcej niż pięciuset braciom, Jakubowi, apostołom, i samemu Pawłowi. Tu jest cała kaskada spotkań. Oni wszyscy widzieli Zmartwychwstałego, czy właściwie wzbudzonego z martwych, jak sugerują greckie czasowniki. To też pokazuje pewien etap samego procesu rozumienia zmartwychwstania. Paweł nie skupia się ponadto na okolicznościach wzbudzenia z martwych, za to interpretuje to wzbudzenie z egzystencjalnej i soteriologicznej perspektywy. Zajmują go skutki zmartwychwstania dla kondycji człowieka.

Nie masz wrażenia, że nikt nie próbuje przedstawić spójnej wykładni tego, co się wydarzyło? To jakieś podchodzenie do tajemnicy i uciekanie.

W teologii często mówimy o tajemnicy zmartwychwstania. To jest cały czas zakryte jeszcze przed naszymi oczami, próbujemy chwycić to, czego elementy znamy z Nowego Testamentu. Nawet przyglądanie się Jezusowi z perspektywy zmartwychwstania jest procesem niezałożonym. I dotyczy tak samo bezpo-

średnich uczniów Jezusa, jak i każdego człowieka.

Dlatego spotkania ze Zmartwychwstałym są indywidualne, a nowotestamentowa różnorodność ich opisów dobrze to odzwierciedla. Tych pięciuset braci w Pierwszym Liście do Koryntian nie zgromadziło się w jednym miejscu i czasie, by wspólnie oglądać jakąś chrystofanię. To doświadczenie rozłożone w czasie i przestrzeni. Nie jest zarezerwowanym tylko dla najbliższych Jezusowi Dwunastu, Piotra czy Marii Magdaleny, ale uniwersalnym doświadczeniem. Mnie osobiście te teksty dotyczą w bardzo egzystencjalny sposób, bo przy całej faktografii i czasami nawet naiwności opisu spotkania ze Zmartwychwstałym, trzeba się opowiedzieć: albo przyjmuje, że Jezus zmartwychwstał i jako taki ukazuje się i żyje, albo nie. W tych nieporadnych opisach człowiek odkrywa swoje własne doświadczenia, że ten Jezus się wymyka ludzkiej percepcji i oczekiwaniom: z jednej strony jest w ciele i nie jest duchem, ale z drugiej jest nie do rozpoznania.

W jakim On jest ciele?

Teologowie różnie to sobie opowiadają. Często mówi się o ciele „przemienionym”.

Musimy sobie przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie: czy to jest ten sam Jezus, który chodził, nauczał, czynił cuda, czy to jest już ktoś zupełnie inny? Czy będziemy to dosłownie rozumieć, czy w sposób bardziej symboliczny? Jak to skonfrontować z jednej strony własnie z niezmiennością Jezusa, a z drugiej z wprowadzeniem człowieka w rzeczywistość eschatologiczną o wiele szerszą bramą niż dotychczasowa narracja o życiu Jezusa, gdzie oczywiście też pojawiają się elementy eschatologiczne związane z działaniami i naukami Mesjasza. Spotkanie ze Zmartwychwstałym, niby tym samym, a jednak innym Jezusem, jest właśnie wprowadzeniem człowieka w eschatologię, w kompletnie inną post-rezurekcyjną rzeczywistość.

Czy historia ukazywania się Jezusa jest dobrze opowiedziana?

Gdybym mogła decydować, kierując się jakością narracji, to chętnie bym skończyła na pustym grobie i anielskich wyjaśnieniach. Opowiadania o spotkaniach ze Zmartwychwstałym wszystko

komplikują. Jeśli Zmartwychwstały jest tym, którego uczniowie znają oraz o którym mówią Pisma, to dlaczego, mimo że przebywali z Nim tyle czasu, Go nie rozpoznają?

Bez sensu.

W ewangelii Marka i Łukasza pojawia się sformułowanie „a myśmy się spodziewali”, i ono dotyczy też nas oraz naszego wyobrażenia tej przyszłej rzeczywistości. Wyobrażamy sobie, jak to będzie w czasach ostatecznych, albo w tonacji sielankowej, albo apokaliptyczno-katastroficznej. Myślę, że nierozpoznanie Jezusa Zmartwychwstałego jest takim przywiązaniem do tego, czego się spodziewamy, a zwłaszcza – jak się tego spodziewamy. Trzeba wyjść ze strefy komfortu, żeby zacząć poznawać prawdziwego Zmartwychwstałego. To nie jest proste wyzwanie egzystencjalne.

Paweł o zmartwychwstaniu mówi bez szczegółów.

To zapis najwcześniejszej świadomości rezurekcyjnej, jaką mamy. Paweł odpowiada na wyzwania i pytania swoich czasów, 20 lat po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Interesuje go, jak zmartwychwstanie zmienia status człowieka. Wcześniej dla grzesznika stojącego przed Bogiem nie było nadziei. Tymczasem teraz, przez Chrystusa, nie dla własnych ludzkich zasług, ale właśnie dla zasług Chrystusa, przez łaskę człowiek został zbawiony i Bóg postrzega go jako sprawiedliwego. Paweł ma łatwiejsze zadanie, bo ma inne narzędzia do dyspozycji, nie przeprowadza dowodu, nie musi tworzyć dobrego pod względem narracyjnym opowiadania. Właściwie od faktu zmartwychwstania rozpoczyna swoją ewangelię, bo to, co pisze Paweł, też jest ewangelią. Rozważania Pawła prowadzą do tego, że narracje o Jezusie ziemskim będą się mogły rozwinąć. Ludzi zacznie nurtować pytanie, kim jest ten Jezus, który zmarł i zmartwychwstał, i usprawiedliwił w ten sposób człowieka przed Bogiem.

Pierwszym wyznawcom Chrystusa narracja historyczna nie była niezbędna, ale z czasem ważna stawała się możliwość nie tylko przywoływania tych kluczowych dla zbawienia faktów, ale też okoliczności, jakie do nich doprowadziły, i powoływanie się na naukę historycznego Jezusa.

OGŁOSZENIE

*Pełnych zaufania i nadziei
Świąt Wielkanocnych
życzą*

*Kluby „Tygodnika
Powszechnego”*



KLUBYTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

Czy kobiety wymienione przy krzyżu i pustym grobie dodają wiarygodności?

Tu dotykamy tzw. kryterium zakłopotania. Umieszczenie w tekście opowieści kobiet budzi pewien dyskomfort. Gdyby świadkami byli mężczyźni, sprawa byłaby jasna. Tymczasem wszystkie ewangelie mówią, że uczniowie uciekli – co niezbyt dobrze o nich świadczy – natomiast kobiety były do końca wierne. Synoptycy piszą, że z oddali przyglądały się ukrzyżowaniu. Kobięce świadectwo jest konieczne, bo skoro mężczyźni uciekli, ktoś musiał zostać, obserwować i przekazać to, co się stało. Kobiety zaświadczyły, że Jezus naprawdę umarł, zwłaszcza że z czasem pojawiły się różne teorie, które to kwestionowały.

Czyli muszą uwierzyć zarówno śmierć, jak i pusty grób.

Tak. Wiemy, że świadectwo kobiet nie było wiarygodne poza jednym przypadkiem: identyfikacji ciała, bo to żona lub matka najlepiej znały ciało męża czy syna. Wtedy dawano wiarę ich świadectwu. W żydowskiej tradycji świadków musi być co najmniej dwóch. W efekcie u Łukasza jest cały tłum kobiet, zarówno przyglądających się ukrzyżowaniu, jak i później będących przy grobie. Nie wszystkie są wymieniane z imienia. Inni synoptycy ograniczają się do wymienienia dwóch lub trzech świadkiń. Ślady tej tradycji są również w opowieści o Magdalenie w ewangelii Jana i chociaż ona tam pojawia się bez towarzystwa innych kobiet, to jednak przemawia w imieniu wielu.

Wiemy coś o tym, kim były?

To w sumie nie jest aż tak istotne, choć w ostatnich latach dochodzi do identyfikacji Joanny, jednej z kobiet przy grobie, z Junią wymienianą w Liście św. Pawła do Rzymian. Paweł mówi o Junii, która cieszy się poważaniem wśród apostołów, co każe pytać o powód. Gdyby Junia/Joanna była świadkinią pustego grobu jak Maria Magdalena, mogłoby to tłumaczyć jej szczególną rolę we wspólnocie.

Ale ostatecznie trudno te kobiety zidentyfikować, bo oprócz Marii Magdaleny nie są to postacie, które pojawiają się gdzieś indziej. Gdy mowa o Marii, matce Jakuba, też nie wiemy, o którego Jakuba chodzi, i kim była Salome? To były wtedy



WIKIPEDIA.ORG

KALINA WOJCIECHOWSKA jest luterąską biblistką, profesorką Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, wykładowczynią Ewangelikalnej Wyższej Szkoły Teologicznej we Wrocławiu, Stołecznego Instytutu Biblijnego oraz Ekumenicznej Szkoły Biblijnej w Łodzi.

bardzo popularne imiona, więc użyć ich bez wyjaśnienia to jak dziś powiedzieć, że świadkami kluczowego wydarzenia były Anna, Maria i Katarzyna.

A co dzieje się między pogrzebem a zmartwychwstaniem, w sobotę?

Zupełnie nie wiemy; ewangelie milczą na ten temat. Zresztą określenie „trzy dni” pomiędzy śmiercią a zmartwychwstaniem należałoby traktować symbolicznie – jako dopełnienie czegoś i nastanie nowej rzeczywistości. Po śmierci Jezusa, według chronologii synoptyków, jest szabat, więc nikt nic nie robi. Wszystko jest przygotowane, zwłaszcza że to szabat w święto Paschy. I pierwszego dnia po szabacie, czyli właśnie w niedzielę, kobiety ruszają do grobu.

Taki dramatyczny moment, a tu nic.

Nic o przeżyciach apostołów: lamente, strachu, rozczarowaniu.

Są jakieś odpryski, które każą sądzić, że faktycznie uczniowie pogrążyli się wtedy w depresji i niemocy, bo w takim stuporze trwają, gdy spotykamy ich w niedzielę. Myślę, że w sobotę już nie za bardzo mieli nadzieję, że cokolwiek się odwróci, i ten stan mógł się pogłębiać. Zaczynali się naprawdę bać, co z nimi będzie, jeżeli zostaną rozpoznani

jako ci, którzy chodzili za Jezusem, zgładzonym tak haniebnie. Ten dzień to brak nadziei, strach... Ale to wszystko są domysły.

Teologowie dopowiadają tutaj, że moment śmierci Jezusa jest rozpadem jego wspólnoty i ona się rekonstruuje jako Kościół, jako wspólnota wierząca w Zmartwychwstałego, bo go spotkała.

Ale tak naprawdę to są wszystkie rekonstrukcje na podstawie jakichś małych fragmentów, impulsów, natomiast o samej sobocie się milczy. Trochę o tym mówi tradycja Kościoła, która fragment z Pierwszego Listu św. Piotra (3, 18-22) interpretuje jako wstąpienie Jezusa do otchłani właśnie w okresie pomiędzy śmiercią na krzyżu a zmartwychwstaniem.

Czytamy, że Chrystus „poszedł i głosił ocalenie duchom zamkniętym w więzieniu, nieposłusznym wówczas”. To otwiera spekulacje, że pomiędzy śmiercią a zmartwychwstaniem Jezus wstępuje do Otchłani, Szeolu czy Hadesu, jakkolwiek identyfikować to miejsce nazwane w liście więzieniem. Trudno określić, co znaczy „głosić ocalenie duchom zamkniętym w więzieniu”. Czy to są tylko duchy niesprawiedliwe, czy to są duchy niesprawiedliwych zmarłych, bo potem jest mowa o ocalałych z potopu. W późniejszej tradycji chrześcijańskiej wychodzą oni wraz z Jezusem z tej otchłani właśnie w Wielką Sobotę.

Ale to są późniejsze próby odpowiedzi na twoje pytanie, co się działo w sobotę. W istocie niewiele wiemy. Być może wydarzenia Wielkiej Soboty należałoby tłumaczyć bardziej w duchu teologii kenotycznej? Być może Jezus, który we wszystkim stał się podobny do człowieka, czuje się opuszczony nawet przez Boga i sam traci nadzieję? On przecież woła na krzyżu: „Boże mój, czemuś mnie opuścił?”, a z przedstawień Szeolu w Starym Testamencie wynika, że to miejsce, gdzie przebywają cienie zmarłych, które są odseparowane od Boga, nie mają możliwości ani nawet nadziei na nawiązanie relacji z Bogiem. Osamotnienie i pogrążenie się w rozpacz, odebranie od Boga to najwyższy stopień kenozy, dno, od którego Jezus musi się odbić.

→

→ **Jezus wchodzi w otchłań i dopiero wzbudzenie z martwych wyciąga go z beznadziei?**

To byłoby bardzo ludzkie, egzystencjalne doświadczenie. Pokazujące nam człowieczą stronę Bogo-człowieka, jakim był Chrystus. Skoro On musi doświadczyć wszystkiego, czego doświadcza człowiek, to musi doświadczyć też takiego opuszczenia w chwili śmierci. To doświadczenie musi być takie samo jak jego współczesnych, którzy nie znali jeszcze zmartwychwstania.

Tymczasem mi Wielka Sobota mija w pośpiechu na siekaniu jajek i robieniu sałatek.

I ustaleniach, kto na którą przyjdzie na śniadanie wielkanocne.

Jak siekając sałatkę zanurzyć się w sobocie beznadziei?

Może to jest właśnie doświadczeniem naszych czasów, że przez angażowanie się w krojenie sałatek, dekorowanie mazurków i inną krzątanie, chcemy odsunąć te myśli egzystencjalne. W naszej kulturze śmierć nie jest dobrym tematem do rozmów, do refleksji. W każdy możliwy sposób od niej uciekamy. Tymczasem sobota mogłaby być dniem, w którym możemy sobie pozwolić na zwątpienie i brak nadziei. Nie oszukujemy się: nie zawsze radośnie wierzymy w zmartwychwstanie. Czasami człowiek popada w takie myśli, jakie mieli też Koryntianie: jeśli Jezus nie zmartwychwstał, to jaki to wszystko ma sens? Myślę, że sobota byłaby dobrym czasem, by te myśli do siebie dopuścić, pozwolić na nie. Chrześcijanin, który uważa się za wierzącego, może mieć takie myśli i zwątpienia. Akurat historia apostołów dobrze to pokazuje, bo oni jeszcze w nie-

dziele, słysząc o pustym grobie, mieli takie myśli.

Mamy cztery warianty zmartwychwstania z ewangelii i piąty u Pawła, ale wciąż wiemy bardzo mało.

Autorzy biblijni pewnie chcieliby nam więcej pokazać, ale nie są w stanie. Przez to jednak pozwalają każdemu indywidualnie doświadczyć spotkania ze Zmartwychwstałym.

Może i dobrze, że nam nie powie- dzieli za dużo.

Paweł pisze swoje listy 20 lat po zmartwychwstaniu, ale ewangelisci już 30, 40, 50 lat później, więc bądzmy uczciwi: sami też nic nie widzieli. Oni już te pierwsze chrystofanie znają z przekazu wspólnoty. Myślę, że opisów ukazywania się Zmartwychwstałego nie należy traktować wyłącznie dosłownie, że był widziany, ale też dużo bardziej symbolicznie. On daje się doświadczyć, daje się zobaczyć, daje się usłyszeć. Taka formuła, obecna w języku greckim, wskazuje na to, że inicjatorem tego wszystkiego jest Zmartwychwstały.

Szuka okazji do spotkania.

Pozwala się poznać, stwarza warunki do tego, żeby być poznanym.

W tym sensie nasza sytuacja nie jest bardzo inna niż tych kolejnych pokoleń, dla których ewangelisci spisują historię zmartwychwstania.

Nie, mamy po prostu trochę inną świadomość teologiczną. Żyjemy w innym kontekście, miejscu, w innych kulturach, ale tak samo możemy go doświadczyć. Doświadczenie jest tutaj słowem kluczem.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

Mały przewodnik po Wielkiej Nocy

MAREK KITA

Święta możemy przeżywać w poczuciu, że gdzieś na głębokim poziomie rzeczywistości klamka zbawienia zapadła. Możemy z tego czerpać wewnętrzny pokój w zmaganiach z losem.

CHCĄC GŁĘBIEJ PRZEŻYĆ ŚWIĘTA Wielkanocne, trzeba wyjść poza stereotyp sprowadzający je do Niedzieli Zmartwychwstania oraz „łanego poniedziałku”. Ten ostatni zresztą jest już po Świętach – stanowi dzień powszedni przedłużonego Okresu Wielkanocnego. Rok liturgiczny oferuje święte Trzy Dni (Triduum Sacrum), które możemy celebrować na sposób medytacyjny – przechodząc od powagi (nie smutku!) Piątku Męki, poprzez stan zawieszenia w Sobotę Ciszy, do dziwnego splotu wyciszenia i pieśni w kulminacyjny Wieczór i Poranek.

Te wyjątkowe dni liczymy od wieczora do wieczora, jak starożytni Żydzi. Dlatego Wielki Piątek zaczyna się czwartkowym skupieniem uwagi na Mistycznej Wieczery – nie tyle ostatniej, ile raczej ostatecznej. Chciejmy odczuć wagę faktu, że biblijne wyobrażenie spełnienia naszych losów przy Bogu to bankiet, ucztowanie ze Stwórcą. A najważniejszy obrzęd wspólnoty Jezusa to spotkanie przy stole, sakralny posiłek. Jeśli z jednej strony można zrozumieć pragnienie przeżywania tego momentu maksymalnie uroczystie, to z drugiej strony pompatyczna litur-

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 906/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Radosławie Tomaszu Walijewskim, synu Zygmunta i Marii z domu Sychowska, zmarłym w dniu 22 stycznia 2018 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



AMMAR AWAD / REUTERS / FORUM

Bazylika Grobu Pańskiego. Jerozolima, 13 kwietnia 2023 r.

gia może przeszkodzić odczytaniu samej istoty gestu Pana.

Goście Wieczery Pańskiej

Wziął chleb i go rozdzielił, później wziął kielich i puścił w obieg wokół stołu. Powiedział, że sam jest tym chlebem i winem. Jego słowo i gest znaczą: wszystko, co Moje, jest wasze i wszystko, co wasze, jest Moje. Wchodząc we wspólnotę stołu z innymi „gośćmi Wieczery Pańskiej” – będącymi, jak w słynnym filmie Bergmana, gromadą połamańców, żebrakami Ducha – wchodzimy w głęboką wspólnotę (komunię) z samym Bogiem. Wchodzimy w rzeczywistość umierania Jezusa razem z nami, żebyśmy mogli razem z Nim wstać ze śmierci.

Tak więc w czwartkowy wieczór, będący wigilią Piątku Ukrzyżowania, możemy się na nowo poczuć zaproszeni przez Jezusa do wspólnego z Nim stołu. Oczywiście, wiele osób jest poranionych nauczaniem zaciemniającym Ewangelię lub wręcz będącym jej karykaturą. Nauczono nas wykluczać siebie lub innych ze wspólnoty Mesjasza uczującego z grzesznikami. Czujemy się zbrukani tysiącem powszednich odruchów, cięży nam obwarowanie komunii świętej – posiłku Bożych biedaków – zastrzeżeniami podszytymi groźbą. Lub

na odwrót, występujemy właśnie w roli strażników świętości, której nie może tknąć nieczysty. Warto na te lęki i uprzedzenia rzucić światło bijące z Pisma.

Stół niegodnych

Kto ma prawo do uczy Jezusa, a kto „spożywa wyrok na siebie” (por. 1 Kor 11, 29), przyjmując mistyczny pokarm niegodnie? Kontekstem przestrogi, żeby nie sięgać po Chleb i Wino „nie rozpoznając Ciała”, jest w Pierwszym Liście do Koryntian opis egoistycznych zachowań na spotkaniach. Jeśli manifestuje się podziały oraz dba wyłącznie o siebie („jeden jest jeszcze głodny, drugi już pijany”), to kościelna agapa nie jest Wiecznią Pańską, nawet jeśli powtórzmy na niej słowa i gesty Jezusa z Wieczernika. Odróżnienie zwykłego posiłku od karmienia się Ciałem Pana polega nie tyle na poprawnej teologii (nie mieli jej apostołowie podczas swej „pierwszej komunii”), ile na zlekceważeniu faktu, że spotykający się wokół stołu sami są Ciałem Chrystusa. Nie wystarczy czcić Jezusa pod postacią Chleba i Wina. On czeka na uczczenie Go w siostrach i braciach, którzy są obok i w których skrycie mieszka.

Problem z godnym przyjęciem komunii ma więc przede wszystkim osoba egoistyczna i nienawistna – natomiast

w przypadku codziennych zbłążeń i potknięć może wystarczyć szczerze westchnienie: „Boże, bądź miłościwi!” (por. Łk 18, 13). Warto pamiętać, że starożytni chrześcijanie prosili o sakrament rozgrzeszenia tylko przy poważnych upadkach – natomiast świadomość bycia niegodnym komunii i żal z tego powodu właśnie od niegodności uwalniają.

Czynić na Jego pamiątkę

Wielki Czwartek z pewnością nie jest „dniem księdza”. To skandaliczne, że gest Syna Bożego, myjącego swoim uczniom stopy jak niewolnik, bywa przysławiany deklamacjami na cześć ludzi powołanych do służby, a traktowanych (i często zachowujących się) jak księżęta. Nie, wieczór Mistycznej Wieczery to moment konfrontacji z pokorą Boga i Jego darem z siebie, wyprzedzającym naszą gotowość do spotkania. Zaskoczeni objawieniem, że „nie my ukochaliśmy Boga, lecz On nas ukochał” (1 J 4, 10), możemy przeżyć doświadczenie Zacheusza – który nie przyjął Jezusa wskutek swego nawrócenia, lecz nawrócił się wskutek Jezusowych odwiedzin (por. Łk 19, 1-10).

To jest dzień Syna Bożego zastawiającego stół biedakom, przyjmowanym do Bożej rodziny. Dobrze jest (choć prawo kościelne nie przymusza) wziąć tego

→ wieczoru udział w Eucharystii. Dobrze jest odkryć moc słów skierowanych do każdej i każdego z wierzących: „To czynicie na Moją pamiątkę”. Tak, to jest powiedziane do każdego i każdej, bo chodzi o to, żeby karmić się Ciałem i Krwią (czyli konkretem człowieczeństwa) Jezusa naśladowali Jego oddanie Ojcu i ludziom – oddanie Ojcu właśnie poprzez (!) oddanie ludziom.

A po nabożeństwie lub zamiast niego (jeśli tak się ułożą okoliczności) może warto urządzić wspólnie z kilkorgiem bliskich skromną, lecz starannie przygotowaną kolację, przeżyć chwilę odnowienia wzajemnej bliskości w momencie, gdy Jezus modli się, „żeby wszyscy byli jedno, jak Ty, Ojczy, we Mnie, a Ja w Tobie” (J 17, 21). Możemy w kręgu rodziny lub przyjaciół spróbować się nawzajem przyjąć, doświadczyć więzi, przenikania się serc. A może – za przykładem Jezusa, schylającego się z miednicą i ręcznikiem do stóp apostołów – postaramy się usłużyć komuś w pobliżu na poziomie jakichś całkiem przyziemnych potrzeb?

Post i wdzięczność

Piątek Ukrzyżowania to dzień postu, którego sens łatwo zgubić. Po pierwsze, nieporozumieniem jest nazywać „postem ścisłym” zjedzenie trzech posiłków w ciągu dnia w sytuacji, gdy na świecie żyją miliony osób z trudem zdobywających (lub nie!) jeden posiłek dziennie. Można się postarać – jeśli ktoś jest w stanie – przejść tego dnia na same napoje, ewentualnie zjeść coś jeden raz. Ale nie chodzi wcale o katowanie siebie głodem

w ramach żałoby po Ukrzyżowanym. Dzień Krzyża świętujemy w powadze, lecz nie w smutku, w uproszczeniu naszych potrzeb, lecz bez prób uświadczenia masochizmu. Chodzi o uzmysławianie sobie, że żyjemy „nie samym chlebem” (por. Mt 4, 4). O świadomość własnego ubóstwa, o modlenie się poczuciem braku – o odkrycie, że jesteśmy do bólu głodni miłości. Chodzi też o współodczuwanie z wieloraką biedą świata, o którego życie walczy Chrystus.

Post przeżywany jako modlitwa poczuciem braku może dać swoistą lekkość i stworzyć przestrzeń dla kontemplacji Krzyża. Jednak wyrażenie „słowo Krzyża” (*logos tou staurou*, 1 Kor 1, 18) trzeba poprawnie odczytać. To słowo Boga, który podnosi, a nie poniza – nie przytłacza sumienia wyrzutami, lecz uzdrawia serce. Nieporozumieniem jest robienie z krzyża oskarżenia pod adresem własnym lub cudzym, epatowanie makabrą Męki, żeby się dreńczyć, że to przeze mnie. Kontemplacja Krzyża ma budzić nie poczucie winy, lecz wdzięczność istoty uratowanej. Co ważne – uratowanej nie przed gniewem Boga, lecz przed własnymi samobójczymi skłonnościami.

Sąd, lecz nie nad nami

Myślenie chrześcijan Zachodu zostało naznaczone interpretacją Odkupienia pochodzącą od Anzelmusa z Canterbury (XI w.), na dodatek upowszechnioną w wersji zwulgaryzowanej. Widzi ona w ukrzyżowaniu Jezusa karę wymierzoną Jemu zamiast nam – przez Boga, który rzekomo jest „miłosierny, ale sprawa

wiedliwy”. Miłosierdzie Ojca miałoby więc polegać na egzekucji Syna, by móc ułaskawić resztę świata. Ta potworna wizja Boga, przejętego obrazą własnego majestatu i bezwzględności w czynieniu zadość „prawu”, w gruncie rzeczy wcale nie zgadza się z przesłaniem Biblii.

Owszem, literalnie wiele tekstów mówi o Boskim karaniu (czy wręcz pomście), jednak uważna lektura całości Pism pozwala odkryć dojrzewanie intuicji, w myśl której rzekoma kara stanowi tylko (i aż) krzywdę wyrządzoną samemu sobie przez grzeszącego. Księga mówi: „Nieszczęście, którym ciska, wróci mu na głowę, a własna przemoc spadnie mu na ciemię” (Ps 7, 16); „Bóg (...) jeńców wyprowadza ku szczęściu, tylko oporni zostaną na wyschłej ziemi” (Ps 68, 7).

W Nowym Testamencie wybrzmi już wyraźnie nowina: „nie posłał Bóg swego Syna do świata, żeby osądził świat, ale żeby był uratowany/uzdrowiony (*sōthē*) świat przez Niego. (...) A to jest sądem, że Światło przyszło do świata, a ludzie ukochali raczej ciemność” (J 3, 17. 19). To nie Bóg ani Chrystus wydają wyrok, lecz wydaje go na siebie osoba uciekająca w swój wewnętrzny mrok. W przypadku świadomej konfrontacji z Jezusem takim wyrokiem jest odmowa wiary w „imię jedynego Syna Bożego” (por. J 3, 18) – które to imię brzmi przeciw: „Ratunek” (Jesza). Kto nie wierzy w ratunek i po niego nie sięga, ten ginie. To nie Bóg potępia grzesznika, lecz niszczyliśmy się sami – a Bóg wyłącznie ocala.

Logika Pisma

Zgodnie ze słowami czwartej Ewangelii zderzenie Jezusa ze śmiercią stanowiło sąd nad światem w tym sensie, że „władca tego świata będzie wyrzucony precz” (J 12, 31). Krzyż to wyrok na dyktaturę ducha mroku, skazanie ciemności na banicję, odebranie jej panowania nad ludźmi. Jeśli męka Jezusa jest zadośćuczynieniem Bożej sprawiedliwości oraz dokonaniem za nas prześlaniem, to tylko według logiki Pisma, która (jak przypomina australijski teolog Gerald O’Collins) dogłębnie zmienia sens tych wyrażen. Uważna lektura pozwala dostrzec, że to, co w Biblii nazwano prześlaniem Boga, stanowi w istocie Jego inicjatywę pojednania, do której ludzie są zapraszani. Choć my obrazamy Boga, to On ze swej strony się nie obraża – Jego imię to Miłość (por. 1 J 4, 8),

15 marca 2024 r. w wieku 88 lat zmarł

ś. †_{P.}

Stanisław Fredro-Boniecki

Nabożeństwo żałobne odbędzie się

2 kwietnia 2024 r. o godzinie 11.00

w kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie,
po czym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego
na Starych Powązkach,

o czym zawiadamiają pogrążeni w smutku i żalu

BRACIA – KS. ADAM I TADEUSZ Z RODZINĄ ORAZ SIOSTRA MARIA Z RODZINĄ

POŻEGNANIE

a miłość „nie jest drażliwa, nie podlicza zła” (1 Kor 13, 5). Krzyż to cena pojednania, lecz nie w tym znaczeniu, że Bóg wymagał czyjejś śmierci jako zadośćuczynienia lub odszkodowania.

Przypomnijmy sobie trzy przypowieści o miłosierdziu z 15. rozdziału Ewangelii Łukasza i zauważmy, że jest to zarazem wyjaśnienie, jak Bóg rozumie sprawiedliwość. Czytamy o pasterzu odnajdującym krnąbrną owcę, o gospodyni odnajdującej zgubioną monetę oraz ojcu dwóch synów, z których jeden go porzucił, lecz wraca. Za każdym razem mowa o radości z odzyskania zguby, a w historii syna marnotrawnego nie pada ani słowo na temat ewentualnego zadośćuczynienia za ojcowskie straty. Bardzo wyraźnie rysuje się przesłanie, że dla Boga sprawiedliwe jest odzyskanie relacji, której Mu niesłusznie odmówiono (por. Łk 15, 32), a nie ukaranie zerwania.

Sprawiedliwe jest, żebym znów pokochał Boga. A skoro nie jest sprawiedliwe, żebym służył grzechowi i pobierał od niego żołąd w postaci śmierci, to sprawiedliwość Dawcy życia (której On nie egzekwuje siłą) wyraża się (jak uczy apostoł) w odpuszczeniu mi grzechów (por. Rz 3, 25-26). Nie chodzi o to, że przebaczenie miałoby mi się należeć, ale że moje nawrócenie należy się Bogu. Zaczynam być sprawiedliwy, odzyskuję prawość, gdy wierzę miłości Boga ucieleśnionej w Jezusie (por. Rz 3, 22; 1 J 4, 16). Prawdziwa skrucha, zdrowy żal za grzechy kiełkuje w glebie wdzięczności.

Walka Boga

Tak więc odkupienie oznacza, że drogo kosztowaliśmy Boga, który w osobie Syna okazał nam miłość do końca (por. J 13, 1). Krew Jezusa nie była odszkodowaniem płaconym Ojcu, lecz ceną wytrwania w miłości do nieprzyjaciół. Jak uczy Pismo, na Jezusowym krzyżu została uśmiercona nasza wrogość (por. Ef 2, 16) – uśmiercona przez utopienie w przebaczeniu: „Ojczy, odpuść im, bo nie wiedzą, co robią” (Łk 23, 34). Wielki Piątek to czas na kontemplację walki Pana o nasze serca, bo Pasterz wyląwia z mroku owce zarażone wściekliwością i kłające, lecz nie wypuszcza ich z objęć. Schodzi do wszystkich ludzkich piekieł, żeby tam niepokoić serca niezłomną życzliwością (inaczej: łaską). Czwarta Ewangelia łączy z ukrzyżowaniem słowa:

„gdy będę podwyższony z ziemi, wszystkich do siebie przyciągnę” (J 12, 32).

Właśnie otwarciu się na to przyciąganie ma służyć lektura opisu Męki. Powtórzmy, nie chodzi o rozważanie tortur, lecz o kontemplację wytrwałości Chrystusa w byciu przy ludziach – a także odkrywanie, że On dzieli los wszystkich skrzywdzonych i poniżonych. Liturgiczna celebrowanie Pasji ma nas też uczyć, że choć królowanie Boga „nie jest z tego świata” (J 18, 36) – nie polega na zaprowadzaniu siłą porządku – to jednak odrzuceniu Miłości króluje naprawdę. Czytana w Wielki Piątek w kościołach Pasja według Jana została zredagowana w taki sposób, by to pokazać.

Uczestniczącym w Liturgii Męki Pańskiej, lub czytającym 18. i 19. rozdział Czwartej Ewangelii prywatnie, może się przydać jeszcze jedna uwaga. W tekście Biblii nieomylnie jest to, co opisuje stosunek Boga do ludzi i charakter relacji, do której Bóg nas zaprasza. Natomiast spisujący natchnione intuicje autorzy podlegali różnym uwarunkowaniom, odciskającym piętno na sposobie, w jaki te prawdy wyrażali. W przypadku Ewangelii Janowej jej narracja niesie w sobie echo kontrowersji między młodą wspólnotą uczniów Jezusa a dominującym nurtem judaizmu rabinicznego. Słyszac lub czytając, że wrogami Jezusa są „Żydzi”, umiemy w tym dostrzec wyraz uprzedzeń piszącego, który sam jest Żydem ekskomunikowanym z synagogi (por. J 16, 2). Nie pozwólmy, żeby ta ludzka domieszka w Boskiej Nowinie o „zbawieniu przychodzącym od Żydów” (por. J 4, 22) była pożywką dla antysemityzmu.

Ziarno w glebie

Wielka Sobota, trwająca od piątkowego wieczoru, stanowi znaczącą pauzę w liturgii Trzech Dni. Gdy chodzi o obrzędy, to nic znaczącego się nie dzieje – skupiające powszechną uwagę błogosławienie pokarmów jest w gruncie rzeczy trochę bardziej uroczystą formą modlitwy przed posiłkiem.

Mamy do czynienia z szabatem Syna Bożego, który „odpoczął po całej swej pracy, jaką wykonał” (por. Rdz 2, 2). Jest to odpoczynek po „nowym stworzeniu” (por. Ga 6, 14-15), wewnętrznym odrodzeniu świata – ale zarazem ukryta praca Zbawiciela, złożonego do ziemi jak ziarno, żeby wykiełkować w „ciele udu-

chowionym” (por. 1 Kor 15, 44). Tego dnia w Liturgii Godzin czyta się poruszającą homilię z II wieku o Chrystusie schodzącym do Hadesu i zabierającym stamtąd Adama. Myśl o działaniu Pana pod powierzchnią tego, co widać, może nas inspirować w sytuacji, gdy trzeba jeszcze dokończyć świąteczne przygotowania. Ale dajmy sobie też szansę wyciszenia, adoracji w poczuciu, że gdzieś na głębokim poziomie rzeczywistości klamka zbawienia zapadła – że w zmaganiach z losem możemy czerpać wewnętrzny pokój od Zwycięzcy mroków świata (por. J 16, 33).

Sobotni wieczór rozpoczyna już Niedzielę Zmartwychwstania i zaprasza do czuwania, czyli przeżycia właściwej Wielkiej Nocy, „jaśniejącej jak dzień” (por. Ps 139, 12). Właśnie dlatego Liturgia Wigilii Paschalnej powinna się zacząć po zachodzie słońca. Swego rodzaju nocą był już Piątek Męki, „godzina ciemności” (por. Łk 22, 53). Teraz przychodzi czas na wspólnotową medytację historii zbawienia zarysowanej w Biblii, na świętowanie chrztu nowych siostr i braci oraz odświeżenie łaski własnego zanurzenia w Duchu Świętym. To wszystko prowadzi nas ponownie do stołu Chrystusa, do celebrowania, w której krzyż i zmartwychwstanie są jednocześnie obecne. Adorujemy „Baranka stojącego jako zabity” (Ap 5, 6), czyli podniesionego ze śmierci, lecz wciąż dla nas ofiarowanego. Karminy się Tym, który tajemniczo „wypełnia wszystko we wszystkim” (por. Ef 1, 23), będąc załącznikiem absolutnej nowości istnienia.

Nocne świętowanie zmartwychwstania, które nastąpiło przed świtem i bez świadków (por. Mk 16, 2-4), ma głęboki sens, bo dotykamy czegoś, co nam się wymyka. Nie postrzegamy tego przy dziennym świetle. Jak pisał nieżyjący już francuski teolog Gustave Martelet, zmartwychwstały Jezus reprezentuje sposób bytowania przyszłego świata i nie może się manifestować w obecnej czasoprzestrzeni, bo zaburzyłby jej funkcjonowanie. Dlatego tylko się wychylił spoza horyzontu ludzkiej percepcji wobec małego grona wybranych. Wielkanocne przeżycie ma charakter poranka, jest jak chwytanie pierwszych promieni słońca, które jeszcze całkiem nie wzeszło. Kiedy wzejdzie, obecny świat przeminie i zacznie się nowy.

© MAREK KITA



LUKASZ GDAK / EAST NEWS

Kopia obrazu „Opłakiwanie Chrystusa” Andrei Mantegni przenoszona z Wielkopolskiego Centrum Onkologii do klasztoru oo. franciszkanów. Poznań, Wielka Sobota, kwiecień 2022 r.

Ocala Bóg, nie cierpienie

PAWEŁ RAKOWSKI SJ

Naśladowanie Jezusa nie prowadzi do cierpiętnictwa.

PODCZAS WIELKIEGO POSTU CZĘSTO przywołuje się słowa Jezusa: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje!” (Mk 8, 34). Czy warunkiem chrześcijańskiego życia jest bezwarunkowa akceptacja cierpienia? Czy zbawienie jest nagrodą za solidnie wycierpiane życie w imię Jezusa? Czy język oryginalny daje nam możliwość zrozumienia tego zdania inaczej? Sprawdźmy to.

Dystans do siebie

Pierwszym warunkiem pójścia za Jezusem jest „zaparcie się samego siebie”. W języku greckim wyraża to czasownik *aparneomai*, który w formie podstawowej *arneomai* spotkamy u Marka w 14, 68, gdzie czytamy, że Piotr „zaparł się” Jezusa. Według prof. Mattea Grillego („L’impotenza che salva”, Bologna 2009),

przedrostek *ap-* może zmieniać znaczenie czasownika w zależności od kontekstu, w jakim się pojawi, ale i bez tego przedrostka czasownik ten nie musi być tłumaczony jednoznacznie negatywnie. Można go np. rozumieć jako umiejętność dystansowania się wobec siebie samego i własnego ego, albo w sposób pozytywny: aby móc w wolności podjąć bardziej świadomą decyzję o pójściu za Jezusem.

Wiedząc, że starożytni nie posiadali terminologii psychologicznej, którą tak szeroko posługuje się dziś społeczeństwo zachodnie, można się tu nawet pokusić o próbę szerszego tłumaczenia czasownika *aparneomai* jako wewnętrznej pracy nad sobą w celu nabierania dojrzałego i zdrowego dystansu wobec siebie. Praca ta jest zwykle trudnym i wymagającym procesem, jednak różnym od zapierania się siebie, które w powszechnym tłuma-

czeniu jest rozumiane w sposób cierpiętniczy i wrogi wobec siebie samego.

Krzyż czy pal

Drugim warunkiem pójścia za Jezusem jest „wzięcie swojego krzyża (gr. *stauros*)”. Na tamte czasy było to nowe wyrażenie, które w literaturze judaistycznej nie pojawiło się nigdy wcześniej. Greckie słowo *stauros* oznacza również „pal”, a dyskusja na temat tego, czy Jezus umarł na krzyżu, czy na palu, co jakiś czas na nowo rozgrzewa zwolenników i przeciwników jednego lub drugiego tłumaczenia. Skoro z tekstów biblijnych nie można jednoznacznie dać odpowiedzi na pytanie, jak umarł Jezus, najwyraźniej nie ma to aż tak wielkiego znaczenia dla rozumienia naszego zbawienia. Autorów Nowego Testamentu mniej interesował opis tego, jak dokładnie wyglądał *stauros* Jezusa, a bardziej – jakie miał on znaczenie dla tych, którzy chcieli Go naśladować.

Nowotestamentalni pisarze zwykle szukali odpowiedzi o znaczenie wydarzeń z życia Jezusa, sięgając do świętych pism. Jeśli *stauros* był palem, mogli nawiązać do miedzianego węża, którego Mojżesz umieścił właśnie na palu i ustawił w obozie Izraelitów, aby ocalić od śmierci ludzi ukąszonych przez jadowite

węża (Lb 21, 9). Do tego wydarzenia odnoszą się słowa Jezusa z Ewangelii Jana: „A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego” (J 3, 14).

Jeśli *stauros* był krzyżem, autorzy ewangelii mogli pisać teksty, mając w pamięci Księgę Ezechiela – czytamy w niej o ocalałych w Jerozolimie, którzy zostali naznaczeni znakiem na czole (Ez 9, 4. 6). „Znak” po hebrajsku to *taw*, które jest również jedną z hebrajskich liter. W starym alfabecie hebrajskim *taw* to dwie przecinające się kreski, czyli krzyż. (Litery hebrajskie zmieniały wygląd na przestrzeni wieków i dziś *taw* przypomina z wyglądu krzeselko). Czym był miedziany wąż na palu? Czym było *taw* dla Ezechiela? Czy były to znaki cierpienia? Bynajmniej, były to znaki ocalenia. Prawdopodobnie każdy uczeń Jezusa, który znał Księgę Liczb lub Ezechiela, mógł w ich świetle ze znakiem *stauros* skojarzyć ocalenie, a nie cierpienie – tym razem przychodziło ono do nich przez Jezusa.

Nie bez znaczenia dla wyboru krzyża jako tłumaczenia słowa *stauros* mogłoby być również to, że po grecku Chrystus rozpoczyna się na literę *chi*, która składa się z dwóch przecinających się belek: X. A wracając do omawianego tu zdania z Ewangelii Marka – wzięcie „swojego” krzyża oznaczałoby, że przyjęcie *stauros* Jezusa jest decyzją osobistą.

Konsekwencje dla duchowości

Dlaczego tyle się rozwodzić nad pozornie prostymi w tłumaczeniu słowami? Ponieważ wybór interpretacji, jaką daje nam wieloznaczność rozumienia czasownika *aparnomai* i rzeczownika *stauros*, ma poważne konsekwencje dla chrześcijańskiej duchowości. W zależności od tłumaczenia tekst albo będzie formować duchowość cierpienniczą, czyli uwznioślającą

i romantyzującą cierpienie (w tym wrogość wobec siebie samego), albo będzie formować uczniów Jezusa potrafiących w sposób dojrzały spojrzeć na swoje życie z dystansu, aby móc przyjąć Boże ocalenie i tam, gdzie to możliwe, cierpienie skończyć, nie uszlachetniać.

Temat krzyża i cierpienia prowokować może kolejne pytanie. Skoro krzyż jest znakiem ocalenia jako takiego, a nie cierpienia, w takim razie co nas zbawia, jeśli nie cierpienie?

Najzwyczajniej decyzja Boga, że człowiek, mimo grzechu i nieprawości, nie będzie przez Niego potępiony. Ta decyzja jest niezmienna i nieodwołalna (Rz 11, 29), czego ostatecznym słowem i potwierdzeniem miało być to, co się wydarzyło Jezusowi w ostatnią Paschę, jaką spędził na ziemi. Jeśli cierpienie miało by zbawiać człowieka, to im więcej cierpienia, tym więcej zbawienia. Tymczasem Jezus nie prowokował nikogo do zadawania Mu większego bólu od tego, jakiego doznał, a nawet pozwolił to cierpienie skończyć i łagodzić – nie protestował, kiedy Szymon z Cyreny wziął krzyż, a Weronika otarła Mu twarz.

Nie ma sensu doszukiwać się tajemnej mocy fizycznego cierpienia Jezusa na krzyżu, ponieważ siła zbawienia nie czerpie z bólu. Jest wręcz odwrotnie – cierpienie jest stanem, w którym Bóg wystawił siebie samego na próbę, bo ma ono siłę łamać wolę i zmieniać decyzję. Uświadamia to trwoga, jaką Jezus przeżywał, gdy modlił się w ogrodzie oliwnym. Być może dlatego Jezus uczył swoich uczniów modlić się do Ojca „nie wprowadzaj nas w próbę” (tradycyjnie tłumaczone jako „nie wódz nas na pokuszenie”), ponieważ jedyną próbę odnośnie do zbawienia przejść miał sam Bóg w osobie Jezusa.

Skoro cierpienie nie ma magicznej mocy zbawiania, to z tej perspektywy nie ma również sensu pytać w chrześcijań-

stwie o współodkupienie, ponieważ decyzję o zbawieniu człowieka mógł podjąć tylko Bóg i tylko On mógł ją potwierdzić, wystawiając na próbę... siebie samego. Człowiek, mając wolną wolę, może tę decyzję Boga albo przyjąć, albo odrzucić, ale w żaden sposób nie może jej zmienić.

Jezus się spierał

Spór o znaczenie słów „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje!” to dobry przykład tego, jak może wyglądać przejście od tekstów ewangelii do Ewangelii, czyli Dobrej Nowiny. Nie chodziłoby tu o to, która interpretacja jest prawdziwa, bo w zasadzie każda jest prawdziwa, jeśli mieści się w tym, jakie możliwości otwiera sam tekst. Jednak nie każda interpretacja tekstu którejkolwiek z czterech ewangelii (lub jakiegokolwiek innego tekstu biblijnego) jest z automatu treścią Dobrej Nowiny. Wejście w debatę, a nawet spór o rozumienie tekstów biblijnych można śmiało nazwać „naśladowaniem Jezusa”, ponieważ znaczna część mów Jezusa to prowadzone przez Niego spory dotyczące rozumienia Pism. Jeśli któraś z interpretacji przynosi cierpienie lub nawet śmierć, nie ma ona wiele do czynienia z Ewangelią przez wielkie „E”. Zatem naśladować Jezusa to również prowadzić ożywiony spór o to, która interpretacja niesie Dobrą Nowinę.

Zbliżają się święta wielkanocne, czyli chrześcijańska pascha, która nawiązuje nie tylko do śmierci i zmartwychwstania Jezusa, ale także do wspomnienia wyjścia Izraela z niewoli w Egipcie. Słowo „Egipt” w języku hebrajskim oznacza miejsce ciasne i wąskie – takimi mogą być również biblijne interpretacje niosące niesprawdliwość, wykluczenie i cierpienie całym grupom ludzi. Z pomocą Bożą, z takich nieszczęśliwych interpretacyjnych miejsc można również wyjść – „jeśli kto chce”. ©

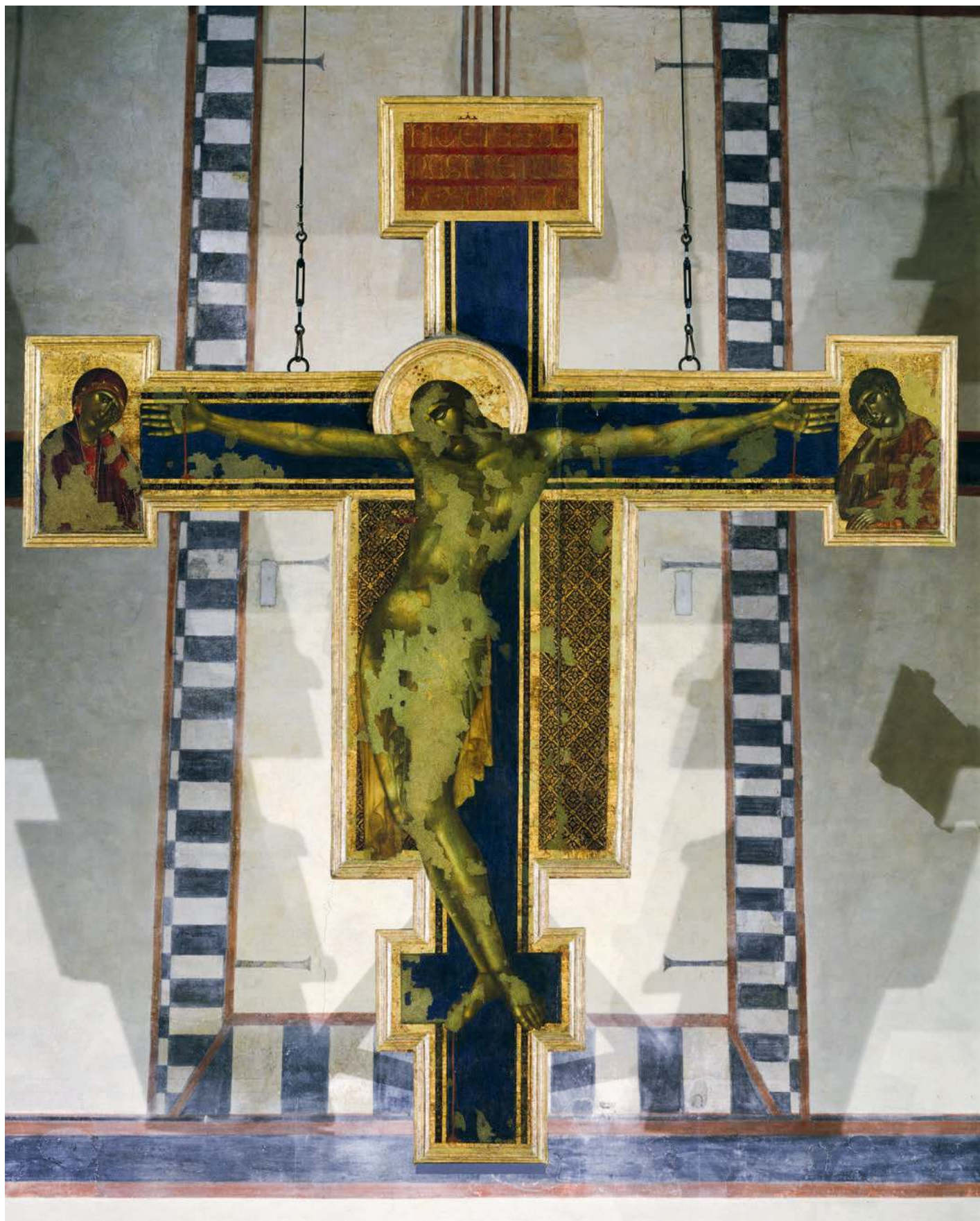
TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK:

Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego

W najbliższym numerze specjalny dodatek poświęcony Nagrodzie Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, a w nim **PREZENTACJE NOMINOWANYCH KSIĄŻEK** – w kategorii „**NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU**” oraz „**NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU**”. Zapraszamy do lektury!

PARTNER DODATKU:





Czyszczenie krzyża

RYSZARD KOZIOŁEK

Jeśli będziemy się upierać, że dobre życie to życie pozbawione cierpienia, wówczas – bez religii i wielkiej sztuki – zostanie nam medycyna, siłownia, w przyszłości pewnie inżynieria genetyczna. I samotność cierpiących bez sensu.

NIESPEŁNA OSIEM MIESIĘCY PO MOIM URODZENIU w Toskanii zaczął lać deszcz. Był tak intensywny, że w ciągu dwudziestu czterech godzin spadła na ziemię jedna czwarta całorocznych opadów w tym regionie. 4 listopada 1966 r. rzeka Arno zalała Florencję. Woda pędziła z prędkością 60 km/h, niosąc wszystko, co porwała z miejskich brzegów. Najgorsze, że mieszała błoto z olejem służącym do ogrzewania mieszkań. Gęsta ciecz zalała do wysokości kilku metrów kamienice, muzea, biblioteki i kościoły. Średniowieczne rękopisy pływały w oleistej brei, groby w Santa Croce zostały podmyte, freski, obrazy i rzeźby dryfowały oblepione kleistą mazią. Milion książek i czternaście tysięcy dzieł sztuki ucierpiało.

Było wśród nich namalowane ok. 1265 r. „Ukrzyżowanie” Cimabuego – arcydzieło malarstwa i traktat chrystologiczny w jednym. Chrystus na krzyżu jest niemal nagi, a wygięte męką ciało ma ciężar cierpiącej materii. Złoto, purpura i błękit – kolorystyczne atrybuty przyszłego triumfu zmartwychwstania – zdają się szydzić z kondycji ludzkiego ciała, degradacji i upodlenia człowieka w Bogu.

Kiedy oczyszczono krucyfiks, okazało się, że woda usunęła z niego 60 proc. malowidła. Po dziesięciu latach renowacji można znowu oglądać krzyż zawieszony w kościele Santa Croce, ale ze śladami poważnych, nieodwracalnych uszkodzeń. Ciało na krzyżu w części zniknęło. Prawa strona twarzy Chrystusa i lewa część jego sylwetki oraz liczne drobniejsze fragmenty obrazu zatarły się bezpowrotnie. Nie ośmielono się ich na powrót domalować, jakby uznając prawo natury do niszczenia dzieł ludzkich.

4 listopada 1966 r. praca twórcza wielkiego artysty i niszcząca praca natury spotkały się katastrofalnie, ale dzięki temu dokonana się przypadkowa modyfikacja wizerunku cierpiącego Chrystusa, który zyskał dla współczesnych widzów, odalonych o siedem stuleci od artysty, nową moc symboliczną.

*Cimabue „Ukrzyżowanie”,
ok. 1272/74. Obraz zniszczony podczas powodzi w 1966 r.
Museo dell'Opera di S. Croce, Florencja.*

Kaznodzieje Pasji

Żywa jest wyłącznie ta tradycja, którą zrewitalizuje teraźniejszość. Poza gigantami, jak Szekspir czy Caravaggio, którzy nadal działają na odbiorcę natychmiast, bez uprzedzenia i potrzeby tłumaczenia, ogromne obszary dawnej sztuki obojętnieją nam, upodabniając się do siebie w naszych oczach, a ich muzealny nadmiar sprawia, że kolejne Zwiastowanie, Adoracja czy Ukrzyżowanie przestaje być odróżnialne od poprzedniego. Nawet dobry przewodnik niewiele tu poradzi, bowiem nie o wiedzę o sztuce chodzi, ale o odzyskanie jej bezpośredniego oddziaływania. To współczesna sztuka cierpienia jest koniecznym wprowadzeniem do obcowania ze sztuką dawną, która pokryła się patyną baśni (dawno, dawno temu...), religijnego rytuału czy po prostu została dotknięta naszą obojętnością, wywołaną coraz bardziej niezrozumiałą przeszłością.

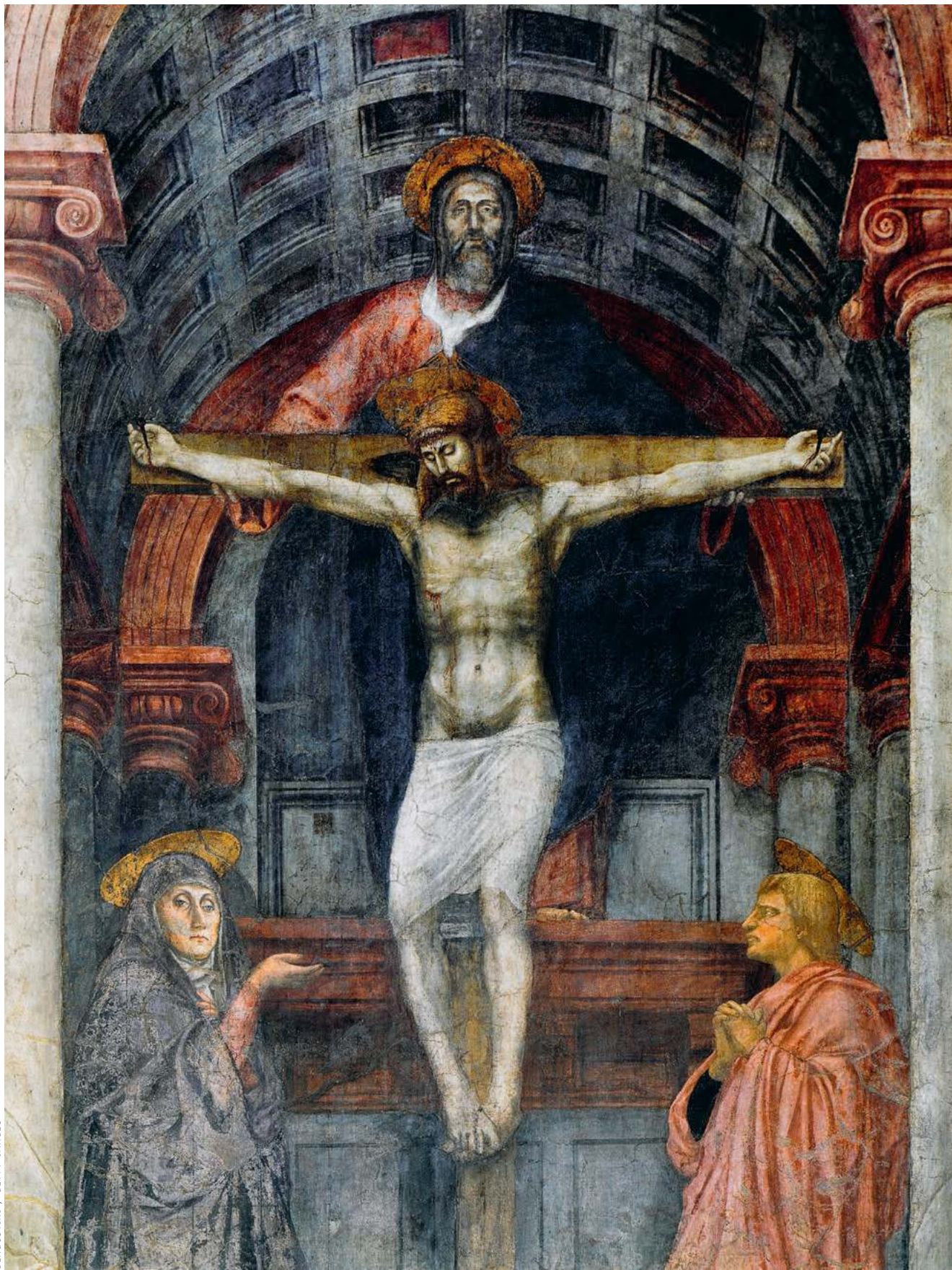
Francis Bacon – jeden z wielu malarzy zafascynowanych Krucyfiksem – pojął i przekazał w swoich „Trzech studiach do Ukrzyżowania” (1962 r.) straszną siłę studium męki, jakie przeprowadził Cimabue. Tryptyk Bacona jest duży; ciała ludzkie mają na nim naturalne rozmiary. Przypominają bardziej tusze zwierzęce niż kształty człowieka. Przyznając się do inspiracji Cimabuem podczas malowania prawego panelu, Bacon miał powiedzieć, że figura Chrystusa „przypominała mu robaka pełzającego po krzyżu”. Teologiczny dylemat „na krzyżu cierpi Bóg czy człowiek?” Bacon rozstrzygnął zgodnie z doświadczeniem człowieka XX w. Nie ma żadnej godności w cierpieniu, jakiemu poddano zgładzone miliony.

Nic dziwnego, że Tadeusz Różewicz odkrył w Baconie własną obsesję poszukiwania sposobu „renowacji” artystycznego języka cierpienia. Po wynalazku masowego uśmiercania ludzi na podobieństwo uboju zwierząt, któż ma prawo domagać się godnego uczczenia własnego cierpienia – stosownym słowem lub obrazem?

*malowałem w roku 1962
ukrzyżowanie
czasami na kacu
ledwo wiedziałem co robię
ale tym razem pomogło
Bacon osiągnął transformację
ukrzyżowanej osoby
w wiszące martwe mięso
wstał od stolika i powiedział cicho
tak oczywiście jesteśmy mięsem
jesteśmy potencjalną padliną
kiedy idę do sklepu rzeźniczego
zawsze myślę jakie to zdumiewające
że to nie ja wiszę na haku
to chyba czysty przypadek*

(T. Różewicz, „Francis Bacon czyli Diego Velázquez na fotelu dentystycznym”, fragment)

Bacon i Różewicz to nie bluźniercy. To wielcy kaznodzieje Pasji. W trosce o nasze dusze przywracają nam odzucie skandalu cierpienia na krzyżu, jako czegoś, co nigdy



→ nie powinno się przydarzyć człowiekowi. Na co inny człowiek nigdy nie powinien patrzeć.

Przemoc bez cierpienia

Im jestem starszy, z tym większą niechęcią obcuje z literacjami lub filmowymi obrazami przemocy. Dawniej fan Sergia Leone, Scorsese, Tarantina, teraz nie potrafię doczytać „Ulic Laredo” McMurtry’ego. „Grę o tron” porzuciłem po drugim sezonie; „Pasję” Gibsona omijam z daleka. Nie abym stał się taki wrażliwy. Przeciwnie: raczej niepokoi mnie moja i nasza łatwość przyswajania przemocy, tak powszechnie dostępnej we wszelkiego rodzaju przedstawieniach.

Jestem dowodem na „stępienie wrażliwości na obrazy okrucieństwa i cierpienia ludzkiego, oglądane dziś na co dzień, w warunkach tak normalnych i w ilościach tak olbrzymich, że nużą już bardziej niż szokują (nie upływa dzień bez obejrzenia tuzina trupów i morderstw na ekranach telewizyjnych – w audycjach zwanych »wiadomościami« czy tych, jakie klasyfikuje się jako przedstawienia teatralne, seriale policyjne, filmy fabularne czy programy dla dzieci)” (Z. Bauman, „Ciało i przemoc w obliczu ponowoczesności”). Dzieje się tak wtedy, gdy ze światem łączy nas tylko oko; kiedy w planie przedstawienia triumfuje przemoc, a przeżycia ofiar są nieobecne.

Trzeba przyznać, że doświadczenia bólu wcale nie poddają się łatwo opisowi, a tym bardziej wizualizacji. O wiele łatwiej podsuwać nam przed oczy ciała, na których przemoc wypisała swoje zniszczenia, a to tylko sprzyja naszej pozycji widza. Fakt – pisała Susan Sontag – „że wiadomości o wojnie są obecnie rozpowszechniane na całym świecie, nie oznacza, że zdolność do myślenia o cierpieniu ludzi w dalekich stronach znacznie wzrosła” („Widok cudzego cierpienia”, przeł. S. Magala).

Obrazy cierpienia nie powinny nam sprawiać przyjemności. Tymczasem „zdjęcie wysyła sprzeczne sygnały. Połóżcie temu kres, przekonuje, lecz jednocześnie wykrzykuje: cóż za widowisko!” (Sontag).

Lekcja martwego języka

W Galerii Uffizich ujął mnie obrazek klasy szkolnej. Prowadzona przez nauczycielkę grupa 12-, 13-latków miała w rękach zeszyty, w których notowali słowa przewodniczki, a niektórzy nawet coś szkicowali. Zajęte ręce nie trzymały smartfonów, a oczy szkicujących krążyły między obrazem a kartką papieru. Jakże to proste!

Próbowałem posłuchać komentarza. Były to przede wszystkim objaśnienia, kim są postacie na obrazie i co się dzieje. „...św. Jan, Maria, Maria Magdalena, anioł przynoszący Marii wiadomość o tym, że będzie matką Boga i że nazywa się to Zwiastowanie”. Uświadomiłem sobie, że odbywa się tu lekcja martwego języka, jakim staje się albo już się stała podstawowa symbolika chrześcijańska, jeszcze niedawno oczywista tak dla członka wiejskiej parafii, jak dla mieszkańca Rzymu.

Masaccio „Święta Trójca”, ok. 1427-1428,
kościół Santa Maria Novella, Florencja.

Galerię ogląda rocznie prawie dwa miliony zwiedzających, a jednak dla większości przemierzanie sal ze sztuką starożytną i renesansową nie jest wizytą w kulturowym „domu”, gdzie się „Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne / Ogląda czule, jako swe znajome dawne”. Kultura chrześcijańska staje się na naszych oczach kulturą egzotyczną, podobnie jak dla triumfującego chrześcijaństwa stawał się takim antyk grecko-rzymski, choć bez niego chrześcijaństwo nie mogłoby zaistnieć jako religia powszechna.

Ciała obce

Wielka sztuka to jednak coś więcej niż katecheza. I nawet jeśli większość zwiedzających bez audioguidera wkrótce nie odróżni na oglądanych obrazach Piotra od Pawła ani Marii od Magdaleny, to liczy się coś ważniejszego, co stanowi wystarczający powód do przymuszania młodzieży i dorosłych do poznawania sztuki chrześcijańskiej.

Po latach oglądania obrazów renesansowych dociera do mnie odwaga i mądrość jej humanizmu. Objawiają się one w podwójnej adoracji ludzkiego ciała – pięknego i zdrowego, jak na rzeźbach Dawida czy Perseusza, obok wyniszczonego i cierpiącego, jak Chrystusa u Cimabuego czy Fra Angelico. To ważniejsza lekcja niż wkuwanie retoryki symboli chrześcijańskich. Obie, krańcowo różne formy ludzkiego bycia stawiane są nam przed oczy jako obiekty godne podziwu. Łatwo zachwycić się urodą „Wiosny” Botticellego, ale też łatwiej po Rembrandcie zobaczyć w pomarszczonej twarzy intrygującą fakturę doświadczenia lub splątane epizody długiego życia, zamiast w panice myśleć, jak takiej twarzy ustrzec się kosmetyczną lub chirurgiczną technologią. Wielka sztuka posiada moc godzenia nas z życiem całym, a nie tylko młodym, zdrowym i bogatym. Przy ludziach, którzy stworzyli te obrazy, wieszali je w swoich domach i pałacach, moje czasy wydają mi się trochęzłote i nierozumne w pragnieniu, aby na wszelkie sposoby zaprzeczyć, zredukować, naprawić lub choćby nie patrzeć na tę nieuniknioną część ludzkiej kondycji, którą przynosi choroba lub zwykłe przemijanie.

Cierpienie bez sensu

„Mam z tobą krzyż pański” – mówiła do mnie z wyrzutem babka Milka, kiedy pilnowanie mnie dawało jej wyjątkowo w kość. Czułem, że przesadza z tą metaforą, ale rozumiałem też, że chwilowo ma dość: że jej zmęczone ciało jest już u kresu sił. Nie mogłem wiedzieć, jak czuła się naprawdę, ale wiedziałem, co to „krzyż pański”, czyli że to ja przesadziłem. Ukrzyżowanie jako najważniejszy symbol kultury chrześcijańskiej nie tyle nobilituje cierpienie, co wskazuje na nie jako nieusuwalne doświadczenie ludzkiego istnienia. Czy to jest lekcja wiedzy o człowieku, którą powinniśmy pobierać tak wcześnie? Jeszcze jako dzieci? Cóż, chyba wciąż tak. W takiej czy innej postaci cierpienie nas dotknie, przynajmniej jako świadków. „Zawsze jakaś karuzela kręci się pod murami jakiegoś getta, nasz deser sąsiaduje z czymś głodem, nasze odprężenie z czymś strachem” – pisze Wojciech Bonowicz w „Dzienniku pocieszenia”.

Niezliczone wizerunki Ukrzyżowania stają się powszechnej świadomości znakiem mojego i twojego bólu, którego większość z nas nie potrafi wyrazić, a już na pewno

→ skutecznie opowiedzieć innemu, który nie cierpi z nami. Niezawinione, niesprawiedliwe cierpienie zrodzone z choroby lub krzywdy nie ma sensu dla tego, kto go doznaje. Jeszcze trudniej skłonić innych do przeżywania cudzego cierpienia. Nie chcemy wiedzieć, że inni cierpią, bo nie chcemy cierpieć sami. A jeśli już, to na wyłączność. Jednostkowe cierpienie – niewyraźne, bez wspólnej reprezentacji i bez pojmowalnego sensu – przesuwa człowieka w towarzystwo cierpiącego zwierzęcia, co może się wydawać słuszną karą za krzywdy zwierzętom wyrządzone. Niemniej my, ludzie, potrzebujemy poczucia sensu istnienia, a nie tylko istnienia samego. „Sens życia należy więc odnaleźć w samym życiu, a nie poza nim, gdzie nie ma nic” – kwituje to ironicznie Chantal Delsol („Koniec świata chrześcijańskiego”, przeł. F. Napiwodzki). Jeśli tak, to wyczyszczony z cierpienia krzyż będzie już tylko znakiem umierającej kultury, a my coraz bardziej przypominamy starożytnych Greków, którzy nie chcieli zgodzić się z św. Pawłem, że człowiek ukrzyżowany może być ideałem.

Tyle że Grecy byli mądrzejsi – uwznioślili cierpienie w postaci tragedii, w której cierpią pospół bogowie, herosi i ludzie. Jeśli będziemy się upierać, że dobre życie to życie pozbawione cierpienia, wówczas – bez religii i wielkiej sztuki – zostanie nam medycyna, siłownia, dieta, w przyszłości pewnie inżynieria genetyczna. I samotność cierpiących bez sensu.

Wstyd

W Santa Maria Novella trwa renowacja „Trójcy Świętej” Masaccia. To wyjątkowa szansa, żeby za drobną opłatą wejść na rusztowanie i spojrzeć na obraz z pozycji, dla której nie był malowany. Masaccio stworzył go dla widza, który patrzy z dołu, dzięki czemu podlega iluzji wznoszącej się perspektywy linearnej, jakby cała grupa była rzeźbą w łukowatej kaplicy, a nie płaskim freskiem. Za cenę częściowej utraty iluzji można spojrzeć w oczy Bogu, który podtrzymuje belkę, na której wisi jego syn. Przejmująco smutne oczy patrzą nam w oczy, jakby mówiły: jak możesz na to patrzeć? My możemy odpowiedzieć Mu pytającym spojrzeniem: jak mogłeś to zrobić?

Sztuka chrześcijańska odegrała ogromną rolę w przygotowaniu widza do obcowania z makabrą i okrucieństwem w sztuce popularnej. Czyli do naszej obojętności na obrazy cierpienia. Doskonale ujęła to Maria Konopnicka w opowiadaniu „Anusia”. Tytułowa bohaterka – guwernantka – opowiada swoim podopiecznym na dobranoc żywoty świętych. Systematyczne obcowanie dzieci z horrorem, jaki przeżywają męczennicy, czyni go w końcu czymś zwyczajnym: „Po roku pobytu Anusi u nas tak byliśmy oswojeni z całym martyrologium, żeśmy o wyrwanych językach, rozpalonych kleszczach, plecach dartych pasami ze skóry i piłowanych ciałach rozprawiali jak o chlebie z masłem i gdyby które z nas spotkało świętego Dionizego idącego z własną uciętą głową pod pachą, myślał, że nie byłoby zdziwione”.

Wielka sztuka
posiada moc
godzenia nas
z życiem całym,
a nie tylko młodym,
zdrowym i bogatym.

Oto paradoks i sprzeczność tkwiące w Ukrzyżowaniu, a przeto i w całym dyskursie cierpienia: patrzeć czy nie patrzeć? Czy przypadkiem za wpatrywaniem się w obrazy męki nie stoi podobny atawizm, jaki kieruje kierowcami zwalniającymi na widok wypadku? Nie po to, żeby pomóc, ale żeby spojrzeć. Należy być podejrzliwym wobec tej skłonności i raczej się nie gapić, ale odwracać wzrok; rozmyślać i pamiętać, co się widziało.

Kiedy bohater opowiadania Kafki „Wyrok”, Georg Bendeman, skazany przez ojca na śmierć przez utopienie, pędzi, żeby wykonać na sobie jego wyrok, mija na schodach służącą. „– Jezu! – krzyknęła i zakryła fartuchem twarz, ale jego już nie było” (przeł. J. Kydryński). Kafka fenomenalnie wyraził w tym geście instynktownego przestachu i zawstydzenia właściwą postawę wobec cierpienia na widoku. Stosowny jest nasz strach, wstyd i zażenowanie, że ktoś tego doświadcza; że ktoś to komuś zrobił; że możemy na to patrzeć. Im bardziej ofiara jest bezbronna i udręczona, bezwstydnie obnażona bólem lub chorobą, tym nasz wstyd powinien być większy.

*Kiedy byłem bardzo chory opuścił mnie wstyd
bez sprzeciwu odsłaniałem obcym ręką wydawałem
obcym oczom
biedne tajemnice mego ciała
Wkraczali we mnie ostro powiększając poniżenie*

(Z. Herbert, „Wstyd”)

W sąsiedztwie zawstydzenia niesprawiedliwym cierpieniem niewinnych leży gniew; ślepa furia protestu, która może nas nawiedzić przy tak prozaicznej scenie, jak widok sroki wyrzucającej jaja z gniazda sikorki, która patrzy na to z gałęzi. „Bo jest gatunek litości, którego nie można udźwignąć, i wtedy wysadza się jej przedmiot w powietrze przynajmniej subiektywnie, tj. owłada nami jedno pragnienie: żeby nie patrzeć” (Cz. Miłosz, „Rodzinna Europa”).

Histeria i neuroza, a w konsekwencji farmakologiczne wyparcie otaczają ból i cierpienie, które potrzebują czegoś więcej – spokojnej, pewnej siebie, taktownej troski. Nie waham się powiedzieć – troski kobiecych dłoni (nawet w męskim wydaniu).

Mimo stopniowej niwelacji genderowych różnic w naszych rolach zawodowych i społecznych, to wciąż przede wszystkim od kobiet oczekujemy, że „ogarną” cierpienie. Jakby nasze ciała pamiętały, że kiedy byliśmy całkowicie bezradni, niezdolni do kontrolowania swojej fizjologii ani do zdobycia pożywienia, zajmowały się nami kobiece ręce. Dlatego nasz wstyd kobietom chętniej pozwala na bliskość; prosi o nią lub wręcz się domaga. Nie inaczej jest w Ewangeliach. Im bliżej krzyża, tym mniej męczyzn.



Organy w archikatedrze oliwskiej w Gdańsku

Muzyka w Katedrze

STEFAN CHWIN

Głosy organów w nas dogasały. Wracaliśmy do domu przemienieni, dziwiąc się, że może istnieć błoto, piach, szare niebo, suche gałęzie, zimno, nieszczęście i brud. Chroniła nas tarcza tamtych dźwięków.

WSZECHŚWIAT – WIERZYLI NIE TYLKO Rzymianie i Grecy – jest wielkim instrumentem, którego dźwięki, najwspanialsze z możliwych, towarzyszą nam zawsze. Właśnie dlatego muzyki sfer nie słyszymy. Wielkie koła Kosmosu, obracające się bez przerwy, grają wiecznie tę samą melodię, mocną i piękną, choć my sami nazywamy ją ciszą międzygwiazdnych przestrzeni.

Nie wiemy, czy najstarszym źródłem muzyki był – i może pozostaje nadal – nasz lęk przed ciszą, która nas otacza. Ale muzyka służy nie tylko wypełnianiu ciszy. Potrafi też pięknie ciszę uobecnić, gdy milkną instrumenty i drżące powietrze czeka na nowy dźwięk. Pierwszą muzyką, cieszącą ludzkie serca, był radosny okrzyk człowieka i echo jego głosu, odbite od skał nad rzeką. Rezo-

nansowe pudło doliny, którą otaczały kamienne szczyty, grało jak rezonansowe pudło lutni, gdy pasterze schodzili z gór, dmąc w rogi i pobrzękując dzwonkami, a ściana sosnowego lasu powtarzała ich śpiew.

PRAWDZIWĄ MUZYKĘ ODKRYŁ CZŁOWIEK nie wtedy, kiedy odkrył, że potrafi śpiewać, ale wtedy, kiedy odkrył, że potrafi i śpiewać, i słuchać śpiewu z innymi. Że jego głos staje się muzycznym instrumentem dopiero wtedy, kiedy buduje harmonię z innymi głosami, jakiej nie zna otaczająca nas natura. Pierwsza muzyka rozjaśniła świat jak płomień ogniska, wokół którego siadają strudzeni ludzie, by śpiewem odgrodzić się od świata. Śpiewający i tańczący krąg, który korowodem otaczał ognisko, budował miejsce bezpieczne. Taką przestrzeń – magiczną, odporną na ciosy – budował także śpiew wojenny, gdy wojowników łączyły ↪

→ podniesione głosy, budujące moc i siłę wspólnoty.

Muzyka bywała sporem z ciszą i pogodzeniem z ciszą. Pasterze siedzący wokół ognia nucili pieśń na chwałę świata, nawet gdy świat na taką pieśń nie zasługiwał. Pochwalając to, co istnieje, muzyka mimo woli stawała się przeciwświatem, w którym można było odetchnąć bez obawy, że stanie się coś złego. Chóralny śpiew ludzi był pierwszą katedrą zbudowaną w pustce powietrza, którą otaczały zewsząd szmery wiatru, głosy ptaków i odległe pohukiwania dzikich zwierząt. Gdy palce tręcały struny, przezroczysta ściana dźwięków chroniła nas przed wszystkim, co milczące, hałaśliwe i złe.

Śpiewając i grając, broniliśmy siebie przed milczeniem międzygwiazdnej pustki i hałasem ziemskiego niepokoju, gdy burza rozdziera niebo, drzewa padają z trzaskiem, a rzeka występuje z brzegów. Instrumenty, które trzymaliśmy, były kruchą bronią. Wystarczyło lutnię uderzyć ostrzem włóczni, a rozpadała się w rękach. Była jednak nad podziw skuteczna w ratowaniu serc, spłoszonych raniącym widokiem ziemi i burzliwego nieba.

REGULARNY RUCH DŹWIĘKÓW, z którego rodziła się muzyka, był przeciwwagą dźwiękowego chaosu świata, rytmem żyjącego, umierającego i znowu odradzającego się bytu. Przeciwwstawiał się monotonnemu utrzymaniu morskich fal o brzeg, upar-

Muzyka służy nie tylko
wypełnianiu ciszy.

Potrafi też ciszę uobecniać,
gdy milkną instrumenty
i drżące powietrze czeka
na nowy dźwięk.

temu szumowi liści na wietrze, pomrukowi burzy, która grzmotami rozrywała niebo nad lasem.

Muzyka – nawet gdy chciała naśladować – nigdy nie naśladowała dźwięków natury w ich realnym kształcie, bo natura nie zna regularności, które są istotą śpiewu i gry na instrumentach. Była bliższa rytmowi serca niż cyklowi pór roku, świtów i zmierzchów, które bardziej od dźwięków woła ciszę oczekiwania na wynurzające się z morza słońce. Jej początkiem było pragnienie i radość tańca, bo muzyka wyrosła z tańca, czyli obrzędu, tak jak taniec wziął swój początek z muzyki, wprowadzając w ruch nasze ciała, spragnione uroczystej regularności gestów, na jaką nie pozwala nam codzienne życie.

Budujemy dom dźwięków na przekór kosmicznej ciszy i rozgwarowi rzeczy ziemskich. Orkiestra – grupa ludzi grających na instrumentach – buduje z dźwięków przeciwświat i sama jest przeciwświatem, napełniając harmonią głosów

świątynię, salę tronową, gmach opery, filharmonię czy salę taneczną. Tak jak w muszli szumi odległe morze, tak w murach amfiteatrów muzyka tworzy wyrwę w obcej nam milczącej lub grzmiącej piorunami, zamykającej się wokół nas, nieprzeniknionej matni świata.

Trąby i smyczki, bębny i dzwony niosą swoją pieśń, która w niepojęty sposób spleta się w zachwycającą nas całość. Tajemnica muzycznej harmonii budowanej z tego, co różnorodne i obce sobie, bo każdy dźwięk jest obcy innemu dźwiękowi, chce go przesłonić sobą i zagasić, godzi nas – choćby na chwilę – ze sobą i światem, który nigdy takiej harmonii nie zazna.

PRAWDZIWĄ NADZIEJĄ na zbudowanie ocalającego przeciwświata dźwięków, w którym można było schronić się przed dysharmonią ciszy i hałasu, stało się wzniesienie organów w gotyckich świątyniach. Moja muzyczna inicjacja w piękno temu tajemniczemu instrumentowi wiele zawdzięcza. Nie wymyślono dotąd wspólniejszego i wszechstronniejszego. Organy zmieniły świątynię gotycką, do której chodziłem z rodzicami, w pudło rezonansowe przeciwświata, a turkusowo-karminowe światło, przenikające przez wysokie witraże do gotyckiego wnętrza, zabarwiło na zawsze samą materię powietrza, którym mieliśmy oddychać przez całe życie.

Barokowe organy z Katedry w Oliwie stały się drogą i blaskiem mojego

REKLAMA



Fundacja
Dorastaj z Nami

Dla Ciebie zginął żołnierz,
strażak, policjant, a dla
nich *tata*

Pomóż, by chcieli im się żyć

www.dorastajznami.org



Przeznacz 1,5% podatku

KRS 0000 361265

dzieciństwa. To Katedra odkryła przede mną piękno ciszy, gdy potężne uderzenia cynowych trąb i piszczałek, wypełniające kościół w finale wielkiej toccaty Bacha, piętrzące się pod gotycki sufit, ozdobiony mrowiem złotych gwiazd, nagle przecinał ruch rąk organisty, zdejmującego palce z klawiszy, a fala dźwięków biegnąca w głąb gotyckiej nawy gasła, powtórzona echem w białogipsowej muszli Nieba, wyrzeźbionej nad głównym ołtarzem.

Katedra w każdą niedzielę była jak długi okręt, wypełniony niewidzialnym ładunkiem głosów, którym żeglowaliśmy przez ciszę niedzielnego przedpołudnia. Dźwięki wielkiej pochwalnej Pieśni wybiegały z czarno-dębowej muszli organowego instrumentu, która otwierała się nad barokowym wejściem do głównej nawy, a potem cichły daleko, ponad naszymi głowami, w głębokiej absydzie pełnej gipsowych obłoków, gwiazd i promieni, w której królowali Archanioł Michał i Święta Trójca.

Gdy mszę niedzielną kończył potężny grzmot toccaty, mury Katedry drżały. Gdy położyłeś dłoń na gotyckim murze, czułeś pod palcami pulsowanie pudła rezonansowego świątyni, która stawała się miejscem wyjętym ze świata – odgrodzona grzmotem trąb i światłem witraży od powietrza, głodu i wojny.

POWAGA SAKRALNEJ MUZYKI budziła podziw dla świata stworzonego, była jed-

nak solenniejsza i piękniejsza niż świat, który zostawialiśmy za drzwiami świątyni, gdyśmy wchodzili do głównej nawy i siadali w gotyckich ławkach. Ta powaga chóralnego akordu cynowych trąb i piszczałek budowała wyspę, którą otaczał – mimo piękności świtów i zmierzchów – nieprzyjazny chaos stworzenia, głęboko zranionego rajską skazą.

Harmonia dźwięków, napełniająca Katedrę, nie znajdowała wzorów w namacalnym świecie realnych rzeczy. Przeciwnie: stawała się wzorem dla świata, do którego świat nie był w stanie dorosnąć. Organowe głosy spiętrzały się, nawoływały, wzbudzały echo, odbite od białowapiennych ścian, a każda sekwencja akordów i melodycznych linii miała architekturę kolistych łuków i przęsł, na których wspierało się gotyckie sklepienie.

Wzmacniała nas w oporze wobec świata, dawała siłę ducha w cichej niezgodzie na świat, chociaż trąbami, piszczałkami i dzwonami chciała nas porwać do zachwytu nad światem, który – niestety – nie potrafił być podobny do toccaty Bacha, tylko burzył się wokół katedralnych murów natarczym hałasem ulic, bezładnym szumem liści i bezsilnym gwizdem wiatru w gałęziach drzew otaczających Katedrę od północy, zachodu i południa.

Muzyka sakralna głosiła chwałę stworzenia i demaskowała dzieło stworzenia, bo przerażała je swoim ładem. Ujawniała braki w istnieniu, wyrwy, nieciągłości,

których sama była pozbawiona, czy sta w formie, podniosła, wynurzająca się z ciszy jak – lekkie i niepokonane – rusztowanie ze światła. Gdyśmy wychodzili ze świątyni, mrużąc oczy od słońca, świat odsłaniał przed nami swoją nieciekawą twarz, która mamiała nas pięknem słonecznych promieni i zieloną pieśnią niedalekiego lasu na morenowych wzgórzach.

WRACALIŚMY DO DOMU PRZEMIENIENI, z głową pełną nieziemskich dźwięków, dziwiąc się, że może istnieć błoto, które mamy pod nogami, piach, spróchniałe drzewa, szare niebo, suche gałęzie, niskie chmury, odrapane domy ze śladami po artyleryjskim ostrzale na tynku, zimno, nieszczęście i brud. Gdy głosy organów w nas dogasały, wypełniała nas od nowa ta sama, hałaśliwa pospolitość otaczających rzeczy, o której w Katedrze na parę chwil udało nam się zapomnieć.

Muzyka, która chciała głosem organowych piszczałek i trąb uczyć podziwu dla świata, tak naprawdę – wbrew sobie? – broniła nas tarczą dźwięków przed mrokiem zewnętrznych ciemności. To właśnie ona – czysta, podniosła, jasna – stała się prawdziwą Katedrą, zbudowaną na nadmorskim pustkowiu, gdzie mieszkaliśmy w naszych starych, poniemieckich domach, do której można było uciec przed wichrem, burzą, brudem i ogniem świata.

© STEFAN CHWIN

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski,
Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo,
Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zsumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Kłopotliwe szaty



WPRAWDZIE SOBÓR WATYKAŃSKI II ZNIÓSŁ tonsury, ale przykrywające je piuski pozostały: biała, szkarłatna i amarantowa. Choć z punktu widzenia historii męskich nakryć głowy to bezpodstawne, niektórym trudno o nich nie myśleć jako o jar-

mułkach z antenką. Natomiast pochodzenie szat liturgicznych klasycznego reformowanego judaizmu – jedyne odłamu tego wyznania, w którym określono strój kleru podczas nabożeństwa – nie budzi wątpliwości. Czarna szata do kostek z niską stójką, zapinana z przodu na długim odcinku na rząd guzików. Na głowę czarny biret z pomponem, a na szyję – zredukowany do szerokości stuły żydowski szal modlitewny.

Historia szat liturgicznych sięga początków zorganizowanej religii. Już synów Aarona oraz ich ojca – arcykapłana, pełniących służbę w pustynnym Przybytku, obowiązywał ściśle określony strój. Niektóre jego elementy nie budzą wątpliwości – np. białe lniane spodnie – natomiast nazwy innych brzmią tajemniczo. Czym mógł być *efod*, który rabin Cylikow tłumaczy jako „naramiennik”, a Biblia Tysiąclecia pozostawia hebrajską nazwę? Przyjrzyjmy się, co o nim wiadomo. „I zrobią naramiennik ze złota, z błękitu i purpury, i karmazynu, i z bisioru kręconego, robotą wymyślną. Dwa przyramki złożone mieć będzie na dwu końcach swoich, aby się tak zawieszywał. A pas do przepasania go, będący na nim, jednaki z nim roboty, przedłużeniem jego będzie” (Wj 28, 6-8). Na „przyramkach” – paskach na ramionach – mają być umieszczone dwa kamienie onyksu z wyrytymi imionami synów Izraela. I ostatnie części *efodu*: złote plecionki i sznurkowate łańcuszki (wersy 13-14), pierścienie *efodu* (28) oraz dosłownie jego płaszcz, tłumaczony zwykle jako „płaszcz podeń” (31). Czy to wystarczające informacje, by oczyrnia wyobraźni zobaczyć już arcykapłański *efod*?

Nasuający się obraz nie jest jednoznaczny, tymczasem nie brak żydowskich ilustracji, na których artystyczne wizje *efodu* są spójne. Jak to możliwe? Niektórzy mędrzy Talmudu widzieli jeszcze *efod* na arcykapłanie w Świątyni, późniejsi – po jej zburzeniu – dysponowali świeżą tradycją, więc nie było czego w kwestii jego wyglądu roztrząsać. Za tajemniczy *efod* wzięli się dopiero średniowieczni egzegeci, skazani przez skąpość źródeł na własną wyobraźnię. Komentator wszech czasów, żyjący we Francji, podpatrzył jeżdżące konno szlachetnie urodzone damy: zakładały one na ubranie rodzaj fartuszką, z paskami na ramionach, jednak chroniący je nie z przodu, lecz z tyłu, zwany po starofrancusku *pourceint*. Na tej obserwacji oparł swoją propozycję wyglądu *efodu*, która posłużyła i nadal służy za podstawę do tychże spójnych ilustracji. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Święto szaleńców



„JAK SIĘ ŻENIĆ, TO SIĘ ŻENIĆ! (...) TO TAK, JAK by w uniesieniu (...) W równe nogi wskoczyć w studnię. (...) Nie utonę, nie utonę”. Najwidoczniej miłość, jako że z natury ślepa, wbrew wszelkim zastrzeżeniom i ostrzeżeniom ulega szaleństwu, ale dzięki

temu widzi szerzej, wyżej i głębiej. Prawdziwiej. Nie w całej prawdzie, gdyż: „Teraz widzimy niejasno jak w zwierciadle (...) częściowo”, i dlatego: „Niedoskonała jest nasza wiedza”, co więcej: „niedoskonałe nasze przemawianie z natchnienia Bożego”.

Trudno, skoro to, co nazywamy rzeczywistością, nie jest wcale takie rzeczywiste, a to, co oczywiste, nie takie znowu pewne, to co ja, bezradny człowieczek, mam w tej nieoczywistej nierzeczywistości do roboty? Nic, tylko sięść i płakać, zapisać się na śmierć lub oszaleć? Można i tak, ale mając możliwość wyboru, rozsądniej będzie wybrać tę ostatnią. Przecież jest powiedziane, że to, co najważniejsze, czyli królestwo niebieskie, „doznaje gwałtu i gwałtownicy je zdobywają”. Mają też swoje patronalne święto – Wielkanoc.

Rozmawiałem niedawno z przypadkowo spotkaną Ukrainką, ale rozmowę przerwał telefon, dzwonił jej mąż z frontu. Pytam: I co u niego? „Gdy z nim rozmawiałam, wiedziałam, że żyje, ale teraz już nie wiem. Idą święta, ale co z tego? Wiem, Jezus zmartwychwstał, ale jakie to ma znaczenie dla mnie i dla dzieci?”. Pracując w telefonie zaufania, nierzad słyszałem: W święta czuję się, jakbym wpadł do głębokiego dołu i wyleźć z niego nie mogę. Modły, psychoterapia – nic to nie daje. Na samą myśl o świątecznym śniadaniu czy śpiewaniu „Wesoły nam dziś dzień nastał” robi mi się niedobrze. Wolałbym nucić: „Wieczne odpoczywanie racz mi dać, Panie”. Słowem: rozpaczliwa nuda.

Mówi się, że rozpacz to grzech śmiertelny, gdyż jest utratą wiary w miłosierdzie Boże. Rozpacz jednak niejedno ma oblicze i potrafi działać na podobieństwo owego biblijnego robaka, który doprowadził Jonasza do rozpacz, ale i do pełniejszego porozumienia ze sobą i Bogiem. Przypomina też o przypowieści o Samarytaninie i stawia pytanie: czy przypadkiem nie pędzisz za szczęściem na oślep, na złamanie karku? Jeśli rozpacz jest grzechem, to nie tych, którzy jej ulegli, ale tych, którzy człowieka w nią wpędzili. Jednak koniec końców rozpacz, jak każde zło, też wiedzie do „nowej ziemi i nowego nieba”.

Paweł mówi: „Jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie”. A to dlatego, że: „Ład i sens są z Boga, a jeśli naprawdę Bóg umarł, to (...) nic z życia i trudu naszego nie ocaleje, żaden ślad nie zostanie po nas (...). Kto mówi, że Boga nie ma i jest wesoło, sobie kłamie” (Leszek Kołakowski). O tym jest Wielkanoc. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Miłość władzy

*Kto nigdzie nie szuka
swego, ani w Bogu,
ani w stworzeniach,
ten mieszka w Bogu,
a On w nim.*

MISTRZ ECKHART



*Patrz na świat jak
na bąbelek na wodzie,
a Władca Śmierci cię
nie wypatrzy.*

DHAMMAPADA



„WRÓCILI STRAŻNICY do arcykapłanów i faryzeuszy, a oni rzekli do nich: Czemu Go nie pojмалиście? Strażnicy odpowiedzieli: Nigdy jeszcze nikt tak nie przemawiał jak ten człowiek. Odpowiedzieli im faryzeusze: Czyż i wy daliście się zwieść? Czy ktoś ze zwierzchników lub faryzeuszy uwierzył w Niego? A ten tłum, który nie zna Prawa, jest przeklęty. Odezwał się do nich Nikodem: Czy Prawo nasze potępia człowieka, zanim go wpięrow nie przesłucha i nie zbada, co czyni? Odpowiedzieli mu: Czy i ty jesteś z Galilei? Zbadaj i zobacz, że żaden prorok nie powstaje z Galilei” – przerażający fragment Janowej Ewangelii (J 7, 45-52), z którym Liturgia skonfrontowała nas niedawno.

To, co przeraża w nim najpierw, to stosunek arcykapłanów i faryzeuszy do Ludu Boga, dla którego mają być przewodnikami: tłum nie zna prawa, więc jest przeklęty. Trudno o słowa większej pogardy! Wylewa się ona z każdego wyrazu: „tłum” – a więc masa, bezmyślna, bezrefleksyjna, bezosobowa, pozbawiona twarzy, imion, przekonań. Poza tym głupia, ciemna, pozbawiona fundamentalnej wiedzy: „nie zna Prawa”, tak naprawdę nie wie nic o Bogu, i nie ma nic o Nim do powiedzenia. Nie ma powodu ani ich słuchać, ani – tym bardziej – o cokolwiek pytać.

Są „przeklęci” – to znaczy odłączeni od Boga, skazani wręcz na potępienie; są więc Ludem Boga tylko z nazwy, to pretensja, za którą nie kryje się żadna

prawda; są raczej bałwochwalcami, nie żyją wiarą, lecz jakimś zabobonem. Arcykapłani i faryzeusze – niby przewodnicy, liderzy i autorytety dla Ludu, do którego najwyraźniej nie chcą w żadnej mierze należeć; sami się z niego wyłączają; lub – może będzie trafniej powiedzieć – wykluczają z niego wszystkich poza sobą.

Równie przerażające jest to, w jaki sposób podchodzą do Boga i do Jego Słowa. Najprościej będzie powiedzieć, że stawiają się ponad Nim. Są w końcu ekspertami od wszystkiego, co „boskie”. Są pewni własnych interpretacji. Wiedzą, że Pan Bóg nie ma prawa działać w niezgodzie z nimi. Tego, co mówią, nie potrzeba sprawdzać. Sami nie muszą poddawać swoich opinii Bożej weryfikacji. Mieli być Jego reprezentantami – ale, nawet we własnym gronie (!), nie zamierzają pytać Go o zdanie, a tym bardziej poddać się Jego ewentualnej odpowiedzi.

Co pozostaje takim ludziom? Co jeszcze może być dla nich ważne? Dla religijnych liderów – którzy, z jednej strony, odwracają się z pogardą od ludzi, do których zostali posłani, z drugiej zaś – sami przestają być uczniami Pana, na którego się powołują?

Możliwa odpowiedź jest najbardziej przerażająca: jeśli nie ma w nich ani miłości do ludzi, ani miłości do Boga, zostaje im jedynie „miłość” do władzy – „zakochanie” w posiadanej i wyróżniającej ich funkcji, w autorytecie, który czyni ich wyjątkowymi, w urzędzie, w którym upatrują (fałszywe) poczucie bezpieczeństwa.

Kyrie eleison!

©

CZYTANIA LITURGICZNE (31 III – 7 IV)

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego:

Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118;

Kol 3, 1-4 lub 1 Kor 5, 6b-8; J 20, 1-9;

Poniedziałek: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; Mt 28, 8-15;

Wtorek: Dz 2, 36-41; Ps 33; J 20, 11-18;

Środa: Dz 3, 1-10; Ps 105; Łk 24, 13-35;

Czwartek: Dz 3, 11-26; Ps 8; Łk 24, 35-48;

Piątek: Dz 4, 1-12; Ps 118; J 21, 1-14;

Sobota: Dz 4, 13-21; Ps 118; Mk 16, 9-15;

2. niedziela wielkanocna,

Miłosierdzia Bożego: Dz 4, 32-35;

Ps 118; 1 J 5, 1-6; J 20, 19-31.

Wybrał PIOTR SIKORA

POLAK MÓWI „SPRAWDZAM”

MARCIN DUMA, PREZES IBRIS:

Przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy nauczyliśmy się, że możemy czegoś wymagać od władzy, a jej obowiązkiem jest spełnić złożone obietnice.

MAREK KĘSKRAWIEC: Donald Tusk stał się gwiazdą politycznych salonów Europy i USA, złotówka się umacnia, inflacja spada, dostaniemy pieniądze z KPO. Naród kipi ze szczęścia?

MARCIN DUMA: Nie bardzo. Słoneczna pogoda, a więc wrażenie zadowolenia i spełnienia pragnień panowało mniej więcej od 16 października do połowy lutego. Zarówno ci, którzy wygrali, jak i ci, którzy przegrali – mówię tu o zwykłych ludziach, nie o politykach – byli zadowoleni. Doszło do przesilenia, więc sądziliśmy, że długotrwałe napięcie zostało jakoś rozładowane.

Rozumiem, że to już przeszłość, choć od wyborów nie minęło nawet pół roku.

Tak, nasze ostatnie badania to potwierdzają. Co ciekawe, nie chodzi o sprawy wewnętrzne i kłopoty koalicji rządzącej. Zmieniła się raczej pogoda, na którą nie mamy wpływu, a nad Polskę nadciągnęły dwa groźne fronty. Ten z zachodu rozpe-

dził się nad USA przy okazji niepokojących deklaracji Donalda Trumpa w sprawie NATO, a do Polski dotarł wzmocniony nad Francją i Niemcami przez sojuszników spory oraz kryzys rolniczy związany z Zielonym Ładem. Drugi front nadzsedł ze wschodu w postaci kryzysu na froncie ukraińskim i coraz bardziej realnego zagrożenia wojną w Europie. Oba przynoszą nam niż i dużo gorsze samopoczucie.

Naprawdę wierzymy, że wojna nie jest historią lub abstrakcją oglądaną z ekranu, tylko może być naszym losem?

Obawiamy się zwłaszcza tego, że Ameryka oddzieli się od Europy. Wiemy, że filarem naszego bezpieczeństwa jest NATO, ale bez USA ten sojusz nie budzi w nas zaufania. Pamiętamy, jak to było w historii, więc nie bardzo wierzymy, że europejscy sojusznicy przyjdą nam ze skuteczną pomocą. Słyszac o przedstawieniu gospodarki rosyjskiej na tory wojenne i sukcesach Putina w Ukrainie,



przy gwałtownie słabnącej pomocy z Zachodu nie czujemy się już bezpieczni.

Czy te niepokoje przekładają się na decyzje Polaków?

Wojna w jakimś sensie zaistniała już w naszych głowach i widać to w części życiowych wyborów, które podejmujemy. Nie myślimy jeszcze o spadających bombach czy „zielonych ludzikach” w którymś z naszych wschodnich miast, ale zdajemy sobie sprawę, iż samo wysyłanie sprzętu na Ukrainę nie wystarczy i być może w końcu będziemy musieli bronić się sami. Panuje w nas zupełnie inny nastrój niż wtedy, gdy drugiej armii świata



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Przeście dla pieszych przy Dworcu Centralnym. Warszawa, wrzesień 2023 r.

nie udał się *blitzkrieg* i patrzyliśmy, jak uciekała z podkulonym ogonem spod Kijowa, a potem z Chersonia. Dziś wracamy z bardzo wysokiego piku wiary w ukraińskie zwycięstwo niemal do poziomu, który obserwowaliśmy w lutym i marcu 2022 r., na początku inwazji.

Nasi respondenci zastanawiają się poważnie nad zakupem dolarów lub euro, wstrzymując się z większymi inwestycjami, bo lepiej w takich czasach mieć gotówkę. W tym kontekście jesienne wybory były ważnym punktem zatrzymania i uspokojenia, ale coś z tego, skoro szybko zastukała do nas rzeczywistość, mocno skracając miodowe miesiące

władzy ze społeczeństwem. Biorąc pod uwagę realną datę przejścia rządów przez Donalda Tuska, to nawet nie było zwykające sto dni.

Jesteśmy chyba mocno przebadzowani. Oprócz wojny w Ukrainie mieliśmy pandemię, której skutków jeszcze nie przetrawiliśmy, kryzys energetyczny i ogromną inflację rujnąjącą domowe budżety, a na dokładkę permanentny konflikt polityczny w kraju.

Od kilku lat cały czas jedziemy kolejką górską, unosząc się ku niebu i za chwilę gwałtownie spadając. Nie mamy

chwili, by odpocząć, więc nasza odporność na kolejne bodźce staje się coraz mniejsza. A każdy z nich potęguje konsekwencje i jeszcze bardziej obniża nasz nastrój.

I na to wszystko nałożył się kryzys wokół Zielonego Ładu, bo przecież tu nie tylko o protest rolników i zalew ukraińskiego zboża chodzi.

Zielony Ład stał się symbolem, który dotyka różnych problemów. Obawiamy się nie tylko taniego zboża ze wschodu, które zagraża rolnikom i naszej gospodarce. Tu jest zakodowany też lęk o proces całej transformacji, której koszty

→ musimy ponieść, by uratować Ziemię – w dość nieokreślonej przyszłości.

I jeszcze czytamy, że Azja i obie Ameryki nic dla klimatu nie robią, więc my się w Europie tylko umęczymy, podnosząc koszty produkcji i dusząc własne firmy, a ucieszymy tym głównie Chińczyków.

To nawet nie jest kwestia tego, że porównujemy się z innymi. Raczej chodzi o to, że zostaliśmy uświadomieni w zakresie kosztów, ale na drugiej szali zapominano o równie konsekwentnej edukacji w kwestii korzyści. Fakt, może pozostawimy wnukom planetę, na której da się oddychać i pić bez strachu wodę, ale to dość odległa perspektywa. Bardziej do nas przemawia, że już niedługo nie będziemy mogli jeździć samochodem, gdyż zabiorą nam spaliny, a na elektryki nigdy nie zarobimy. Potem każą nam jeździć do pracy komunikacją zbiorową, wpychając nas do bydlęcych wagonów.

To i tak nie jest najgorsza wizja, zwłaszcza jak się mieszka w dużych miastach.

W wielkim mieście wyjdę z domu, dojdę w kilka minut na przystanek, a stamtąd dojadę do pracy, kina czy na zakupy. Tyle że to jest perspektywa mniejszości z nas. Dla większości, która żyje na terenach gorzej skomunikowanych, samochód to nie tylko kwestia wygody i prestiżu, ale konieczności. To oręż naszej samodzielności, bez którego trudno jest dobrze żyć, jeśli np. nie ma w okolicy sklepu.

A to przecież nie jedyna obawa. Drogą nas dużo wyższe koszty energii, jakie poniesiemy w związku z dostosowaniem się do Zielonego Ładu; a także to, co się stanie z cenami mięsa, jeśli ograniczona zostanie produkcja przemysłowa. Słowem, rodzi się wrażenie pewnego regresu. I nawet jeśli ludzie są gotowi zapłacić pewną cenę, to wciąż mają wrażenie, że nie trzeba przesadzać. Nie czujemy, by przyszłe korzyści były adekwatne do wyrzeczeń, które szykuje się nam dzisiaj. Uznajemy Zielony Ład za wysiłek nieadekwatny do nagrody.

Mnie się zdawało, że wielu ludzi myśli już inaczej.

A jednak te obawy widać wyraźnie w deklaracjach badanych, niezależnie od

Rzeczywistość mocno skróciła miodowe miesiące władzy ze społeczeństwem.

Biorąc pod uwagę realną datę przejęcia rządów, to nawet nie było zwyczajowe sto dni.

togo, czy pochodzą oni z dużych miast, czy z małych, czy są konserwatywni, czy progresywni. Uważamy, że za dużo chce się zrzucić na nasze barki, a jeśli zmiany są konieczne, to powinny za nie płacić wielkie firmy i nie przerzucać na nas kosztów. Albo niech płacą najbogatsi: Niemcy i Francuzi, bo to przecież ich wielkie koncerny najbardziej niszczą planetę.

Jaką receptę ma na to zjawisko świat polityki?

Odpowiedzią jest rosnący populizm, czyli proste rozwiązania na skomplikowane problemy.

Populista mówi ludziom: „Słuchajcie, nie musicie się aż tak poświęcać, jakoś damy radę”. Taką postawę starają się dziś w jakimś stopniu adaptować też tradycyjne partie; nie da się już przecież unieważnić pewnych procesów, które dają efekt choćby w postaci wysokiego, bo przekraczającego w Polsce 70 proc., poparcia dla protestów rolniczych. One mają szerszy kontekst, niż sądzimy; manifestują nasze niezadowolenie i krytycyzm wobec wymagań, które stawiają przed nami europejskie elity w wielu kwestiach klimatycznych.

Zlekceważenie powodu, dla którego rolnicy cieszą się tak wysokim poparciem nawet wśród mieszczuchów, byłoby receptą na poważne straty polityczne. I dlatego rządzący nie chcą iść na zwarecie z rolnikami. Z naszych badań wynika, że początkowa próba pokazania blokad miast w niekorzystnym świetle i przypięcia rolnikom etykiety warcholów nie udała się, bo protesty skanalizowały nie tylko gniew ludzi wsi, ale też wielu innych Polaków. Nadal popieramy obecność w UE, ale bezkrytyczni wobec niej już nie będziemy.

Zarazem odsunięcie PiS od władzy było jednak wyraźnym sygnałem

naszych aspiracji europejskich i niezgody na sposób, w jaki Jarosław Kaczyński prowadził spór z Europą. Postanowiliśmy to przecież zmienić. Jak dziś postrzegamy nową władzę i jej sprawczość?

To najciekawszy wniosek z badań. Zjednoczona Prawica przez osiem lat wyrządziła elitom politycznym ogromną krzywdę, bo doprowadziła do „smutnej” sytuacji, w której obywatele nauczyli się, iż mogą czegoś wymagać od władzy, a jej obowiązkiem jest spełnić złożone obietnice. W pewnym sensie pojawił się nowy obywatel, który nie uważa już, że słowa, jakie padają w kampanii, to tylko gra i ogólna opowieść o kierunku rządzenia. Już nie chcemy słuchać o lesie, ale o konkretnych stu drzewach.

Dzisiejszy wyborca posiada inną świadomość, i nie ma większego znaczenia, czy jest konfederatą, pisowcem czy platformersem; liberałem czy lewakiem. Każdy pamięta, że Kaczyński swoim wyborcom dowoził obietnice, mądrzej lub głupiej, ale za to w tempie straży pożarnej. Obecnie Polacy oczekują tego samego, a nie rozkładania rąk i mówienia, że kwota wolna 60 tys. zł to jednak nie teraz, bo finanse państwa się nie zgadzają. Trzeba było wcześniej tyle nie gadać.

Czyli jak Tusk mówi o 100 konkretach w 100 dni, to nawet jeśli traktujemy to symbolicznie, zarazem twardo oczekujemy, że nie skończy się na hasłach?

Nie chcemy impozabilizmu władzy, mamy wobec niej jasne oczekiwania i nie interesuje nas, jak je spełnią. To oczywiście nie znaczy, że dziś byśmy znów oddali władzę w ręce PiS, niemniej jeśli ktoś w rządzie myśli, iż brak skuteczności da się przykryć nagłaśnianiem afer poprzedników i że tego paliwa starczy na rok, to się myli. Polacy myślą: „OK. Niech ich rozliczają, ale bez ciągnącego się w nieskończoność teatru. Nie odwróćcie tym uwagi od rzeczy, które obiecaliście. Nie będzie tak, że zamiast chleba zgodzimy się na igrzyska z Kaczyńskim na komisji”.

Można powiedzieć, iż jest to pewna korzyść z niedemokratycznych rządów PiS, bo z jednej strony politycy ulegają populizmowi, ale z drugiej muszą się jednak zasta-

nowić bardziej, co obiecują, by ich sukces nie okazał się krótkotrwały?

Nie ma już powrotu do systemu politycznego sprzed epoki PiS, w którym była zaszyta praworządność wraz ze zgodą na niemożność robienia pewnych rzeczy szybko, a niektórych – w ogóle. Dziś widzimy w wyborcach akceptację dla konceptu państwa stanu wyjątkowego, gdzie rzeczy dzieją się przy użyciu metod „na skróty”, gdzie czasem już nas kompletnie nie interesuje, co jest zgodne z konstytucją – państwo ma być skuteczne i jeśli trzeba, rządzi uchwałami, nie ustawami.

Można by powiedzieć, że Kaczyński przegrał, ale nie jego sposób sprawowania polityki.

Uczciwie patrząc na wyniki wyborów, zwycięstwo koalicji nie nastąpiło w wyniku głębokiego kryzysu w PiS, skoro po ośmiu latach rządów poparcie dla tej partii spadło z 8 mln do 7,6 mln. To nadal ogromna siła, a koalicja wygrała tylko na skutek nadzwyczajnej mobilizacji ludzi, którzy Kaczyńskiego już u władzy nie chcieli. I to się nie zmieniło, wielu wyborcom ręka by uschła, gdyby mieli iść zagłosować na PiS.

Sytuacja jest jednak dynamiczna. Mamy przed sobą cały cykl wyborów: samorządowych, europejskich, prezydenckich. Będziemy na bieżąco obserwować, na ile koalicja rządząca Polską jest w stanie nadal mobilizować swoich zwolenników.

Czy jest możliwe, by z uwagi na skomplikowaną sytuację zewnętrzną i wewnętrzną pojawiła się jakaś nowa siła, która uwiedzie Polaków?

Nasze partie nauczyły się dostosowywać do niestabilnej rzeczywistości. Są bardziej plastyczne niż kiedyś. Widać np. wyraźnie, jak dużą przemianę przeszedł Donald Tusk, adaptując się do nowych czasów postpolityki i szybciej reagując na różne wyzwania. Myślę, że nowej władzy zagraża dziś mniej PiS czy jakaś nowa siła, a bardziej powinna się obawiać zmarnowania potencjału 75-procentowej frekwencji z jesieni. Niektórzy z tych ludzi zastanawiają się dziś, czy dalej ufać nowej władzy i pójść na wybory 7 kwietnia.

Wybory lokalne mają odmienną specyfikę, ale te akurat w sporej mierze zostały zdominowane przez proble-



BARTĘK SYTA / MATERIAŁY PRASOWE IRBIS

MARCIN DUMA jest badaczem opinii oraz prezesem Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IB RiS.

my ogólnopolskie. Walcząca o życie lewica narzuciła temat aborcji i od razu zaczęła się kłótnia w koalicji. Padają wzajemne oskarżenia o kłamstwa, a nawet przekleństwa. Czy to jest kwestia, o którą chcą dziś kruszyć kopie Polacy? Lewica twierdzi, że wybory wygrały kobiety i teraz oczekują czynów.

Spór o aborcję nie dotyczy tylko dopuszczalności przerywania ciąży. To jest ogólniejsza kwestia samostanowienia i tego, czy wolność wyboru może być ograniczana z uwagi na wartości wyznawane przez część społeczeństwa. W tym kontekście zdecydowane rozszerzenie prawa do aborcji jest ważne dla młodszych roczników, niezależnie czy chodzi o kobiety, czy mężczyzn. Hasło „wybory wygrały kobiety” ma w sobie tyle prawdy, ile mit o młodych mężczyznach rozkochanych w Konfederacji, skoro ostatecznie w większości zagłosowali oni na Koalicję Obywatelską, Trzecią Drogę i Lewicę. Decydująca 15 października nie była płcią, a wiek. Jeśli mobilizacja jakiejś grupy przeważała, to młodych wyborców w grupie 18-29 lat, gdzie PiS poniósł klęskę – jednocześnie dość zaskakująca była demobilizacja części elektoratu 60+.

Młodzi ludzie poszli po wolność i samostanowienie, i w tym kontekście lewica dobrze wyczuwa nastroje, gdyż wie, że jeśli w sprawie aborcji nic się nie wydarzy, to młodzi wyborcy mogą się rozczarować, machnąć ręką i zostać następnym razem w domach.

Czy da się tak naprawdę powiedzieć, czego w sprawie aborcji chcą Polki i Polacy?

Istnieją badania, wedle których swobodnej aborcji do 12. tygodnia chce ponad 60 proc. obywateli, choć być może jest też tak, że ludzie zaakceptowaliby nawet powrót do ustaleń z czasów tzw. kompromisu aborcyjnego; ktoś jednak musi wykonać konkretny ruch. Dziś wydaje się, że marszałek Hołownia zrobił najgorszą rzecz: odłożył sprawę, budząc podejrzenia, że jest kościółkowy i tak naprawdę niczego nie chce zmienić.

Po epoce PiS nie powinno się tak robić, trzeba podejmować decyzje, choćby oznaczało to kłopoty przy uchwalaniu ustaw. Na nic zda się odwracanie przez Trzecią Drogę uwagi w stronę składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, bo to zupełnie inny kaliber. Widać to po ich sondażach, które zaczęły spadać.

U wspomnianego przez Pana nowego, wymagającego obywatela nie jest łatwo o takie „przekierowanie” uwagi? Jest bardziej asertywny wobec polityków? Mocniej ich dociska?

Jeśli w mediach społecznościowych „Piotrek3258” może dziś dyskutować z jakimś pierwszoligowym politykiem lub ekonomistą, to znaczy, że „bogowie” zeszli z Olimpu. Są tacy jak my. To z jednej strony napędza populizm, ale z drugiej zmniejsza dystans do rządzących, a oni siłą rzeczy bardziej się z nami liczą.

Na początku rozmowy wspomnieliśmy o Ukrainie w kontekście kryzysu na froncie i protestów rolników. Jaki mamy po dwóch latach stosunek do Ukraińców?

Tak jak protesty rolnicze ukazały nasze głębokie obawy związane z polityką klimatyczną Unii, tak samo stały się wentyłem bezpieczeństwa dla nastrojów antyukraińskich. Głupio nam otwarcie krytykować naród walczący z Rosją, ale respondenci już potrafią powiedzieć, iż Zełenski jest wobec Polski bezczelny i niewdzięczny. Można to zrozumieć, ale z drugiej strony sporo w nas wyższości. Oto przybył z pomocą polski husarz w lśniącej zbroi, więc ukraiński chłop w porciętach powinien mu dziękować do śmierci, zamiast grać wyszczerzanego kozaka. Zwłaszcza gdy siedzi na koniu, którego – jak sądzimy – od nas dostał.

U części z nas za poparciem dla rolników stoi przekonanie, że trzeba

→ Ukraińcom pokazać ich miejsce. Jednocześnie Ukrainiec, który pracuje w Polsce, jest dla nas wciąż w porządku i nie mamy do niego złego nastawienia, ci ludzie się zresztą dobrze integrują. Problemem stała się polityka państwa ukraińskiego. Myślę, że mimo miesięcy powtarzania okrągłych słów jest bardzo dużo niezrozumienia między nami.

Jest Pan w stanie powiedzieć coś optymistycznego na koniec?

Tak, ten nowy obywatel, o którym rozmawialiśmy, jest dużym wyzwaniem dla polityków i mimo że jego pojawienie się oznacza mierzenie się z rosnącym populizmem, to może mieć korzystny wpływ na społeczeństwo demokratyczne. Wyborca nie jest już klientem władzy, ale ewoluuje w stronę świadomego suwerena, który czuje się pewnie i wie, czego wymagać od polityków. Ślepo im już nie zaufa, tylko przy pierwszej okazji surowo zweryfikuje.

Czy za nowym obywatelem idzie nowoczesny patriotyzm? Bylibyśmy w stanie walczyć z Rosjanami o nasze domy czy raczej większość z nas poszuka szybkiej trasy ucieczki na Zachód?

Myśląc o patriotyzmie, wielu z nas ma w pamięci ofiarę, którą trzeba ponieść na ołtarzu ojczyzny, z kulminacją w postaci śmierci za Polskę. My badaliśmy to, czy Polacy lubią swój kraj, oraz do jakiego stopnia jest im obojętne, gdzie będą mieszkać. Najważniejszy wniosek brzmiał: czujemy się w Polsce u siebie. Tu jest nasz dom, który rozumiemy jako kraj, ale też jako nasze miasto czy gminę, z którymi jesteśmy związani. Zobaczmy, jak zmieniły się nasze małe ojczyzny, jak dbamy dziś o swe domy, obejścia, ogródki. To jest Polska, za którą czujemy się odpowiedzialni.

Czy to oznacza, że jesteśmy gotowi za nią umierać? Nie wiem, ale nawet jeśli w wyniku jakiegoś kataklizmu część z nas uciełaby z Polski, to miałyby w sobie przeświadczenie, że to rozwiązanie tymczasowe i że wrócą, odbudują swój dom i uporządkują sprawy. Ten kawałek ziemi na mapie ma dla nas istotne znaczenie.

© Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC



Sto dni kampanii

MAŁGORZATA SOLECKA, PIOTR ŚMIŁOWICZ

Na pierwszych stu dniach rządu poważnie zaciążył kalendarz wyborczy. Widać też wyraźnie, że w wielu ministerstwach panuje atmosfera daleka od przepracowania.

22 MARCA MINĘŁO SYMBOLICZNE sto dni gabinetu Donalda Tuska. Być może nikt przesadnie nie akcentowałby tej okoliczności, gdyby nie sam premier, który postawił sobie taką cezurę, ogłaszając podczas wrześniowej konwencji Koalicji Obywatelskiej „Sto konkretów na sto dni”. Finalnie powstał co prawda rząd czterech ugrupowań, ale wiele z propozycji KO miały w swych zapowiedziach pozostałe formacje. Dziś widać, że obietnice te nie przekuły się w czyny, a dorobek gabinetu Tuska jest bardziej niż skromny. Z eksperckich analiz wynika, że ze „stu konkretów” zrealizowano dotychczas w najlepszym razie co dziesiąty. Najważniejszym sukce-

sem stu dni rządu pozostaje odblokowanie w Komisji Europejskiej środków z KPO.

– Niestety, dawno nie widziałem tak źle startującego rządu – przyznaje prominentny polityk Trzeciej Drogi. Obwinia za to samego Tuska, dla którego priorytetem są dziś rzekomo wybory samorządowe i europejskie, a nie spójne i szybkie działania rządu i koalicji. Premierowi zależy ma na osłabieniu koalicjantów, Trzeciej Drogi i Lewicy, w czym trochę przypomina Jarosława Kaczyńskiego z 2006 r., próbującego zdominować LPR i Samoobronę. Oczywiście metody są inne, nikt nie myśli o wykorzystywaniu do walki wewnętrznej oficerów CBA.



TOMASZ KUBIAK / ARTSERVICE / FORUM

Marzena Czarnecka i Borys Budka
na inauguracji Ministerstwa Przemysłu
w Katowicach. 1 marca 2024 r.

nienie obietnicy rozliczenia grzechów epoki PiS, podobnie jak świeża zapowiedź wniosku o postawienie przed Trybunałem Stanu prezesa NBP Adama Glapińskiego. Ważna jest też ustawa o awaryjnej antykoncepcji, czyli o pigułce „dzień po” bez recepty – choć weto w tej sprawie zapowiada prezydent Andrzej Duda, ale trudno uznać to za „winę Tuska”.

Gorzej jest w kwestii postulatów gospodarczych: zniesienia podatku od zysków kapitałowych (tzw. podatek Belki), zerowej stawki VAT na transport publiczny, 600 zł dopłaty do wynajmu dla młodych, podniesienia Funduszu Alimentacyjnego z 500 do 1000 zł czy też likwidacji Funduszu Kościelnego. Jednak najbardziej kłopotliwy dla koalicji jest mocno nagłaśniany w kampanii postulat KO podnoszący do 60 tys. zł kwotę wolną od podatku, co niektórzy uznali za *game changer* niemal na miarę 500 plus. Na razie pozostaje on wciąż w sferze planów.

– Zapowiedziany został termin stu dni, ale tak naprawdę nie znaleźliśmy realiów. To, co zastaliśmy, przerosło nasze oczekiwania, więc zrobiliśmy tyle, ile było możliwe. Każdy ze stu konkretów będzie po kolei realizowany – zapewnia wicemarszałek Sejmu Dorota Niedziela z KO, powtarzając mantrę obowiązującą w obozie władzy.

Szczególnie krytykowana jest dziś działalność resortu kultury. Wiceministra Joanna Scheuring-Wielgus z lewicy przekonuje co prawda, że resort już niebawem prześle dwa projekty ustaw: o statusie artystów oraz o tantiemach ze streamingu – jednak były szef tego resortu, Piotr Gliński z PiS, przypomina, że ta pierwsza ustawa została skierowana do Sejmu jeszcze przez gabinet Morawieckiego, a obecny rząd ją cofnął, aby projekt „poprawić”. Gliński atakuje też oczywiście zmiany w mediach publicznych, dokonane „wbrew prawu i konstytucji”, jak również wstrzymanie wielu inwestycji, takich jak przystosowanie za 400 mln zł hotelu Cracovia dla potrzeb Muzeum Narodowego w Krakowie albo budowa nowego gmachu Narodowego Muzeum Techniki wraz z Muzeum Historii Naturalnej na błoniach Stadionu Narodowego.

W postępowaniu rządu widać wyraźnie niechęć do wchodzenia w sytuacje,

w których konieczny byłby kompromis z prezydentem. Przejawia się tu logika wyborcza – Tusk uznał, że w obliczu wyborów samorządowych, europejskich, a za rok z małym okładem także prezydenckich utrzymanie mobilizacji elektoratu będzie możliwe tylko poprzez podtrzymywanie ostrego konfliktu z PiS i Andrzejem Dudą. Stąd np. brak prób ustawowego uregulowania sytuacji przejętych na granicy prawa mediów publicznych albo ustawowej likwidacji Rady Mediów Narodowych (co też było w stu konkretnych). Spodziewane weto Dudy wymagałoby szukania z nim kompromisu, a to byłoby – zdaniem Tuska – wyborczo nieopłacalne.

Logikę konfliktu widać też w działaniach MSZ – temu służyło ogłoszenie, że minister Radosław Sikorski zamierza za jednym zamachem odwołać 50 ambasad, co musiało doprowadzić do sprzeciwu prezydenta, który od razu wystrzył postawę – wcześniej miał się sprzeciwiać odwołaniu tylko czterech bliskich sobie szefów placówek dyplomatycznych.

Koalicję wiele dzieli

W działania rządu wpisuje się też wewnętrzny, podyktowany logiką kampanijną konflikt między koalicjantami. Rzutuje on na realizację nawet tych postulatów, które są wspólne dla różnych ugrupowań. Najgłośniejszy w ostatnich dniach był spór o ustawy liberalizujące aborcję, których rozpatrywanie najmniej skłonny do bardzo radykalnych zmian w prawie marszałek Szymon Hołownia zaplanował – przy sprzeciwach KO i lewicy – dopiero po pierwszej turze wyborów samorządowych.

Podobnie jest ze sprawą przywrócenia handlu w niedzielę, czyli postulatem Trzeciej Drogi i KO. Pod koniec ostatniego posiedzenia Sejmu z projektem w tej sprawie wystąpiła Polska 2050, ale przeciwna jest mu lewica. Ugrupowanie to patrzy również krytycznie na pomysł Trzeciej Drogi w sprawie zmniejszenia składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, gdyż stawałoby to ich (zwłaszcza tych o wysokich dochodach) w dużo lepszej pozycji niż pracowników na etatach.

Napięcia są nawet w takich sprawach jak wniosek o Trybunał Stanu dla Adama Glapińskiego – *votum separatum* w tej sprawie zgłosili politycy współtworzącej klub Lewicy Partii Razem.



Sam Tusk i jego ludzie z KO przekonują, że powodem opóźnień w realizacji stu konkretów jest stan, w jakim nowy rząd zastał państwo. „Zostawili nam rekordowy dług, wszechobecną korupcję, zdeprawowane media, partyjną prokuraturę, chaos w sądach, tysiące krewnych i znajomych w spółkach, bałagan w rolnictwie, skompromitowaną dyplomację, wetującego prezydenta i partyjniaka w NBP. Kończymy porządki i przyspieszamy!” – napisał w ubiegłym tygodniu premier w serwisie X, choć o zdecydowanej większości tych faktów wiedział przed wyborami. Na konferencji prasowej zapewniał, że większość z konkretów jest w jakiejś fazie realizacji, a z każdym tygodniem zmiany mają postępować szybciej.

„Nie znaleźliśmy realiów”

Rządowi udało się jednak spełnić kilka ważnych obietnic, np. dofinansowanie z budżetu państwa procedury *in vitro* czy podniesienie wynagrodzeń nauczycieli o 30 proc. Część postulatów dotyczących reformy edukacji (np. odejście od prac domowych) czy sądownictwa (likwidacja neo-KRS) jest w trakcie realizacji. Z kolei powołanie w Sejmie trzech komisji śledczych można uznać za speł-

→ Krytycy Donalda Tuska kpią, że największym osiągnięciem pierwszych stu dni jest pobicie rekordu w liczbie posad rządowych. W gabinecie jest 26 ministrów i blisko stu wiceministrów. Liderzy koalicji tłumaczą to potrzebami ugrupowań tworzących sojusz rządowy; każde chce mieć przedstawicieli w resortach, by patrzeć sobie na ręce (wyjątkiem jest Ministerstwo Finansów). Generuje to dodatkowe napięcia i potęguje wrażenie paraliżującej działania rządu wojny.

W kuluarach można usłyszeć, że tak jest np. w przypadku Ministerstwa Rozwoju i Technologii, kierowanego przez Krzysztofa Hetmana z PSL. Tusk ma blokować planowane zmiany m.in. w Banku Gospodarstwa Krajowego, nie chce też zgodzić się, by pod nadzór resortu wróciły instytucje „wyjęte” stamtąd w czasach PiS.

Inny kierowany przez przedstawiciela PSL resort – infrastruktury, pod kierunkiem Dariusza Klimczaka – ma na koncie poważną wpadkę, związaną ze zleceniem audytu CPK przez pełnomocnika rządu, a jednocześnie posła KO Macieja Laska nieprofesjonalnie wybranej firmie bez doświadczenia. Niechęć Laska do tej inwestycji rodzi niesnaski w koalicji, mocno też rozminęła się z nastrojami Polaków, pozytywnie odbierających ten projekt.

Konflikt zaistniał również w resorcie rodziny, kierowanym przez Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk z lewicy – poszło o obsadę stanowiska prezesa ZUS. Ministra miała złożyć wniosek o odwołanie dotychczasowej prezes Gertrudy Uścińskiej bez wiedzy premiera (sama szefowa ZUS dowiedziała się o dymisji z internetu). W efekcie rozeźlony Tusk nie zaakceptował kandydatów na jej następców – Sebastiana Gajewskiego i Liwiusza Laski. Najprawdopodobniej skończy się na kompromisowej kandydaturze obecnej wiceprezes Doroty Bieniasz.

Przestój w zarządach

W podlegających Ministerstwu Aktywów Państwowych spółkach Skarbu Państwa wciąż w większości są tymczasowe zarządy. Mimo to szef sejmowej Komisji Energii i Aktywów Państwowych Marek Suski z PiS narzeka, że obecna koalicja nie stosuje przejrzystych procedur przy powoływaniu władz spółek, a wbrew dotychczasowym zwyczajom resort aktywów nie informuje komisji o zmianach, tylko odsyła do internetu. – Jeśli koalicja

Ze stu konkretów
zrealizowanych zostało
w najlepszym razie 10 procent.
Najważniejszym sukcesem
rządu pozostaje odblokowanie
środków z KPO.

13 grudnia i ośmiu gwiazdek mówi, że wszystko ma być klarowne, a przyparci do muru każą poczytać w internecie, jest to bardzo niedobre – komentuje Suski.

Co ciekawe, niektórzy z niedawno powołanych członków zarządów i rad nadzorczych już zostali odwołani, gdy okazało się, że część z nich miało dyplomy MBA z Collegium Humanum.

Po pierwszych stu dniach trudno też oprzeć się wrażeniu, że niektórzy ministrowie niezbyt solidnie przygotowali się do swej roli, być może dlatego, że typowano ich do obsadzenia innych resortów. Barbara Nowacka, ministra edukacji narodowej, firmuje dziś – nie tylko nazwiskiem, ale i twarzą, występując w spocie reklamowym wraz z ministrem sportu – program PiS „Sportowe talenty”. To obowiązkowe testy sprawnościowe obejmujące wszystkich uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych, realizowane w celu diagnozy stanu sprawności fizycznej młodego pokolenia oraz wyłuskania talentów.

Również Ministerstwo Zdrowia dźwiga bagaż wielu zaniedbań i fatalnych decyzji poprzedników – i też nie potrafi się uwolnić od ich dziedzictwa, a niektóre rozwiązania wręcz kontynuuje. Leżąca na pograniczu kompetencji resortu zdrowia oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego sprawa kształcenia przyszłych lekarzy – jest tu koronnym dowodem. Od 2020 r. PiS rozmontowywał przepisy stojące na straży jakości kształcenia na kierunku lekarskim, doprowadzając do sytuacji, w której taki kierunek – kiedyś prowadzony wyłącznie przez uczelnie akademickie, wręcz uniwersytety – może otworzyć dosłownie każda szkoła wyższa, niemająca żadnego doświadczenia w prowadzeniu studiów medycznych (nie tylko lekarskich).

Efekt? Pozwolenia na kształcenie lekarzy dostały politechniki, zawodowe szkoły wyższe, a perłą w koronie jest kie-

runek na Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, kuźni kadr ojca Tadeusza Rydyka. Studia lekarskie uruchomiło w sumie czternaście nowych szkół, z których lwia część nie posiada pozytywnej opinii Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Przed wyborami obecnie rządzące partie zapewniały, że jakość kształcenia przyszłych lekarzy stawiają na pierwszym miejscu, i spodziewano się, że zablokują nowe szkoły. Dziś wiele wskazuje na to, że resortowi zdrowia nie pali się wcale do zamykania utworzonych przez ministrów Czarnka i Niedzielskiego kierunków. Niektóre z ostatnich wypowiedzi wysokich urzędników resortu wskazują, że skokowy wzrost miejsc na studiach lekarskich jest nie tylko koniecznością w obliczu kryzysu kadr w ochronie zdrowia, ale stał się powodem do zadowolenia, wręcz dumy. Używa się tych samych argumentów, jakie stosował PiS.

Na progu przetasowania

Według medialnych spekulacji, Tusk wykorzysta okres wyborczy do pierwszej rekonstrukcji rządu. Choć on sam tego nie potwierdził, być może niektórzy z ministrów wystartują w wyborach do Parlamentu Europejskiego, mimo że generalnie wśród członków gabinetu dominuje przekonanie, iż rząd Tuska działa za krótko, by z niego „uciekać” do Brukseli. Dla tych ministrów, z których premier jest niezadowolony, albo którzy nie są zadowoleni ze swojej pozycji, start w tych wyborach może być jednak honorowym wyjściem.

W tym kontekście wymieniani są wspomniany minister rozwoju i technologii Krzysztof Hetman oraz minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska z Polski 2050, która jeszcze przed objęciem funkcji uwikłała się w aferę z dopisaniem do ustawy o cenach energii przepisów liberalizujących stawianie wiatraków. Wówczas na życzenie Tuska zostały one wykreślone, a projekt oddzielnej ustawy wiatrakowej nie powstał do dziś.

Jedno jest pewne. Niska aktywność legislacyjna całego rządu to fakt. Można to było zaobserwować choćby podczas ostatniego posiedzenia Sejmu, gdy głosowano zaledwie nad kilkoma ustawami, natomiast zaplanowane w tym samym czasie na dwa dni posiedzenie Senatu skończyło się... po dwóch godzinach.

© MAŁGORZATA SOLECKA,
PIOTR ŚMIŁOWICZ



ROMAN JOCHER / PAP

Wetniane przegródki na smartfony w gdańskim liceum. Wypełniają się podczas każdego sprawdzianu i w trakcie niektórych lekcji, grudzień 2019 r.

Szkoła cyfrowej higieny

PROF. JACEK PYŻAŁSKI, EKSPERT DS. EDUKACJI MEDIALNEJ:

Jestem przeciw twardym zakazom używania komórek. Rozsądnego korzystania z technologii nie wpoimy uczniom, kontrolując ich, tylko ucząc ich samokontroli.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Instytut Spraw Obywatelskich wystąpił do resortów edukacji i cyfryzacji apel o wprowadzenie do szkół jednolitych zasad higieny cyfrowej. Domaga się całkowitego zakazu używania urządzeń ekranowych. Słusznie?

JACEK PYŻAŁSKI: Niesłusznie, o ile miałyby to być rzeczywiście wprowadzony centralnie zakaz. Zaczniemy od tego, że wyniki prowadzonych w różnych krajach badań na temat wpływu obecności urządzeń ekranowych na uczniów nie są wcale jednoznaczne. Owszem, np. czeskie badania pokazały, że w szkołach z zakazem dzieci były nieco częściej aktywne fizycznie podczas przerw.

To już wielka korzyść!

Ale innych różnic się nie doszukano – nawet stopień zmęczenia zajęciami szkolnymi okazał się u obu grup podobny.

Tak samo było z czasem, jaki młodzi ludzie spędzali ze swoimi rówieśnikami na przerwach. Z kolei badania szwedzkie

nie wykazały żadnego wpływu obecności urządzeń ekranowych na efekty dydaktyczne.

Co innego jest jednak w tej dyskusji najistotniejsze. To pytanie, czy lepiej wprowadzać twarde i bezwzględne zakazy, czy może uzgodnione ze wszystkimi stronami – także rodzicami i uczniami – regulacje ograniczające najbardziej szkodliwe wykorzystywanie telefonów. Bo to, że odruchowe ich użytkowanie w czasie zajęć – np. skrołowanie czy odpisywanie na wiadomości – szkodzi i nie sprzyja uczeniu się, jest poza dyskusją. Potwierdzają to zresztą badania międzynarodowe, np. PISA. Dlatego ograniczenie korzystania z komórek podczas lekcji tylko do sytuacji, w których użytkowanie ich jest wkomponowane w proces dydaktyczny, miałoby sens.

To jednak nie oznacza, że odgórny, ustawowy zakaz przyniósłby nam więcej pożytku niż szkód, choćby związanych ze sposobem egzekwowania takiej regulacji.

Chyba nie zgodziliby się z Panem urzędnicy i eksperci w takich krajach jak Holandia, Francja, Włochy, Grecja czy Portugalia. Wszędzie tam – zgodnie z listem ISO – obowiązują odgórne zakazy.

Po pierwsze, w niektórych krajach zakazy takie dotyczą uczniów i uczennic w określonym wieku – nie wszystkich. Po drugie, nie zakładamy, że decyzje o ustawowych ograniczeniach podejmowane są zawsze na podstawie przesłanek merytorycznych. W literaturze naukowej trwa ożywiona dyskusja na temat urządzeń ekranowych w szkołach. Całkiem niedawno grupa kanadyjskich naukowców opublikowała analizę, która pokazuje, że podobne rozstrzygnięcia nie zawsze mają podstawy naukowe – częściej zapadają w wyniku bazowania na konserwatywnej narracji pod tytułem: „Wróćmy do dawnych czasów, gdy nasze życie nie toczyło się pod dyktando technologii”. Autorzy wskazują, że zwykle w tego rodzaju narracji i argumentacji pomija się to wszystko, co urządzenia ekranowe dają: nowe możliwości uczenia się, realizowania się w twórczości, tworzenia kapitału społecznego. A także to, że ich mądre stosowanie będzie młodym ludziom potrzebne w życiu.

Pomijają też zwykle przeszkody, na jakie taki odgórny zakaz natrafi.

Co ma Pan na myśli?

Np. dyskusję na temat roli w tym wszystkim nauczycieli. Przecież to oni musieliby te telefony zabierać, kontrolować uczniów, a nawet przeszukiwać ewentualnych podejrzanych o to, że gdzieś te urządzenia przetrzymują. Widzę tu sporo potencjalnych pułapek i sytuacji, które na pewno nie budowałyby w szkole klimatu wzajemnego zaufania. Albo odwrotnie: w wielu placówkach ten odgórny zakaz funkcjonowałby jako martwy przepis, co też nie jest dla szkolnej wspólnoty dobre. Zresztą taka sytuacja prawnej fikcji już dziś ma miejsce, co potwierdziło np. badanie EU Kids Online.

Znam placówki, gdzie telefony po prostu oddaje się na wejściu do przechowania – i odbiera po zajęciach.

Jeśli to zostało wcześniej przedyskutowane z uczniami, nauczycielami i rodzicami, to bardzo dobrze! Zapewne jest to łatwiejsze w szkołach niewielkich, →

→ zwłaszcza niepublicznych. I nie zawsze się udaje. Znam placówki, gdzie takie konsultacje się nie odbyły, więc niektórzy pedagodzy, chcąc wykorzystywać telefony uczniów do nauki w czasie lekcji, funkcjonowali we własnej szkole jak robiący coś nielegalnie partyzanci.

Autorzy wspomnianego listu ISO opatrują swój postulat zakazu korzystania z urządzeń ekranowych jednym zastrzeżeniem: „chyba że urządzenie to stanowi pomoc naukową”.

To bardzo ważne zastrzeżenie, ale ono nie uchyla wielu innych wątpliwości. Np. natury prawnej. Kto ten zabrany ewentualnie sprzęt miałby przetrzymywać? Odpowiadać za jego bezpieczeństwo? Ubezpieczać? Kto i jak by pilnował, by każdy odebrał swój telefon, a nie cudzy?

Skoro nie zakaz, a mądre – oparte na wielostronnej umowie – regulacje, to jak według Pana powinny one wyglądać?

To zależy od wieku uczniów. Regulacje bardziej radykalne i autorytatywne – np. nie używamy telefonów na lekcjach, a jeśli na przerwach, to tylko wybranych – sprawdzą się w młodszych klasach podstawówek. Im dalszy etap rozwoju dziecka, tym lepiej zastanawiać się nad sensownością tak radykalnych kroków. I odpowiadać sobie na pytanie: czy jeśli w pobliżu szkoły powstaje zbiornik wodny, to jedyną na to odpowiedź powinno być ogrodzenie go wysokim płotem czy może również wdrożenie nauki pływania?

Myślę, że także to drugie. Koncentrowanie się wyłącznie na zakazach nie ułatwi najważniejszej sprawy – świadomie przestrzeganej higieny cyfrowej. Rozsądnego korzystania z technologii nie wpoimy uczniom, kontrolując ich, tylko ucząc ich samokontroli. Zwłaszcza że szkoła nie jest jakimś wyabstrahowa-



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. JACEK PYŻALSKI jest pedagogiem, profesorem UAM w Poznaniu. Ekspert w zakresie edukacji medialnej, autor wielu badań dotyczących użytkowania nowych mediów (m.in. polskiej części ySKILLS i EU Kids Online), agresji elektronicznej i cyberprzemocy wśród dzieci i młodzieży.

nym od życia tworem, enklawą. Co z tego, że zakażemy czegoś w jej murach, skoro uczniowie będą szkodliwie używać telefonu przez pozostałą część doby? To trochę jak z zakazem sprzedaży drożdżówek w sklepikach szkolnych: w szkole może ich nie być, ale we wszystkich sklepach w jej sąsiedztwie i tak są sprzedawane.

Telefony częściej niż do drożdżówek porównywane są ostatnio do ciężkich używek. Autorzy listu ISO powołują się na wyniki badań dowodzących, że ubytki w mózgu osób uzależnionych od smartfonów są podobne do obserwowanych u narkomanów.

Pełna zgoda, że nie wolno nam lekceważyć tego zjawiska. Zwłaszcza że jego skala – kilka procent młodych ludzi już uzależnionych od urządzeń ekranowych, kilkanaście zagrożonych uzależnieniem – wzrosła po pandemii i do dziś utrzymuje się na podwyższonym poziomie. Dlatego nie próbuję dowodzić, że nie mamy problemu, tylko staram się wskazać, że metody radzenia sobie z nim mogą być różne. A szkolne zakazy, zwłaszcza gdybyśmy mieli się do nich ograniczać, niczego nam trwale nie ułatwią.

Spróbujmy pójść inną drogą: oduczajmy tego, co w telefonach najbardziej szkodliwe, czyli bezsensownego, odruchowego użytkowania ekranów, ale też uczymy używania konstruktywnego i rozwojowego. Tu szkoła może wiele zdziałać.

Nauczyciele są na to gotowi?

Jedni są, inni niekoniecznie: tu jest bardzo wiele do zrobienia. Na studiach uczą się już edukacyjnego wykorzystywania nowych technologii, ale zajęć tych jest za mało. A chodzi przecież nie tylko o zastosowanie sprzętu, lecz także o umiejętność wykorzystania technologii do efektywnego uczenia się i do współpracy między uczniami.

Proszę o przykłady.

Jedziemy na szkolną wycieczkę, a na niej wykorzystujemy komórki do nakręcenia reportażu z jej przebiegu. Albo wspólnie tworzymy film pokazujący pracę ludzi – np. w sąsiadującej ze szkołą piekarni. To by była nauka funkcjonowania ważnej branży, ale też lekcja rozmowy z ludźmi, montażu, sposobu opowiadania historii, a nawet refleksji na temat gospodarowania czyjąś prywatnością, bo trzeba bohaterów reportażu zapytać o zgodę na filmowanie i ewentualną emisję. Uczymy się mnóstwa rzeczy naraz i ani przez chwilę nie robimy niczego, co by się kojażyło ze szkodliwością czy uzależnieniem. Mamy w rękach smartfon, ale on schodzi na dalszy plan – jest narzędziem do tworzenia czegoś wartościowego.

Albo inny przykład, z obszaru sztucznej inteligencji, którą w polskiej szkole – zgodnie z wynikami przeprowadzonych niedawno przez NASK badań – wykorzystuje regularnie tylko 6 proc. nauczycieli. Oczywiście, można o sztucznej inteligencji opowiadać nieustannie w kontekście zagrożeń – że generowane przez nią treści, np. szkolne wypracowania, zabijają twórczą edukację itd. Ale ta sama AI może nam posłużyć za wspaniałe narzędzie tworzenia dialogów do nauki języków obcych.

Żeby te wszystkie szanse wykorzystać, musimy zmienić myślenie: przestać mówić o inwestowaniu w technologie, a zacząć dyskutować o inwestowaniu w technologiczne kompetencje. Tu jest naprawdę dużo do zrobienia. A przy okazji ograniczamy szkodliwe używanie komórek i innych urządzeń ekranowych w szkole. Ale róbmy to rozsądnie, zastanawiając się, jak to szkodliwe użytkowanie zastąpić konstruktywnym. Ta refleksja jest znacznie trudniejsza i droższa niż wydanie ogólnego zakazu – ale na pewno bardziej się nam opłaci.

©© Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycje

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM

**Wierzimy,
że świat
da się naprawić.
Zróbmy to wspólnie**

1,5%



Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Przekaż 1,5% podatku
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.**

» KRS 0000 125 605



Bystrzyca Kłodzka

Podszepty i krzyki

MAREK RABIJ

**Czas przeszły nie przegrał tu z teraźniejszym.
W Kotlinie Kłodzkiej oba płyną harmonijnie tuż obok siebie.**

CO ROBIĆ W KOTLINIE KŁODZKIEJ, GDY pada? Google wyskakuje z tym pytaniem, gdy tylko wpisać mu nazwę krainy w okienko wyszukiwarki. Widocznie słyszy je dostatecznie często, by sporządzić na takie okazje gotowiec z szybkimi podpowiedziami. Jego rekomendacje są oczywiście do bólu przewidywalne, lecz nie o ich jakość chodzi, a o samo pytanie.

Wielkość średniorocznych opadów w Kotlinie Kłodzkiej to z małym hakiem 82 centymetry na metr kwadratowy, co nie czyni tego zakątka Polski krainą deszczowców, choć średnia krajowa na poziomie 53 centymetrów jest zauważalnie niższa. Dlaczego więc deszcz w Kotlinie Kłodzkiej stał się kwestią tak palącą, że musiał się nią zająć nawet najsłynniejszy algorytm tego świata?

Nie mam pojęcia. Wiem za to, że z kilkunastu moich pobytów w Kotlinie

Kłodzkiej rzeczywiście nie pamiętam ani jednego, kiedy z nieba nie polałyby się ściana wody, a partie szczytowe masywu Śnieżnika czy Rudawca nie kryłyby się za koldrą z chmur. Bez trudu, bo na bazie własnych doświadczeń, mogę więc odpowiedzieć na pytanie, co robić w Kotlinie Kłodzkiej, kiedy pada.

Najlepiej nie robić nic.

Mons Iulii

Gdyby rzymskie legiony, które w II wieku po Chrystusie zaczęły odważnie zapuszczać się na północ od Alp, poczyniły jeszcze jeden wysiłek i na dłużej przekroczyły linię Sudetów, losy tej części późniejszej Polski potoczyłyby się niemal na pewno inaczej. Bitni synowie Romulusa w swym marszu na północ zatrzymali się jednak gdzieś na wysokości środkowych Moraw, żeby stąd podejmować jedynie rajdy w kierunku Bałtyku rodzą-

cego ich ukochane *electrum*, czyli bursztyn, i karcie dumnych Markomanów czy Swebów kolejnymi operacjami pacyfikacyjnymi. Obóz wojskowy Mons Iulii (łac. Góra Juliusza), założony około 165 roku po Chrystusie najpewniej przez żołnierzy Legio XII Fulminata, od południowego skraju Kotliny Kłodzkiej dzieliło w linii prostej ledwie 150 kilometrów, ale tego dystansu *Pax Romana* ostatecznie nigdy nie zdołała pokonać. Pozostały po niej tylko ślady rzymskich wypraw szlakiem bursztynowym, który Sudety przekakiwał gdzieś w okolicy dzisiejszego przejścia granicznego Kudowa-Zdrój, oraz stara nazwa obozu Mons Iulii, pobrzmiewająca dyskretnie w nazwie miasta Olomouc, które wyrosło w jego miejscu.

Skoro w tej opowieści nagle pojawili się starożytni Rzymianie, czas wyjaśnić, co tu robią. Nikt lepiej niż oni nie opanował sztuki *otium*, szlachetnej beczynności, podczas której umysł bierze wolne od ciała i oddala się w tylko sobie znane zakątki jaźni. W czasach Marka Aureliusza, spod ręki którego naprzemiennie wychodziły to słynne „Rozmyślenia”, to dekrety nakazujące legionom maszerować na północ przez morawskie błota, sztuka *otium* była luksusem zastrzeżonym dla elit. Gdy w Kotlinie Kłodzkiej pada deszcz – a uzgodniliśmy już, że pada tu często – rozsądnemu człowiekowi pozostaje

pogodzić się z tą okolicznością i zanurzyć się w pierwszym luksusie, jaki wymyśliła zachodnia cywilizacja. Dopiero wtedy historia i charakter tego miejsca wyjdą na powierzchnię.

Poza trasą

W dekalogu świadomego turysty przykazanie zwiedzania poza uczęszczanymi trasami i w swoim własnym tempie jest dziś marzeniem niemożliwym do spełnienia. Niemal dwieście lat po stworzeniu przez Thomasa Cooka zrębów turystyki zorganizowanej wszyscy jesteśmy postturytami i czas najwyższy się z tym po prostu pogodzić. W Kotlinie o tę zgodę będzie o tyle łatwiej, że duża część tutejszych „atrakcji turystycznych” w swojej formie odwołuje się do stylizacji odpustu.

Nieczynna kopalnia w Złotym Stoku to cel na jeden raz i raczej na wyprawę z dziećmi, o ile są w wieku, w którym jeszcze nie wstydzą się tanich zachwytów. Na wiecznie zatłoczonym Szczelińcu Wielkim zapewne byliście ze szkołą i wieksość z was też pewnie poprzysięgła sobie wówczas, że z własnej woli już tam nie wróci. Jaskinia Niedźwiedzia robi oczywiście wrażenie, ale idę o zakład, że wrażenia z pobytu nadszarpną wam przyczekawę dowcipy przewodników. Twierdza Kłodzka, owszem, arcydzieło europejskiej sztuki fortyfikacyjnej, lecz serwowane zgodnie ze starą polską szkołą muzealnictwa spod znaku „nie dotyczyć ekspozatów”. W muzeum filumenistycznym w Bystrzycy Kłodzkiej większości dorosłym cierpliwości starczy z kolei tylko na zorientowanie się, że chodzi w istocie o muzeum zapalek. Odpoczniecie dopiero, kontemplując wodosпад Wilczki w Międzygórzu i samą zabudowę zabytkowej części tej miejscowości (zwłaszcza XIX-wieczny budynek sanatorium Gigant). Porównania do Baden-Baden, które można wyczytać w niektórych bedekerach, są jednak czystą uzurpacją. Na to miano prędzej zasługuje lądecki zakład kąpielowy „Zdrój Wojciech” z klasycystycznym basenem, którego nie powstałyby się łaźnie Gellérta w Budapeszcie – ale tu z kolei lepiej nie zapuszczać się bez grubego portfela.

Buszując w borówkach

Dlatego po Kotlinie najlepiej włóczyć się bez celu. Ewentualnie – w poszukiwa-

niu celu równie abstrakcyjnego jak wystawiona swego czasu na sprzedaż wieś-widmo Wrzosówka, położona na zboczach górującej nad Łądkiem-Zdrojem Borówkowej. Na przedwojennej fotografii widać jeszcze miejscowość opisaną, być może z błędem, jako Heildelberberg (sic!). Nieliczne, ale solidnie zbudowane, kryte dachówką domy z pobielonymi ścianami, ogrodzenia z kamienia, drzewa owocowe i polna droga. Pierwsi mieszkańcy pojawili się w niej już w XVI stuleciu. Wieś szczęśliwie przetrwała wojnę trzydziestoletnią, wojny śląskie, epokę napoleońską, a zawierucha I wojny światowej nawet jej nie tknęła.

Katastrofę przyniosła dopiero kolejna. W 1945 roku porzuconą przez autochtonów miejscowość przemianowano na Wrzosówkę i oddano polskim osadnikom zza Bugu. Niemal za płotem rozciągała się jednak czechosłowacka granica, dlatego ogarnięte szpiegowską obseją władze PRL rychło doszły do wniosku, że wieś musi zniknąć. Zaczęło się kuszenie mieszkańców domami w innych miejscowościach, aż wreszcie w latach 70. XX wieku ostatni z osadników zdał gospodarstwo państwu w zamian za emeryturę. Budynki popadły w ruinę. W takim stanie przetrwał jedynie miejscowy kościółek.

Kilkanaście lat temu lądecki samorząd, nie chcąc parcelować działki, zaczął szukać kupca na całą wieś. W prasie pojawiły się nawet rozważania, co mogłoby stać w tym miejscu. Wrzosówkę przemierzano na lokalizację luksusowego ośrodka dla myśliwych. Był też pomysł, żeby za pieniądze NATO otworzyć tu centrum rehabilitacji dla weteranów operacji w Iraku i Afganistanie. I jedno, i drugie ostatecznie nie wypaliło, ku rozpaczy lądeckich radnych i ku radości miłośników przyrody, którzy ciszy panującej na łące wyrosłej w miejscu dawnej Wrzosówki i rozciągającego się stąd widoku na Kotlinę nie oddaliby i za 6 mln zł, jakich żądano od potencjalnego kupca. Jedyną atrakcją turystyczną okolicy pozostał unikat, jakim jest pomnik ku czci psów myśliwskich, ufundowany w lesie przez tu-tejszych synów św. Huberta.

Po podwójnej powierzchni

Kręcąc się bez planu po Kotlinie, prędzej czy później odkryjecie jej największą tajemnicę, choć właściwie trudno na-

zywać sekretem coś, co da się tu odczuć praktycznie na każdym kroku. Czas te-raźniejszy nie góruje tu nad przeszłym. Oba wciąż płyną harmonijnie obok siebie. Modna i nietania restauracja opodal Łądku-Zdroju zaszerwuje wam dania prosto z książki kucharskiej niemieckiej gospodyni, która w tym samym miejscu prowadziła przed wojną *Gasthaus*, ale podane w formie, do jakiej nie przyczepiliby się jurorzy przewodnika kulinarnego Michelin. Jadąc rowerem, zatrzymawszy się przy drodze i poprosiwszy miejscowych o szklankę wody, możecie odkryć, że podano ją wam w wyszczerbionym kubku, który pamięta początki XX wieku. W wielu domach zachowało się sporo śladów po poprzednich właścicielach wyproszonych stamtąd z dnia na dzień przez historię. Ich współcześni lokatorzy na 1 listopada zapalają znicze na grobach, które tamci musieli zostawić bez opieki.

Niedaleko stąd z mgły historii wyjechał też kilka lat temu Złoty Pociąg, a dzieci w Wałbrzychu w głosowaniu na patrona szkoły wybrały rezydentkę pobliskiego zamku Książ, która wygrała z Janem Pawłem II. Przeszłość Kotliny, przez stulecia pisana szwabachą, zniknęła wprawdzie z powierzchni, starta przez upływ czasu i zapobiegliwość komunistów, ale wciąż wraca bądź to w formie pojedynczych artefaktów, bądź pod postacią klechd i plotek. Będąc tu, jak niemal wszędzie na Ziemiach Odzyskanych, stąpa się więc niejako po podwójnej powierzchni, spod której dochodzą tajemnicze podszepty i krzyki.

Zapewne dlatego tak bardzo kochają Kotlinę artyści. W Gniewoszowie, a obrazowo mówiąc: pośrodku niczego w maszywie Gór Bystrzyckich, przycupnęło Monochrom Studio, nowoczesne studio nagraniowe założone przez Ignacego Gruszeckiego i Natalię Wakulę, którzy goszczą tu regularnie najgłośniejsze nazwiska polskiej sceny muzycznej, pracujące nad nowymi kompozycjami. Niespełna dwadzieścia kilometrów dzieli Gniewoszów od Bystrzycy Kłodzkiej. Miano „polskiego Carcassonne” przywłaszczył sobie wprawdzie pobliski Paczków, ale Bystrzyca mogłaby z powodzeniem ubiegać się o równie absurdalny tytuł „polskiego Hollywood”. Na tutejszym dworcu kolejowym Krzysztof Krauze nakręcił część scen z filmu „Nowy Jorku, czwarta rano”. Miejski rynek, ➔

→ dla niepoznaki zwany placem Wolności, wystąpił z kolei w „Nikt nie woła”, „Pierwszym dniu wolności”, „Pokocie” i „Czterech pancernych”. Specyficznemu urokowi ulicy Osiedlowej, która mogłaby zagrać każde polskie podwórko pamiętające PRL, nie oparł się nawet Bogusław Linda, umieszczając tu kilka kadrów „Sezonu na leszcza”.

Krauze skarżył się potem w wywiadach, że swój fabularny debiut, jakim był „Nowy Jork, czwarta rano”, uważał za porażkę. „Robiliśmy ten film we wspianych humorach. Wydawało mi się, że kopiujemy jakiś Hrabalowski temat: prowincja, prości ludzie, ciepłe klimaty... I nagle nie udało się. W dodatku nie rozumiałem dlaczego. Sądziłem, że może źle napisałem scenariusz, może była zła obsada... A błąd tkwił we mnie”.

Otóż niekoniecznie.

Jarmusch by tego nie wymyślił

Błąd mógł polegać na czymś, czego reżyser miał prawo nie dostrzec. Kotlina Kłodzka po prostu gardzi estetyką Hrabala. Nie chce mieć nic wspólnego nawet

Kotlina Kłodzka
nie zasługuje
na epizodyczną rolę
w narracji o czymś innym.
**Czeka na wielką opowieść,
z sobą w roli głównej.**

z Tomaszem Mannem, skoro nie sprawdziła się jako odpowiednik Davos, którym w „Empuzjonie” próbowała uczynić Kotlinę Olga Tokarczuk. Kotlina nie zasługuje na epizodyczną rolę w narracji o czymś innym. Czeka na wielką opowieść, z sobą w roli głównej.

Jaka byłaby to historia? Z pewnością nic monumentalnego. Geografia po prostu narzuca tu kameralną formę. Mógłby pojawić się w niej na przykład świeżo upieczony lekarz na dyżurze w ponie mieckim, rozpadającym się szpitalu w Bystrzycy Kłodzkiej, który na widok dziecięciolatka z paskudnie złamaną ręką

przyznaje się do zawodowej bezsilności i ogranicza do pogłócenia radia, w którym leci właśnie ulubiony kawałek małego pacjenta.

– „Under Pressure” – powiedziałby nagle chłopiec.

– Proszę? – odrzekłby zdziwiony medyk.

– No, w radiu leci „Under Pressure”. Ja bardzo lubię Freddiego Mercurego, proszę pana – wyjaśniłby chłopak, ewidentnie tracący z bólu kontakt z rzeczywistością.

– Ja ci na to złamanie nie pomogę, tu trzeba dobrego chirurga – odparłby lekarz z niespodziewaną czułością w głosie. – Ale jeśli od tej muzyki boli cię mniej, to... to spróbujmy zwiększyć dawkę.

Nie muszę zmyślać tej sceny. Wraz z żoną uczestniczyłem w niej parę lat temu w bystrzyckim szpitalu, do którego zawieźliśmy syna, który pierwszego dnia wakacji spadł po deszczu z mokrej huśtawki i złamał przedramię.

– Jarmusch by tego nie wymyślił – szepnęła wtedy do mnie żona.

© P MAREK RABIJ

REKLAMA

KTO I CO RZĄDZI KOŚCIOŁEM W POLSCE? Opowieść z wnętrza systemu



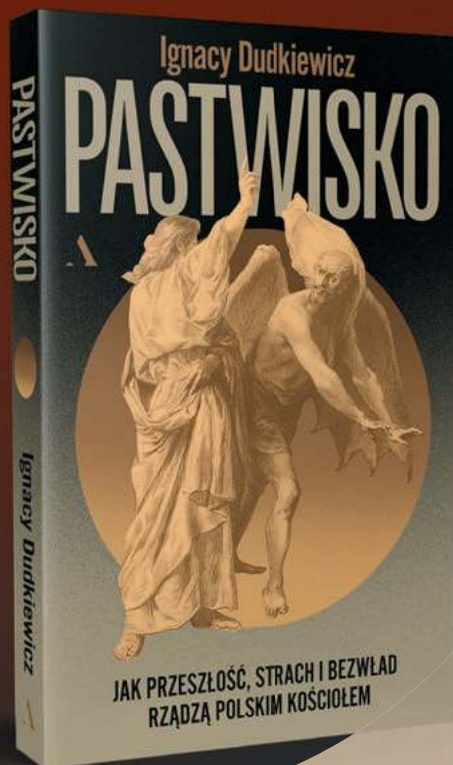
Napisana z wewnątrz,
z bólem, twarzą,
a jednocześnie czuła,
ta książka winna stać
się lekturą każdego,
kto zadaje sobie pytania
o Polskę z Kościołem
i Polskę bez niego.

ANDRZEJ
LEDER

Ignacy Dudkiewicz
stworzył studium
rozkładu polskiego
Kościoła.

Nikt przed nim nie
opisał tego zjawiska tak
trafnie, fachowo
i kompleksowo.

MIROSŁAW
WLEKŁY



TOMASZ

Stawiszyński: Gargantuiczni spiskowcy



JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ CHARAKTERYSTYCZNYCH cech teorii spiskowych jest gargantuiczność zaludniających je postaci. Dodajmy – wielowymiarowa. Nie chodzi wyłącznie o nieprzyjemną aparycję czy charakter, ale także o... potęgę. Kiedy się tylko zaczynamy uważniej przyglądać dowolnej narracji tego typu, zaraz się przed naszymi oczami wyłania jakieś monstrum o mocach co najmniej proporcjonalnych do własnej okropności. Przykładem – przedstawiciele tajnych organizacji rzekomo dyrygujących światem. Są nie tylko cyniczni, brutalni i pozbawieni skrupułów, ale i zdolni do metodycznego oszukiwania całej ludzkości: inscenizowania katastrof albo organizowania wojen pod zupełnie innymi aniżeli faktyczne pretekstami.

Jest to oczywiście – ta przypisywana spiskowcom potęga – nieuchronna konsekwencja założenia, że stoją oni za tym, co oficjalnie tłumaczy się splotem mnóstwa czynników, również przypadkowych. Delegowanie im sprawstwa zdarzeń na skalę globalną – lub przynajmniej krajową – automatycznie implikuje ich nietuzinkową siłę. A zarazem domyka strukturę, na której każde myślenie spiskowe się opiera, znosi bowiem lwią część ograniczeń nakładanych na obraz świata przez logikę i empirię. Dysponując figurą gargantuicznego spiskowca, można przypisać jej wszystko i wszystko za jej pomocą uzasadnić. To m.in. odpowiada za pancerną trwałość myślenia spiskowego i jego odporność na racjonalne argumenty. Niezależnie od tego, jakie istnieją przesłanki na rzecz tezy przeciwnej, zawsze gdzieś w tle majaczy niepokojąca możliwość, że mamy do czynienia ze świadomie ustawioną mistyfikacją. Moce gargantuicznego spiskowca są wszak tak ogromne, że zdolne do upozorowań, o których się zwykłemu śmiertelnikowi nawet nie śniło. Z chwilą przyjęcia tego założenia nasz obraz rzeczywistości odkleja się od pierwowzoru i odtąd kształtuje wedle reguł fantazji oraz potrzeb emocjonalnych, które bez żadnych już zakłóceń może efektywnie zaspokajać.

Naturalnie, widziani w ten sposób spiskowcy zyskują nadzwyczajne moce, ale i tracą człowiecze kontury. Albo wprost – kiedy się ich uznaje np. za przedstawicieli odmiennego, najczęściej jaszczurczego gatunku – albo pośrednio, kiedy po prostu przestaje się do nich stosować takie same kry-

teria, jakie się stosuje do innych ludzi. Tu znowu domyka się koło: wyłączenie spiskowców spod antropologicznych kategorii wzmacnia obcość i usprawiedliwia nasze negatywne uczucia, a zarazem stanowi rękojmnię tej ich nieludzkiej potęgi.

Dodać przy tym należy, że – w takiej czy innej postaci – każdy potencjalnie może się w sidła myślenia spiskowego zaplątać. Żadna opcja polityczna, żadna afiliacja światopoglądowa nie chronią przed tego typu pokusami. Choć oczywiście – co jest skądinąd kolejnym elementem charakterystycznym – myślenie spiskowe jest czymś, co najczęściej dostrzega się u innych, a jedynie z rzadka u siebie. To głównie „oni” popadają w spiskowe irracjonalności, „my” natomiast żywimy co najwyżej zasadne podejrzenia i zgłaszamy jak najbardziej słuszną wątpliwość.

Widać to wszystko wyraźnie w rozprzestrzeniających się w mediach społecznościowych teoriach spiskowych dotyczących choroby Zbigniewa Ziobry (którego, zaznaczam, nie darzę nawet minimalną sympatią). Po pierwsze więc – mamy tu niewiarygodne wprost zdolności i siły. Polityk ów dysponuje przebiegłością i wpływami tak rozległymi, że udaje mu się od dłuższego już czasu symulować przed Polską śmiertelną chorobę. Po drugie – mamy widome efekty owych mocy: mistyfikację na niespotykaną skalę. W spisku niechybnie uczestniczyć musi przecież cały bez wyjątku zespół Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej, o innych osobach mających na ten temat jakiegokolwiek informacje już nawet nie wspominając. W przeciwnym razie jakiś *whistleblower* dawno już by poszedł z tym do mediów. Po trzecie – mamy świat, w którym figura gargantuicznego spiskowca znosi logiczno-empiryczne ograniczenia. Dlatego właśnie wyznawców tej teorii nic nie jest w stanie przekonać. Ani argumenty, że spisek na taką skalę zostałby rychło zdemaskowany, ani fotografia pacjenta wraz z opisem historii choroby, ani nawet wypowiedź tego czy tamtego lekarza ze szpitala, w którym leczenie się odbywa. Po czwarte natomiast – i może najważniejsze – występuje tu zawieszenie reguł, które przyjęta w tej kulturze obyczajowość nakazuje stosować wobec innych ludzi, nawet jeśli są to polityczni przeciwnicy czy wręcz wrogowie. Zgadzamy się zazwyczaj, że cudza śmiertelna choroba skłaniać nas powinna do powstrzymania, a przynajmniej powściągnięcia nienawistnych ekspresji. Tymczasem tutaj działa dokładnie to, o czym była mowa powyżej: przydawaniu wrogowi cech nieludzkich towarzyszy zmiana kryteriów etycznych, jakie się wobec niego stosuje.

Rozprzestrzenianie się tego typu poglądów i postaw jest bardzo niebezpieczne. Także dlatego, że dzieje się to wśród ludzi przekonanych nie tylko o swoim racjonalnym widzeniu świata, ale także wysokim morale. Otóż uleganie spiskowym mechanizmom z racjonalnością nie ma wiele wspólnego, podobnie jak z wysokim morale nie mają wiele wspólnego nienawiść i pogarda manifestowane publicznie wobec śmiertelnie chorego przeciwnika. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/

Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl

POMOC, CZYLI SZKOŁA ŻYCIA

O tym, że wojna wybuchnie akurat wtedy,
gdy wyjedzie do Gazy na ślub brata,
Omar Albhaisi wiedzieć nie mógł.
Nie mógł też przewidzieć, że powrót do Krakowa będzie graniczył z cudem.
I że znajdą się ludzie, którzy dla jego ratowania zrobią tak wiele.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

PONAD 5 LAT TEMU OMAR, PALESTYŃCZYK z Gazy, przyjechał do Polski na studia. Po nich zaczął pracę w krakowskim oddziale IBM jako księgowy władający językiem arabskim. – Od razu skradł nasze serca: to spokojny, kulturalny i empatyczny chłopak. Raz na jakiś czas odwiedzał rodzinę – wyjeżdżał wtedy na dłuższy urlop. Tym razem wyjechał na ślub brata – opowiada Małgorzata Szupieńko, jego była szefowa.

Pomoc dla Omara

– Gdy zadzwonił kilka tygodni po wybuchu wojny, byłam pewna, że wrócił już do Krakowa. Okazało się, że wojna dopadła go dwa dni po rodzinnej uroczystości. Bardziej martwił się o to, że nie wróci na czas do pracy niż o swoje zdrowie. Cały Omar – opowiada Szupieńko.

Jej zespół jest wielonarodowy, pracownicy pochodzą również z krajów dotkniętych konfliktami. – Omar zakładał, że wojna będzie krótka – bo takie wojny poznał do tej pory. Regularnie byliśmy z nim w kontakcie, przysyłał zdjęcia z bombardowań budynków publicznych znajdujących się nieopodal. Uważał, że w rodzinnym domu jest bezpieczny. Postanowiliśmy jednak zadziałać – mówi krakowianka. Zaczęli się kontaktować ze

wszystkimi, którzy mogli pomóc, m.in. z ambasadami RP w Kairze i Tel Awiwie. W sprawę włączył się dział prawny, HR i dyrektor oddziału IBM. Zwrócili się do oddziałów firmy na Bliskim Wschodzie z prośbą o wsparcie.

– Do dziś nie wiemy, co ostatecznie mogło Omarowi. Mam przecucie, że to właśnie zaangażowanie pracowników firmy i nagłośnienie sprawy na poziomie korporacyjnym nadało sprawom bieg. Byliśmy w ciągłym kontakcie z ambasadami. W połowie października z ambasady w Tel Awiwie nadeszła dobra wiadomość: Omar znalazł się na liście osób, które zostaną przepuszczone na przejściu granicznym z Egiptem w Rafah. Czekaliśmy dwa dni na oficjalne opublikowanie tej listy. W dniu, w którym Omar miał udać się na przejście graniczne, Strefa Gazy została odcięta m.in. od prądu. Straciliśmy z nim kontakt – mówi Szupieńko.

Gdy Omar złapał zasięg po kilku godzinach, krakowski zespół odetchnął z ulgą: chłopak przedostał się do Rafah na czas. Na granicy czekała już na niego przedstawicielka ambasady RP w Kairze. Za zebrane wcześniej pieniądze zespół kupił chłopakowi bilet na samolot. Dwa dni później był już z powrotem w Krakowie.

W Polsce na Omara czekali nie tylko przyjaciele, ale też pełna lodówka i zorganizowana przez firmę pomoc finansowa dla jego rodziny, która pozostała w Gazie. – Przyjaźnimy się, zależy nam na nim. Pomoc Omarowi była naturalnym odruchem, i każdy w takiej sytuacji postąpiłby tak samo – puentuje Małgorzata Szupieńko. Dodaje, że choć wiele osób – w tym ona sama – rozstało się już z firmą, sprawa Omara połączyła ich tak bardzo, że wciąż są w stałym kontakcie.

Wspólnie starają się teraz pomóc rodzinie chłopaka. Chcieliby na czas wojny sprowadzić do Polski jego 17-letniego brata Asaada. Internetowa zbiórka środków na ten cel, którą założyła Małgorzata, już ruszyła. Mają nadzieję, że i tym razem – wbrew przeciwnościom – uda się uratować czyjeś życie.

Zbiórki i zrzutki

Z badań o dobroczynności wynika, że najczęściej wybieraną przez nas formą pomocy jest właśnie przekazywanie funduszy. Szybkie i niewymagające większego wysiłku: dwoma kliknięciami w telefonie jesteśmy w stanie wesprzeć ofiary wojen czy kataklizmów albo zbiórki na leczenie bliskich i znajomych, a nasza pomoc dociera dokładnie tam, gdzie jest



potrzebna, nawet w szybko zmieniających się okolicznościach. Zyskujemy nie tylko satysfakcję z pomagania, ale realną sprawczość i poczucie wpływu na sytuację.

– Kultura pomagania, którą promujemy – zakładająca korzyści zarówno z otrzymywania pomocy, jak i jej udzielania – jest fundamentem społeczności. Zbliżyła nas do siebie, uczy wzajemnego zaufania, sprawia, że możemy na siebie liczyć, wpływa na nasze pozytywne relacje. Pomaganie jest też przyjemne. Lubimy to robić – przekonuje Natalia Zdrojewska z portalu Pomagam.pl.

– Ludzie, którzy znaleźli się w trudnej życiowej sytuacji, często zgłaszają się do nas z pytaniem, czy ich sprawa jest wystarczająco poważna, a cel odpowiednio szczytny, by prosić innych o pomoc. Okazuje się, że w takiej sytuacji, obok lęku i poczucia osamotnienia, towarzyszy nam także obawa przed ocenianiem przez innych. Mówimy im wtedy, że każdy człowiek może znaleźć się w sytuacji, gdy będzie potrzebował wsparcia, a ono może przyjmować różne formy. Czasem jest to rozmowa z przyjacielem, przytulenie, słowa otuchy, ale bywa to również wsparcie finansowe – mówi „Tygodnikowi” Zdrojewska.

Co ludzie powiedzą

Okazuje się, że prosić jest nam trudniej, niż dawać. – Wiele zbiórek ujawnia pokłady wstydu. „Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę prosić o pomoc, ale choroba zmusiła mnie do tego”, „uwierzcie: łatwiej jest pomagać niż prosić o pomoc” – piszą potrzebujący. Powraca pytanie: „co ludzie powiedzą?”. Prośbienie o pomoc wciąż jest u nas postrzegane jako przejaw braku zaradności życiowej. Ludzie nie chcą się też dzielić informacjami o swoich chorobach, bo dla nich to zbyt intymna sprawa. Tymczasem każdy z nas może się znaleźć w trudnej sytuacji, często nie mamy na to wpływu. – podsumowuje Zdrojewska.

Ze zbiórkami wiąże się też silne tabu dotyczące pieniędzy. Nie chcemy o nich mówić, boimy się oceniania. Głośnie w tym kontekście stają się zbiórki organizowane przez celebrytów, uznawanych powszechnie za osoby majątne. Gdy w 2022 r. modelka Magdalena Stępień ogłosiła zbiórkę na leczenie swojego syna chorego na rzadki nowotwór, nie było końca pytaniom o status finansowy jej i ojca dziecka.

Po dwóch latach szeroko zakrojonej pomocy udzielanej ukraińskim uchodźcom głosy wzywające do rozliczeń, napę-

Śniadanie w przedszkolu Frajda przy JCC, które od czasu ataku Hamasu na Izrael działa na pełnych obrotach. Kraków, 26 stycznia 2024 r.

dzane animozjami historycznymi i politycznymi, słyszać coraz częściej.

– Gdy w Ukrainie w 2022 r. rozpętała się wojna, chyba każdy z nas poczuł, że sąsiad potrzebuje wsparcia. Ruszyła pomoc na wielką skalę. W Pomagam.pl również pierwszego dnia konfliktu uruchomiliśmy zbiórkę i w ciągu doby zebraliśmy milion złotych. Równolegle ruszyły tysiące innych zbiórek zakładanych na rzecz Ukrainy. Na konkretne sprawy: czyjeś leczenie, transport osób z niepełnosprawnościami, dzieci z sierocińca. Były też zbiórki na zwierzęta, ich ewakuację i przewóz. Z podsumowania, które zrobiliśmy na okoliczność dwóch lat od wybuchu wojny, jasno wynika, że w trudnych momentach mobilizujemy się i pokazujemy jedność – dodaje Zdrojewska.

Sklep, szkoła, przedszkole

– Mamo, a co będzie, gdy Ukraina przegra wojnę, a Putin najedzie na Polskę? Dokąd wtedy pojedziemy? – pyta niespełna pięcioletni Michaś. Dzień wcześniej rozmawiał o wojnie w przedszkolu – nie z wychowawcami czy z rodzicami, →

→ lecz kolegami z grupy starszaków. Większość z nich to uchodźcy z Ukrainy, a także dzieci z rodzin izraelskich. Mimo swoich pięciu lat wiedzą, co oznacza słowo „wojna”, jak brzmi alarm przeciwrakietowy i jak to jest opuścić swój dom. W przypadku niektórych ucieczka przed wojnami to niemal stały element ich krótkiego życia.

Rozmowy przedszkolaków toczą się na krakowskim Kazimierzu. To tu, w przedszkolu Frajda przy Jewish Community Centre (Centrum Społeczności Żydowskiej), na dzienną opiekę mogą liczyć dzieci z rodzin o żydowskich korzeniach. Do 2022 r. przedszkole liczyło kilkanaście dzieci. Po ataku Rosji na Ukrainę zaczęło się rozrastać o napływających do Krakowa uchodźców. Po ataku Hamasu na Izrael i kolejnym napływie – tym razem izraelskich rodzin – przedszkole pęka w szwach. Zresztą nie tylko ono.

– Wojna w Ukrainie wybuchła wcześniej rano. Gdy dotarliśmy do pracy, od razu ustaliliśmy: nie wiemy, co się dalej wydarzy, ale jest pewne, że do Polski dotrą uchodźcy, którym musimy pomóc – wszystkim, bez wyjątku, nie tylko ze społeczności żydowskiej. Tego samego dnia wywiesiliśmy nad naszą bramą niebiesko-żółty baner z ukraińskim powitaniem – by wiedzieli, że mogą się u nas poczuć mile widziani – opowiada Jonathan Ornstein, dyrektor JCC Kraków. – Z dnia na dzień pojawiło się wielu uchodźców, a my zaczęliśmy organizować im pomoc – począwszy od ubrań, jedzenia i leków, po szukanie dla nich dachu nad głową. Codziennie z naszego darmowego sklepu spożywczego, który działa na parterze, korzysta nawet 500 osób. Otworzyliśmy go 25 lutego 2022 r. i nigdy nie zamknęliśmy – mówi Ornstein.

Jak wynika z danych organizacji, od czasu wybuchu wojny przez JCC prze-

winęło się ponad 350 tys. ukraińskich uchodźców.

Doświadczenie zorganizowanej pomocy okazało się przydatne, gdy wybuchła wojna Izraela z Hamasem. – Po zamachu Hamasu z 7 października było dla nas jasne, że musimy okazać wsparcie naszym braciom w Izraelu. Na bramach – obok polskiej i ukraińskiej – zawisła flaga izraelska, w kolejnych tygodniach wywiesiliśmy też zdjęcia i informacje o osobach porwanych do Gazy. Dowiedzieliśmy się też, że w Krakowie utknęło wielu Izraelczyków, którzy przyjechali w odwiedziny na czas przypadających wtedy świąt, i mieli problem z powrotem do domu. Potrzebowali naszej pomocy – np. organizacji lekarstw czy dłuższego pobytu – mówi Ornstein.

– Na jednym z pięter urządziliśmy dla nich centrum pomocy. Czekali tam nasi pracownicy, wolontariusze, w tym osoby mówiące po hebrajsku i gotowe coś przetłumaczyć. Przygotowaliśmy poczęstunek i kącik dla dzieci. Rodziny mogły przyjść po pomoc, ale mogły też po prostu posiedzieć, by nie być samemu w trudnych chwilach – opowiada. – Ta grupa nie potrzebowała jednak dużego wsparcia – Izraelczycy są samodzielni, nie potrzebowali też pomocy materialnej. Ale zauważyliśmy inną grupę – ukraińskich Żydów, którzy po wybuchu wojny wyemigrowali do Izraela, a potem zdecydowali się na wyjazd do Polski. Dla nich zdecydowaliśmy się powiększyć limit przyjęć do przedszkola. Opiekę dzienną nad dziećmi otrzymali od nas bezpłatnie.

Poczucie bezpieczeństwa

Ornstein przywołuje w pamięci jedną z izraelskich kobiet, która pojawiła się w JCC w pierwszych dniach po wybuchu wojny. Opowiedziała mu, że w Kra-

kowie przed II wojną światową mieszkał jej dziadek. Wyjechał do Palestyny, zanim wybuchła. Kobiecie wydało się znaczące, że dwa pokolenia później ona sama poszukuje w Krakowie schronienia dla siebie i swoich dzieci.

Jonathana wcale nie dziwi to, że kobieta wybrała Kraków. – Nie ma w tej chwili zbyt wielu miejsc w Europie, w których można czuć się bezpiecznie, będąc Żydem. A Polska zdecydowanie jest takim miejscem – mówi.

Od wybuchu obu wojen JCC działa na pełnych obrotach. To już nie tylko otwarte imprezy kulturalne i praca z polskimi członkami grupy, ale też opieka nad nowo przybyłymi rodzinami ukraińskimi i izraelskimi. Każda z tych grup ma swoją dynamikę, praca z nimi wymaga nie tylko czasu i zaangażowania, ale też dobrej organizacji.

Dlatego oprócz stałych pracowników JCC korzysta z pomocy wolontariuszy. W organizacyjnej hierarchii mają osobny dział i koordynatorkę, której praca jest w JCC uważana za jedną z trudniejszych. Nie bez powodu.

Wolontariat na co dzień

– Proszę mi uwierzyć: to naprawdę wymagające zajęcie – komentuje Katarzyna Osior-Szot ze Stowarzyszenia Centrum Wolontariatu. Jej organizacja uczy firmy oraz instytucje publiczne i organizacje pozarządowe, jak profesjonalizować wolontariat. – Promujemy zawód koordynatora wolontariatu, którego można się nauczyć wyłącznie w praktyce. Idealnie byłoby, gdyby taka osoba zajmowała się w firmie tą jedną kwestią: organizowała wolontariat. Trzeba połączyć dużo kompetencji, łącznie z zarządzaniem ludźmi, z systemami motywacji, z logistyką – bo przecież wolontariusze dysponują wolnym czasem wie-

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 412/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzu Hajduku, s. Edwarda i Adeli z domu Gruszeckiej, zmarłym 26 marca 2018 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałym pod adresem Szarów 143. Sądowi nie jest znany skład majątku spadkowego.

Sąd wzywa spadkobierców Kazimierza Hajduka, w szczególności rodzeństwo rodziców zmarłego i zstępnych tego rodzeństwa, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce, pod sygnaturą akt I Ns 872/21, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wiesławie Macieju Pencu, zmarłym 27 lutego 2021 r. w Krakowie i mającym swoje ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Skawinie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, w przeciwnym razie mogą oni być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

czorami czy w weekendy. Do tego dochodzą kwestie formalne: trzeba podpisać z wolontariuszem umowę, zadbać o jego bezpieczeństwo. Coraz więcej organizacji rozumie, że wolontariat, by działał, musi być profesjonalny – mówi Osior-Szot.

O tym, że to dziś ważny temat, świadczy statystyki: już ok. 30 proc. Polaków deklaruje swoje zaangażowanie w pracę wolontaryjną. Niewątpliwie w naszym podejściu do wolontariatu sporo się w ostatnich latach zmieniło. Przede wszystkim status wolontariatu: niegdyś rozumiany w kategoriach bezpłatnej pracy społecznej „dla tych, którym się nie udało”, dziś jest wręcz prestiżowy.

– Świadczy o obrotności, samodzielności, przedsiębiorczości, ciekawości świata i znajomości języków. Istnieją programy stypendialne, które przyznają punkty za działalność społeczną. Pracodawcy z coraz większą ciekawością odnoszą się do wolontariatów w CV. Mamy wolontariaty międzynarodowe, np. te organizowane przez Europejski Korpus Solidarności. W niektórych krajach – choć jeszcze nie w Polsce – wolontariat dodaje punktów przy rekrutacji na studia. U nas gwarantuje w tej chwili dodatkowe punkty podczas rekrutacji do szkoły średniej, co uważa się w naszym środowisku za kontrowersyjną praktykę: niektórzy twierdzą, że to wypaczanie idei. Z drugiej strony – dzieci poznają temat i jest szansa, że może choć część z nich zostanie z nami na dłużej – mówi „Tygodnikowi” Osior-Szot.

Stowarzyszenie Centrum Wolontariatu współpracuje z firmami, które rozwijają u siebie tzw. wolontariat pracowniczy. Ten zwyczaj, przeniesiony do nas przez korporacje, polega na angażowaniu pracowników we wspólne działania. Niektóre firmy dają pracownikom wolną rękę, zachęcając ich, by sami zgłaszali pomysły. Pracownicy zwracają wówczas większą uwagę na potrzeby z najbliższego otoczenia, takie jak pomoc sąsiadowi czy odnowienie zaniedbanego skwerku. To dobrze o nas świadczy: widać, że coraz częściej zajmuje nas nie tylko własne życie, lecz także życie lokalnej społeczności.



ARCHIWUM PRYWATNE X4

KATARZYNA OSIOR-SZOT: *Pomocy długoterminowej nie da się udzielać spontanicznie. Trzeba przy niej łączyć poryw serca z racjonalną strategią.*



JONATHAN ORNSTEIN: *W Krakowie utknęło wielu Izraelczyków, którzy przyjechali w odwiedziny na czas świąt, i mieli problem z powrotem do domu. Potrzebowali pomocy.*



NATALIA ZDROJEWSKA: *Z podsumowania, które zrobiliśmy po 2 latach od wybuchu wojny, jasno wynika, że w trudnych momentach się mobilizujemy.*



Znajomi mieszkającego w Krakowie Omara starają się pomóc jego rodzinie w Gazie. Chcieliby sprowadzić do Polski jego 17-letniego brata ASAADA. Ruszyła internetowa zbiórka środków na ten cel.

Obustronne korzyści

O popularności wolontariatu zadecydowało w ostatnich latach nasze rosnące zaangażowanie w społeczeństwo obywatelskie, ale też zdarzenia, których byliśmy świadkiem w skali światowej. – To chyba tkwi w naszym narodowym DNA, że bardzo się mobilizujemy tragediami – pokazały to zarówno pandemia, jak i wojna w Ukrainie. W tych momentach byliśmy w stanie dawać z siebie wszystko, by pomóc innym, ale i o tę pomoc prosić. To też jednak pokazuje, że mamy problem z zaangażowaniem długoterminowym. Jesteśmy bardzo dobrzy w wolontariacie „reakcyjnym”, uzależnionym od nagłej sytuacji, trudno nam utrzymać stabilność pewnej postawy przez dłuższy czas – przyznaje Osior-Szot.

Tym bardziej że wolontariat może czasem wypalać. Wolontariusz kieruje się poczuciem misji, nie wynagrodzeniem. Gdy zaczyna brakować mu satysfakcji, odchodzi. Pomoc czasem też rozczarowuje i sprzyja rozliczeniom.

Osior-Szot: – To widać było po ludziach, którzy zaraz po wybuchu wojny pojechali na granicę. Chcieli koniecznie zabrać Ukraińców do domu, i nagle się okazało, że nie są potrzebni. Potem pisali w internecie, że to była ściema, po co ja tam jechałem? Pomocy długoterminowej, skutecznej, nie da się udzielać spontanicznie. Trzeba przy niej łączyć poryw serca z racjonalną strategią. Sytuacje kryzysowe pokazują też w soczewce nasze własne problemy.

Specjalistka podkreśla, że z tematem wolontariatu idziemy w dobrą stronę. Mamy też nowo powołaną minister do spraw rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Największe miasta w Polsce inwestują w rozwój wolontariatu. Systemowo w Polsce jest coraz lepiej.

Osior-Szot: – W naszej pracy pokazujemy, że w relacji organizacja-wolontariusz i wolontariusz-beneficjent obie strony się czegoś uczą. Nie ma w tym nic złego, że wolontariusz ma ze swojej pracy satysfakcję, że się realizuje i że to jest jego motywacja, alternatywna forma zapłaty. Z wolontariatu wszyscy mają korzyść.

©© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Prenumerata „Tygodnika Powszechnego”?

Nareszcie dobry pomysł na przedwiośnie!



TYGODNIK POWSZECHNY

Tak, wiemy,
ta oferta to
dość dużo słów,
ale zaufajcie nam,
warto doczytać ją
do końca! Zresztą
– będzie ciekawie,
bo w „Tygodniku
Powszechnym”
wiemy, jak
przykuwać uwagę.

Szanowni Państwo,
Drodzy Czytelnicy!

Wraz z nadejściem kalendarzowej
wiosny przedstawiamy
świetną ofertę prenumeraty
„Tygodnika Powszechnego”.

Ale uwaga! Adresujemy ją do nowych
Prenumeratorek i Prenumeratorów
i jest ograniczona czasowo – potrwa
tylko trzy tygodnie, a konkretnie
od Wielkiej Środy 27 marca
do 23 kwietnia (włącznie), dlatego
warto skorzystać z niej od razu. Niby
dużo czasu, ale wiadomo, że wiosna
mija szybciej niż inne pory roku,
prawda? Szkoda byłoby zmarnować
taką okazję! (Mówimy o wiosnie
oraz o prenumeracie).

Zachęcamy Was do prenumeraty,
ponieważ to dzięki Wam, naszym
Czytelniczkom i Czytelnikom,
jesteśmy suwerenni. Przetrwanie
pisma zależy od Was, a nie od
władz politycznej czy
zawirowań w światowej gospodarce.

Prenumerując „Tygodnik Powszechny”,
macie pewność, że znacząco
przyczyniacie się do tego, że nasze
publikacje są niezależne, a autorzy
mają swobodę pisania i robią to
tak, jak lubią, czyli obiektywnie,
z szacunkiem dla faktów, podejmując
sprawy najważniejsze.

Stając się naszymi prenumeratorami,
współuczestniczycie w naszej
misji, a brzmi ona tak:
„Odważnie prowadzimy Czytelniczki
i Czytelników przez świat.
Zachęcamy do patrzenia na
rzeczywistość z różnych perspektyw.
Poszerzamy horyzonty myślenia
i wolności. Traktujemy prawdę
jako wartość nadrzędną.
Szanujemy innych i nie zamykamy się
na dialog. Wierzymy, że świat da się
naprawić”.

No ale co z tą naszą propozycją?
Przejdźmy do konkretów, bo przecież
obiecaliśmy Wam świetną ofertę
prenumeraty, skrojoną specjalnie
na wiosnę 2024.

TWOJA PIERWSZA PRENUMERATA. TAK JĄ ZAMÓWISZ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Mateusz
Chmielowski w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ

CENA

Z WYSYŁKĄ
EKONOMICZNĄ

Z WYSYŁKĄ
PRIORYTETOWĄ

- | | | |
|--|--------|--------|
| ■ Kwartał – 13 wydań plus
jedno Wydanie Specjalne
gratis! | 160 zł | 200 zł |
| ■ Rok – 52 wydania 60 wydań ,
czyli 2 miesiące gratis! | 550 zł | 680 zł |
| ■ Rok – 52 wydania 60 wydań ,
czyli 2 miesiące gratis
w ofercie POKOLENIA* | 480 zł | |
| ■ 4 Wydania Specjalne
(kwartalniki) | 100 zł | |
| ■ Rok – 52 wydania
+ Wydania Specjalne | 640 zł | 770 zł |
| ■ Rok – 52 wydania
+ Wydania Specjalne
w ofercie POKOLENIA* | 570 zł | |

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



Z ODDECHEM

NA ŁĄKACH ROZPROSZENIA

ANTONI KROH:

Całą historię związku ludu z tradycją
inteligentką trzeba by napisać na nowo.

Geniusz Wyspiańskiego
zawiera się w dwuwierszu:

„Ot, pany się nudzą sami, to się pięknie
bawiom z nami”.

BARTEK DOBROCH: Jak się zostaje etnografem?

ANTONI KROH: U mnie samo przyszło. Kiedy byłem dzieckiem, nie wiedziałem jeszcze, że taka nauka istnieje, ale wiedziałem, że ludzie są różni i z tej przyczyny trudno im się porozumieć. Pokochałem kulturę ludową, której już nie ma.

Trafił Pan na ostatni moment, w którym mógł Pan ją pokochać?

Już starszy ode mnie o pokolenie Roman Reinfuss mówił, że trafił na ostatni moment. Że nie może iść na wieś pytać chłopą, bo on od tego chłopą wie więcej. Dawniej etnograf szedł na wieś po informacje, teraz do etnografa idzie chłop, działacz, kierownik zespołu.

Co się zdarzyło, że przedmiot Pana pasji, miłości zniknął?

Wszystko. O Polsce Ludowej powiada się „czasy słusznie minione”. O tradycyjnej kulturze ludowej można powiedzieć to samo. Tradycyjna wieś nie istnieje – gospodarczo i kulturowo.

W latach 70. zajmowałem się sztuką ludową. Chodziło o to, żeby za pomocą sztuki dowartościować chłopów, którzy od stuleci czuli się obywatelami gorszej kategorii, docenić ich twórczy wkład w kulturę polską. Zajmowali się tym na ogół inteligenci. Otóż to wprowadzenie ludu do kultury narodowej się nie powiodło. Za pomocą propagowania tej czy innej sztuki jeszcze nikt nigdy społeczeństwa nie zmienił.

Nie udało się, bo było narzucone?

Panowie kochali świątki i chałupy, a chłopci nienawidzili swojej nędzy. Gdy za czasów mojej młodości młody człowiek chciał obrazić młodego człowieka, przypisywał mu wiejskie pochodzenie. „Wieśniak”, „czereśniak”, „zdejm tę wieśniacką bluzkę”, „nawijasz jak z chomowa”, „co się martwisz, co się smucisz, ze wsi jesteś, na wieś wróćisz”... Młodzież uciekała ze wsi, a w mieście starała się zamaskować swoje pochodzenie.

Do skansenu, w którym moja żona pracowała przez lata, przychodziły szkolne wycieczki z okolicznych wsi. Dzieci śmiały się z pogardą: jak można było

mieszkać w ten sposób i po co takie coś pokazywać?

A z kolei ambicją etnografa było utrwalenie tego.

Ocalenie od zapomnienia i dowartościowanie ludzi. Kupowałem eksponaty do skansenu: stare drewniane narzędzia, stroje. Dostawałem na to plik pieniędzy, płaciłem od ręki tyle, ile mi się wydawało. Sąsiedzi się schodzili, próbowali przeniknąć, co ze mnie za hochsztapler, że kupuję takie dziady i płacę prawdziwymi pieniędzmi.

To nie był wyraz szacunku?

Nie bardzo. Ludzie się nauczyli, że miastowy przyjeżdża na wieś po to, żeby chłopą oszukać. A jeśli kupuje bezużyteczne drewniane widły, to cóż to musi być za szwindel? W latach 60. kupowałem jakiś stołek. Baba nie wiedziała, co to skansen, patrzyła na mnie podejrzliwie. Jak już było po wszystkim, rachunek był wypełniony, ona powiedziała: „Panie, niech mi pan teraz powie, jak pan oszukuje?”.

Kontrast pomiędzy człowiekiem miejskim a wiejskim był ogromny. Stale tę przepaść czułem.

Określenie „kwiatki polne” skierowane do Was, studentów etnografii, przez gospodarza, wyrażało niezrozumienie dla pracy intelektualnej?

Prawdziwa robota to rąbanie drwa, wykładanie gnoju, orka, siew, koszenie. Natomiast jak pan siedzi za stołem i pisze, to nic nie robi. Wielokrotnie spotykałem się z opinią: „Skończ studia, będziesz miał magistra, nie będziesz musiał brać w rękę tego paskudztwa”. Znaczy wideł, kosy, siekiery.

Symbolem bogactwa był dawniej samochód. Mój kolega w szkole powiedział nauczycielce: „Naucyciel to nie pon, pon to taki, co mo auto”.

Jak udawało się przebić przez ten mur?

Miałem to szczęście, że znaczną część życia przechorowałem i leżałem w szpitalu. Chłop, z którym się rozmawia na przyzbie albo w karczmie, jest zupełnie innym chłopem, niż ten, z którym się rozmawia w szpitalu.

Było nas pięciu na sali. Różne stadia tej samej, ciężkiej choroby. Przychodził ksiądz. Nie byłem dla niego uprzejmy,

bo zachowywał się okropnie. A jak się za nim zamknęły drzwi, to wszyscy moi szlafkamraci, którzy przyjmowali komunię, cieszyli się, że księdzu przygadałem. Nieprawda, że cała wieś była pobożna. Folklor antykościelny, antyreligijny to ciągle nieruszony dział etnografii.

„Chwała Panu Bogu, Panu Bogu chwała, że się kościół spalił, a karczma ostała”.

Mógłbym o tym śpiewać, po polsku i po łemkowsku. Przede wszystkim o potrzebach erotycznych księdza. Z rozmów wychodziło, że kościół też był uważany za aparat przymusu, jak dwór.

Ja z religią łatwo nie miałem, bo byłem bardzo pobożny. A babcią, ksiądz katecheta, sąsiadki wybijały mi to z głowy tępych narzędzi. Babcia była zrozpaczona, że ci wszyscy, którzy nie byli ochrzczeni, pójdą do piekła. Miałem może 10 lat, gdy pytałem: „Babcu, a ci, co żyli tu przed Mieszkem I, to też pójdą do piekła za to, że się urodzili wcześniej?”. Potem był ksiądz, który nam tłumaczył na katechezie, że nie wolno mówić „prawosławni”, tylko „apostaci”, „odstępcy”. „Bo prawosławny znaczy prawowierny, a oni nie są prawowierni, odwrotnie. Prawowierni są tylko katolicy”. Nie mogłem się z tym pogodzić.

Pana ojciec był w dodatku ewangelikiem.

W drugiej połowie XIX w., gdy pałace warszawskie przestawały się z pieców na centralne ogrzewanie i powstawał dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej, przyjechała do Warszawy grupa ślusarzy Niemców, techników średniego szczebla, m.in. moi przodkowie. Szybko weszli w polskie społeczeństwo, uważali się za Polaków narodowości niemieckiej, mówili po niemiecku w domu, po polsku poza domem i byli wyznania ewangelickiego. Wprowadzali kulturę i terminologię techniczną. „Ferszlus trzeba roztrąbować (...) Bo droselklapa tandetnie blindowana i ryksztosuje” – parodiował to Tuwim. Żyli spokojnie, dopóki nie przyszedł Hitler. W 1943 r. poszła plotka, że hitlerowcy będą odbierać dzieci ewangelikom warszawskim i wychowywać na nazistów. Według tradycji syn przejmuje religię po ojcu, córka po matce. Ale z powodu tej plotki rodzina postanowiła złamać zwyczaj. W ten sposób okupanci zrobili ze mnie katolika.

Chrystus Frasobliwy – motyw zakorzeniony w sztuce ludowej w całym kraju. Rzeźba przydrożna w Suchej Rzeczce, październik 2017 r.

→ **Stracił Pan ojca jako czterolatek. Ta utrata i dziecięca astma zaważyły na tym, że trafił Pan po raz pierwszy na Podhale.**

Tam była babunia staruszka. A młody człowiek bardzo potrzebuje mężczyzny. Miałem starszego sąsiada Józka, który mnie uczył, jak się brusi, trzyma kosę. Poza tym w ogóle się nie uczyłem. Z mojego tekturowego tornistra przyklepanego śniegiem zrobiliśmy próg skoczni. W nocy przyszedł śnieg, tornister znalazłem dopiero wiosną. Nikt nie zauważył, że od miesięcy nie mam książek, gdy poleciano „przeczytaj wypracowanie”, brałem pusty zeszyt, udawałem, że czytam, „siadaj, piątka”. Zapłaciłem za to w szkole średniej: czteroletnią przeszedłem w sześć lat.

I tak się rodził Antoni Kroh pisarz, po latach autor cieszącego się uznaniem „Sklepu potrzeb kulturalnych”.

Pisanie, że król jest nagi, nie było proste, zwłaszcza że ja Podhale kochałem. To było trochę jak wyśmiewanie kochanki. Tak się nie robi. Presja witkiewiczowsko-sabałowo-orkanowska była też silna. Z tego trzeba było się wyzwolić. Nic nie zwiastowało sukcesu. Krakowskie wydawnictwa książkę odrzucały. A potem poszło.

Była też recenzja Władysława Szymborskiej, która o rozgrywającej się w czasach Bieruta i stalinizmu książce pisała, że „dobrego pisarza można rozpoznać po tym, że nawet w szarzyźnie potrafi znaleźć koloryt”.

Pozostaję z szacunkiem, ale mam inne zdanie. Uważam, że szarzyzna nie istnieje. Wszystko jest kolorowe.

Zrobiłem z tego żart i sentyment, co opłaciło mi się w gruncie rzeczy, choć słodkie nie było. Samotny chłopiec, 6-7 lat, spadł na Podhale jak kosmita. Nie mówił miejscowym językiem, nie rozumiał lokalnych realiów. „Na bok cepry z marmoladą, bo górale z masłem jadą”.

Takie docinki góralskich dzieci słyszeli dekady później w szkole także moi rówieśnicy spoza Podhala.

„Jestem góral z góry górskiej, a ty ceper z dupy kurskiej”.

Byłem wrażliwym dzieckiem, spostrzegawczym, może też naiwnym. Mieszkaliśmy na Podhalu kilkanaście lat, po których mówiłem gwarą jak góral, żartować

Robiliśmy w stanie wojennym wystawę „Łemkowie”, a za rogiem na sklepie było napisane

„sprzedaż mięsa warunkowo zdatnego do spożycia”.

Szkoda było nie zanotować.

z panów potrafiłem, a po powrocie do Warszawy znowu trzeba było się nauczyć języka pańskiego.

Tam mieszkalem, studiowałem, byłem przewodnikiem, wyobrażałem sobie jako szczęście zostać warszawianistą, dostać etat w Muzeum Historycznym Warszawy z oknem wychodzącym na Rynek i... To przypadek jak z filmu Kieślowskiego – jadę tramwajem, spotykam kolegę, który pyta: „a wiesz, że w Muzeum Tatrzańskim jest wolny etat?”. Następnego dnia siedziałem w pociągu do Zakopanego. Po południu byłoby za późno. W 1967 r. zacząłem pracę w Muzeum Tatrzańskim, choć dyplom mam z 1968.

Teraz już słabo mówię gwarą, natomiast nieźle mówię po czesku, choć nie jestem bohemistą. Cztery dni w Pradze odwróciły moje życie.

Znowu przypadek?

Zgłosiłem się do pracy w biurze turystycznym Gromada. Bardziej politycznie wyrobieni mieli „pociągi przyjaźni”, lepsi mieli Zachód, dla plebsu przewodnickiego była Czechosłowacja, „bo się i tak przecież dogadasz”. A ja jestem bardzo wrażliwy językowo.

Zwłaszcza na język mówiony.

Historia języka mówionego to historia kultury polskiej. Powstają słowa i zwroty, które później giną, ale które dokumentują dzisiejszy stan kultury. Ja panu pokazę mój leksykon.

Ile jest tu fiszek, ile hasel?

Tego nie wiem, ale całość spisana na komputerze „tymi rękami” ma ponad 14 milionów znaków. Benedyktyńska praca. Codziennie dopisuję kilka hasel. Czy pan dziś rozumie, co znaczy: „wasz kościół moralny, kolego, postawimy na kole”, „dyrektora nie ma, siedzi na pio-

nie”? Beata Szydło, kiedy była premierem, powiedziała, że „my gimnazjów nie likwidujemy, my je gasimy”.

Zacząłem się od tego, że z plastyczką Barbarą Magierową robiliśmy w stanie wojennym wystawę „Łemkowie”, a za rogiem na sklepie było napisane „sprzedaż mięsa warunkowo zdatnego do spożycia”. Szkoda było nie zanotować.

Poza częścią wydaną w leksykonie mowy potocznej „Z polskiego na nasze”, to materiał na kilkanaście tomów...

Który przyniósł mi wiele radości. Wciąż mam nadzieję, że przyda się nie tylko mnie.

Nie ma też do tej pory i nie będzie porządnej historii polskiej sztuki ludowej. Jedni twierdzili, że zaczęła się w średnowieczu, gdy nastąpiło rozwarstwienie na patrycjusz i plebejusz. Inni, że po powstaniu styczniowym, kiedy wstrętni zabórscy uwłaszczyli chłopów i ci odetchnęli trochę finansowo. Pamiętam z Bukowiny, że haftowane gorsety, kolorowe spódnice czy kierpce z cekinami z mosiądzu miały ścisły związek z tym, że powstawały pensjonaty i dziewczyny góralskie, które tam pracowały, miały swoje pieniądze. Przedtem to było nie do pomyslenia.

Na początku lat 70. zaczął Pan prowadzić konkursy sztuki ludowej. I mówił o tym, że to była piękna i dobra robota.

Przez moje ręce sporo pieniędzy poszło na wieś do ludzi biednych, przegranych. Lubili mnie za to oczywiście. Ale pomagałem im też inaczej. Możemy się spierać, czy była to wielka robota w sensie artystycznym, ale miała wartość dydaktyczną.

Konkurs rzeźby ludowej Karpat Polskich wymyślił dyrektor muzeum w Nowym Sączu, Tadeusz Szczepanek. Dostałem samochód, plik delegacji *in blanco*, zaliczkę i mogłem jeździć od Cieszyńska po Dolinę Sanu. To dziś niepopularne, ale lata 70. wspominam z rozrzewnieniem.

Choć były początkiem końca polskiej etnografii, sztuki ludowej? Widać to na przykładzie figury Chrystusa Frasobliwego, którą obserwował Pan na przestrzeni dekad. Dla chłopca, który rzeźbił figurę w latach 60., był to powiernik trosk, a nie eksponat na wystawy czy sprzedaż.

W latach 70. były nawet breloczki do kluczyków z Chrystusem Frasobliwym. Przestali je wyrabiać, bo darły kieszeń. Ludowa malarka odreagowała makatką: Chrystus Frasobliwy siedzi z nogami w szafliku. Na głowie zamiast korony cierniowej ma ręcznik, leczy kaca. Namalowała, bo już nie mogła.

Znieść tej nadprodukcji?

Tego kiczu, tej nieprawdy. Była wielka moda. Ludzie kradli rzeźby z kapliczek. A potem to minęło, jak wiele innych zjawisk. Widziałem, jak w ciągu kilku tygodni, gdy powstała Solidarność, wszyscy porzucili sztukę ludową. Twórcy ludowi pytali: „Panie, jak to teraz będzie?”. Odpowiadałem: „Ciesz się pan tym, co było”.

„Wesołego Alleluja Polsko Ludowa” – tytuł tej książki zaczerpnął Pan z ówczesnej pisanki.

Która jeżeli żyje, jest w Muzeum Etnograficznym w Warszawie. PRL trzymała kasę, PRL płaciła. Chłopów namawiano, by tworzyli wycinanki ze współczesną tematyką. Jedzie Jasio na traktorze i fruwa nad nim gołąbek pokoju. Kurpie robili wycinanki z okazji rocznicy rewolucji październikowej. Malowidła w Zalipiu były najpierw białymi kółkami z wapna na czarnej ścianie. Wielokolorowe barwne kwiaty wymyśliła Felicia Curyłowa razem z etnografkami w końcu lat 40. Obiecała to rozwinąć pod warunkiem doprowadzenia elektryczności do wsi, budowy drogi, ośrodka zdrowia, szkoły. Co kto przyjeżdżał i się zachwycił, to Curyłowa przypominała o obietnicach władzy. Jedna wygadana baba ucywilizowała całą wieś. I każdemu te malowane chaty kojarzą się z Zalipiem. Tradycyjne? Powstałe za mojego życia.

Czyli to, że my coś uważamy za autentyczne, to znowu jest język ludzi z miasta, panów?

Na polskiej etnografii XIX i pierwszej połowy XX wieku zaważyło to, że była dziełem inteligentów. Widziała to, co chciała widzieć: piękny lud, wspaniałe drewniane chałupy, dziewczynkę pasącą krowę albo gęsi. Miała też uwarunkowania polityczne. Jeszcze w moim pokoleniu zdarzało się, że ktoś użył zbitki słownej „nasz lud”. A ty kto, właściciel?

Teraz dopiero ukazują się książki o historii Polski z punktu widzenia ludo-



PIOTR DROŻDZIK

ANTONI KROH jest etnografem, tłumaczem, kuratorem wystaw poświęconych kulturze ludowej Karpat, badaczem dziejów Łemkowszczyzny i Spisza. Autor wielu książek, m.in. wspomnieniowego „Sklepu potrzeb kulturalnych” i nowego tłumaczenia „Losów dobrego żołnierza Szwejka czasu wojny światowej” Jaroslava Haška.

wego. Ale nie mogli ich pisać przedstawiciele ludu, bo ludu już nie ma.

Czy w tym świadectwie nawrotu za interesowania tym, co ludowe, jest też nowe odbicie chłopomanii?

Oczywiście. Chłopska nędza to stereotyp. Jedni w niej żyli, drudzy nie. Czym innym była nędza w XVIII czy XIX w., co innego znaczy dzisiaj. Inaczej było na Podhalu, gdzie sztuka ludowa była częścią przemysłu turystycznego, a chłopcy byli nauczani, że pan zapłaci, bo kocha. Geniusz Wyspiańskiego zawiera się w dwuwierszu: „Ot, pany się nudzą sami, to się pięknie bawiom z nami”. Przepaść między inteligentem a chłopem była nie do zasypania.

Całą historię tego związku ludu z tradycją inteligencką trzeba by napisać na nowo. „Chłopki”, „Chamstwo” to przygrywka. Nie ma porządnej monografii kultury polskiej, która była w 80 proc. chłopska.

Któż jak nie Pan mógłby to napisać?

Ci, co teraz chodzą do szkoły podstawowej albo średniej.

W ostatniej książce, „Anioł śmierci z kilku stron”, dużo mówi Pan o tym, na co już jest za późno. „Przez całe życie miałem znacznie więcej pomysłów niż czasu, by je realizować. Pomysł rodził się nagle, cieszył mnie, gaworzył w głowie, przebiegał

nózkami, przypominał o sobie w najmniej spodziewanych momentach. Lecz niebawem wiądnął i znikał na łące rozproszenia”. Może te pomysły niezrealizowane byłyby pomysłem na książkę, która by je zebrała?

A może. Gałczyński, którego się dzisiaj prawie nie czyta, pisał: „A poetom żyjącym i przyszłym / zapisuję mój kaflowy piec, / w nim spalone myśli i pomysły, / czyli różne gry niewarte świec.” Ja już tego wszystkiego nie zrobię. Może to i lepiej. Napisanie książki to spory wysiłek, a ta łąka rozproszenia to *louka rozptylu*. Na czeskich cmentarzach jest trawnik, na nim odbywa się specjalna forma pogrzebu. Przychodzą ludzie i sypią na trawę prochy zmarłego. Są tam ławeczki, może pan sięść, pomyśleć o zmarłej cioci. Po tym trawniku nie powinny biegać psy, nie powinni się opalać na nim ludzie. Zupełnie inaczej ta *louka rozptylu* wygląda np. na Łemkowszczyźnie, gdzie jest las i nagle wystaje żelazny krzyż albo kamienny przewrócony Chrystus.

Na drzewie Pana życia z etnograficznego pnia wyrastają rozproszone gałęzie zainteresowań – podhalańskich, czeskich i słowackich – oraz właśnie gruby konar łemkowski.

Jeśli ma się jedno zainteresowanie przez całe życie, to człowiek staje się profesorem. Jeżeli ma się wiele zainteresowań, to pozostaje się magistrem i w wielu dziedzinach laikiem, który wie to i owo. Łemkowie mnie polubili, bo zobaczyli, że nie mam zamiaru traktować ich instrumentalnie. Uczyłem się od nich. To jest ta stara etnografia, kiedy przybysz uczy się od miejscowego.

„Łąka rozproszenia” to byłby dobry tytuł książki. Podobnie jak „To jest zjawisko, i na to nie ma rady”.

Tamten wziął się z anegdoty.

Opowiadała mi ją pani, z którą pracowałem wiele lat. Studentka politechniki we Wrocławiu zapytana na egzaminie, co to jest interferencja fal radiowych, odpowiedziała, że to jest zjawisko, i na to nie ma rady. Egzaminator bardzo się zdenerwował, bo podejrzewał, że ona sobie z niego robi żarty. Chciał jej wlepić dwóję, ale nie wlepił, bo się zakochał. Byli znanym małżeństwem, żyli długo i szczęśliwie. Tak to bywa ze zjawiskami, na które nie ma rady.

©P Rozmawiał BARTEK DOBROCH

ŚWIAT



37-letni George Simion, lider Związku Jedności Rumunów, pozdrawia sympatyków podczas protestu przed parlamentem w Bukareszcie. 21 grudnia 2021 r.

RUMUŃSKI „ZŁOTY ORBÁN”

Chcą anektować sąsiednie państwo, nie lubią „Brukseli” i mniejszości seksualnych, sławią kolaborację z czasu II wojny światowej. Kim są ludzie tutejszej antysystemowej prawicy? I jak zmieniają swój kraj?

KAMIL CAŁUS Z BUKARESZTU

ROK 2024 ZWANY JEST W RUMUNII „rokiem superwyborów”. Między czerwcem a grudniem mieszkańcy tego karpackiego kraju wybiorą zarówno posłów do Parlamentu Europejskiego, jak też nowy parlament, prezydenta i władze lokalne.

Wszelkie dostępne sondaże wskazują, że będzie to rok sukcesu rumuńskiej radykalnej prawicy. Eurosceptyczny i narodowo-konserwatywny Związek Jedności Rumunów (AUR) śmiało liczyć może na poparcie ponad jednej piątej wyborców, co czyni go nie tylko najpopularniejszą partią pravicową, lecz także drugą siłą polityczną w kraju – po postkomunistach z Partii Socjaldemokratycznej (PSD), których popiera jedna trzecia Rumunów.

Niemal pewne jest również, że do parlamentu wejdzie partia S.O.S. România – poglądami plasująca się jeszcze bardziej na prawo od AUR, sympatyzująca z Rosją i antyukraińska, w której szeregach są m.in. politycy promujący teorie spiskowe. Obecnie ta zdecydowanie skrajnie prawicowa formacja może liczyć na ok. 6 proc. głosów.

Co to wszystko oznacza dla Rumunii? A także dla jej pozycji w NATO i Unii Europejskiej?

Cztery filary

Związek Jedności Rumunów, na którego czele stoi charyzmatyczny 37-letni George Simion, na firmamencie politycznym zagościł niedawno – podczas wyborów parlamentarnych w grudniu 2020 r. Cóż to było jednak za wejście! Założona ledwie rok wcześniej partia zdobyła ponad 9 proc. głosów, co było zaskoczeniem i dla obserwatorów sceny politycznej, i dla znacznej części elektoratu. Dotąd ugrupowanie to uznawane było powszechnie za tak marginalne, że nawet nie uwzględniano go w większości sondaży. Tylko w jednym w ogóle przekraczało pięcioprocentowy próg, co komentatorzy uznawali za oczywisty błąd w sztuce.

Skrótowiec AUR nie jest przypadkowy. W języku rumuńskim słowo to oznacza „złoto”. Takie są też sztandary partii, na których widnieje równoramienny krzyż otoczony słowami: rodzina, wiara, naród i wolność. To tzw. cztery filary, na których opiera się program Simiona. AUR ma być partią wolnorynkową, konserwatywną, nacjonalistyczną i eurosceptyczną, choć w tym

ostatnim wypadku jej politycy wolą mówić o eurorealizmie.

Choć nie nawołują oni wprost do opuszczenia Unii Europejskiej, to opowiadają się za utrzymaniem daleko idącej niezależności od struktur wspólnotowych i budową tzw. Europy ojczyzn, krytykując ideę federalizacji Unii. Jednocześnie współpraca transatlantycka – na czele z rumuńskim członkostwem w NATO – nie budzi z ich strony większych zastrzeżeń. Z niechęcią odnoszą się za to do kwestii praw mniejszości seksualnych, na czele z postulatem wprowadzenia w Rumunii związków partnerskich czy małżeństw jedнопłciowych.

Między nami rewizjonistami

„Złociści”, jak się ich nazywa, nie żywią też sympatii wobec mniejszości etnicznych, szczególnie Węgrów i Romów. Tych pierwszych uważają za zagrożenie polityczne, a nawet wprost za instrument wykorzystywany przez niechętnego Rumunii sąsiada.

Mniejszość węgierska jest tutaj liczna (ok. 5 proc. mieszkańców) i doskonale zorganizowana. Od lat w rumuńskim parlamencie zasiadają posłowie i senatorowie z ramienia Demokratycznego Związku Węgrów w Rumunii (UDMR). Partia ta dąży do uzyskania dla rumuńskich Węgrów autonomii terytorialnej, czemu sprzeciwiają się zresztą nie tylko „złociści”, ale także reszta rumuńskich partii.

Ponadto UDMR jest silnie związany z rządzącym Węgrami Fideszem. Jego politycy zaś, na czele z premierem Orbánem, stale balansują na granicy rewizjonizmu. Czynią to zarówno retorycznie (gdy przypominają polemicznie traktat z Trianon, który w 1920 r. przyznał Rumunii węgierski wówczas Siedmiogród), jak też symbolicznie, gdy z lubością fotografują się na tle mapy Wielkich Węgier – historycznego królestwa, które na przestrzeni tysiąca lat obejmowało ziemie należące dziś do Rumunii, Słowacji, Ukrainy czy Chorwacji.

Na ironię zakrawa więc fakt, że krytykując Węgrów, „złociści” sami mają w programie hasła rewizjonistyczne. Opowiadają się bowiem za możliwie najszybszym przyłączeniem sąsiedniej Mołdawii, w okresie międzywojennym leżącej w granicach Rumunii i oderwanej od niej na mocy paktu Hitler-Stalin.

To *idée fixe* Simiona, który do chwili założenia AUR znany był głównie z działalności prozjednoczeniowej. Ironiczna jest przy tym także mieszanka niechęci i podziwu, którą Simion obdarza węgierskiego premiera. „Jestem rumuńskim Orbánem” – mówił w 2021 r. w wywiadzie dla budapesztańskich mediów, dodając, że Fidesz to wzór dla jego ugrupowania.

Simion zaprasza na wesele

Od początku istnienia „złociści” oskarżani są przez większość mainstreamowych mediów i komentatorów o nawiązywanie w swej retoryce i programie do tradycji Żelaznej Gwardii oraz Legionu Michała Archaniola. To rumuńskie organizacje faszystowskie i antysemitki z okresu międzywojnia oraz II wojny światowej, które współrzędziły krajem po przejściu władzy przez marszałka Iona Antonescu w latach 1940–41.

Choć liderzy „złocistych” regularnie starają się odpiąć te oskarżenia, nie są one bezpodstawne. Wielu członków AUR w przeszłości wypowiadało się pozytywnie o działalności przedstawicieli obu wspomnianych organizacji. Dość powiedzieć, że honorowym przewodniczącym AUR – oraz politykiem, którego partia promowała jako potencjalnego kandydata na premiera w roku 2020 i 2021 – był Călin Georgescu. Zasłynął on licznymi kontrowersyjnymi wypowiedziami: w listopadzie 2020 r. określił mianem bohaterów marszałka Antonescu (odpowiedzialnego m.in. za Holokaust na okupowanych przez Rumunię ziemiach) oraz Corneliu Zelea Codreanu, założyciela Legionu Michała Archaniola.

Sam George Simion zaś – choć walczy z wizerunkiem kontynuatora tradycji skrajnej prawicy – za pomocą drobnych gestów zdaje się co jakiś czas puszczać oko do jej sympatyków. Jak w 2022 r., gdy zdecydował się zaprosić na swoje wesele „wszystkich chętnych Rumunów”. W efekcie w wydarzeniu zorganizowanym w sierpniu wzięły udział tysiące gości. Zgodnie z wymogami pana młodego wszyscy ubrani w tradycyjne rumuńskie koszule ludowe.

Powiązania, skojarzenia, oskarżenia

Media szybko dostrzegły podobieństwo pomiędzy ślubem Simiona a weselem Corneliu Zelea Codreanu, na które w 1925 r. →

George Simion ze świeżo poślubioną Ilincą (młodsza o 11 lat) podczas wesela, na które zaprosił „wszystkich Rumunów”. Gości obowiązywały koszule ludowe. Media dostrzegły w tym podobieństwo do wesela lidera rumuńskich faszystów Corneliu Zelei Codreanu w 1925 r.

→ „Kapitan” – jak zwano lidera Legionistów – również zaprosił „wszystkich Rumunów”, a które przeistoczyło się w masowe wydarzenia społeczno-polityczne.

To nie jedyna kontrowersja krążąca wokół „złocistych”. Zarzuca się im także prorosyjskość, a nawet powiązania z rosyjskimi służbami, choć oskarżenia te opierają się głównie na poszlakach i nie zostały dotąd wiarygodnie udowodnione. Nie da się jednak ukryć, że Simion nie żywi szczególnej sympatii dla Kijowa ani dla pomysłu udzielania pomocy wojskowej Ukrainie. Tłumaczy to m.in. ograniczaniem przez Ukrainę praw zamieszku-
jącej ją mniejszości rumuńskiej.

Ale jest jeszcze jedna teoria, równie popularna jak ta o powiązaniach „złocistych” z Rosją. Powiada ona, że AUR to po prostu projekt polityczny rumuńskich służb specjalnych, które postanowiły same – na wszelki wypadek – zagospodarować prawą część sceny politycznej. Tego typu teorie są bardzo popularne w Rumunii. Wiara we wszechmoc tajnych służb – będąca spadkiem po niesławnej Securitate, komunistycznej tajnej policji – miesza się tutaj z podświadomym niedowierzaniem w to, że oddolne ruchy polityczne mogą tak szybko rozwijać się i osiągnąć spektakularny sukces bez wsparcia ze strony odpowiednich opiekunów. Również i to drugie przekonanie swymi korzeniami sięga epoki komunizmu.

Senatorka wizytuje ambasadę

Wątpliwości nie ma natomiast co do prorosyjskości drugiej najpopularniejszej dziś w Rumunii partii radykalnej: S.O.S. România to formacja, której popularność zbudowano na skandalicznych wypowiedziach i gestach jej liderki, senatorki Diany Șoșoaki.

Na szersze wody wypłynęła ona w 2020 r., gdy w trakcie pandemii stała się jedną z twarzy ruchu antyszczepionkowego. Diana Șoșoacă porównywała wówczas osoby decydujące się na szczepienie do „owiec idących na rzeź” i sprzeciwiała się obostrzeniom sanitarnym. Występo-



MATERIAŁ PRASOWY / GEORGESIMION.RO

wała np. w parlamencie w kagańcu, mającym imitować maseczkę higieniczną.

Dziś Șoșoacă opowiada się za wystąpieniem Rumunii z Unii. Choć do parlamentu dostała się z listy AUR, to już po kilku miesiącach została wyrzucona przez „złocistych” za brak subordynacji i zbytnią skrajność, szkodzącą wizerunkowi partii.

Rozkręcając własny projekt polityczny, Șoșoacă zajęła pozycję silnie nacjonalistyczną i antyzachodnią, a także antyukraińską i otwarcie sympatyzującą z Rosją. W marcu 2022 r., niedługo po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji rosyjskiej na Ukrainę, senatorka odwiedziła ambasadę Rosji w Bukareszcie, aby – jak ogłosiła – dyskutować o neutralności Rumunii i pośrednictwie między Moskwą a Kijowem.

Rok później wystąpiła w parlamencie z projektem ustawy przewidującej aneksję ziem ukraińskich, które przed II wojną światową należały do Rumunii – w tym Północnej Bukowiny, Budziaku i Wyspy Wężowej (słynnej za sprawą jej obrony w pierwszych dniach inwazji). Wisienką na torcie jest fakt, iż Șoșoacă jest gorliwie promowana przez rosyjskie media, w tym przez rumuńskojęzyczną redakcję portalu Sputnik, który w 2021 r. obwołał ją „politykiem roku”.

Obywatele drugiej kategorii

Skąd tak niezwykle wzrost popularności w Rumunii radykalnej prawicy?

Przyczyn jest kilka. Kluczowa to powszechne wśród Rumunów poczucie rozczarowania i zmęczenia tradycyjnymi partiami pravicowymi i centrowymi. I tak Partia Narodowo Liberalna (PNL) – istniejąca od początku lat 90. XX w., najpotężniejsza i dysponująca najrozleglejszymi

strukturami terenowymi formacją pravicowa w kraju – notuje dziś najniższe od ponad dekady poparcie; wedle sondaży waha się ono w przedziale 16-19 proc.

Na tak słaby wynik wpływają konflikty wewnątrzpartyjne i częste w ostatnich latach zmiany liderów. Kryzys pogłębiła podjęta w grudniu 2021 r. przez PNL decyzja o zawarciu koalicji ze swoim głównym przeciwnikiem ideologicznym, postkomunistami z PSD. Liberalowie uczynili to, by utrzymać władzę i odsunąć perspektywę przedterminowych wyborów.

Paliwem dla radykalnych ugrupowań nacjonalistycznych jest także narastające w ostatnich latach poczucie rozczarowania członkostwem w Unii, co wynika z nierównego traktowania Rumunii i Rumunów we Wspólnocie.

Sztandarowy przykład to blokowanie wejścia Rumunii do strefy Schengen – motywowane politycznie, w wykonaniu części państw Unii (niegdyś zwłaszcza Holandii, obecnie Austrii). To także dlatego jeszcze w 2021 r. prawie 80 proc. Rumunów deklarowało, że czują się „obywatelami Unii drugiej kategorii”.

„Zachód nas wykorzystuje”

W tym samym badaniu 54 proc. ankietowanych wyrażało przekonanie, że są w Unii dyskryminowani. Towarzyszy zaś temu przekonanie, że „Zachód” wykorzystuje Rumunię. I tak niedługo po sukcesie „złocistych” w wyborach parlamentarnych z grudnia 2020 r. aż 56 proc. obywateli skłonnych było przychylić się do twierdzenia, że za zanieczyszczenie środowiska odpowiadają zagraniczne („zachodnie”) firmy. Co trzeci pytany przychylił się do teorii spiskowej, zgodnie z którą

budowę autostrad w ich kraju blokują „obce mocarstwa”.

Wreszcie do konsolidacji elektoratu radykalnego przyczyna się wojna rosyjsko-ukraińska, która toczy się przecież po sąsiedzku. Od czasu do czasu Rumunia doświadcza jej bezpośrednio, gdy rosyjskie drony – atakujące ukraińskie porty nad Dunajem – wchodzą w rumuńską przestrzeń powietrzną lub rozbijają się już na jej terenie.

Wszystko to sprawia, że jakaś część elektoratu staje się podatna na hasła podnoszone przez „złocistych” oraz S.O.S. România, a nawołujące do nieangażowania się w ten konflikt oraz do ograniczania (lub nawet zupełnego zaprzestania) wsparcia dla Kijowa.

Do tej pory rząd w Bukareszcie pomaga bowiem Ukrainie bez zastrzeżeń – politycznie, militarnie (dostawami broni) i gospodarczo (np. wspierając eksport ukraińskich produktów w świat poprzez porty na Dunaju). Choć czyni to raczej bez ostentacji, nie ujawniając całej skali tego zaangażowania – również z uwagi na popularność skrajnej prawicy.

Sygnaly ostrzegawcze

Mimo rosnącej popularności obu formacji – wedle sondaży obejmującej już łącznie ponad jedną czwartą społeczeństwa – ani „złociści”, ani S.O.S. România nie zdołają sięgnąć po władzę podczas wyborów parlamentarnych zaplanowanych na grudzień. Jednak zajmując czwartą część parlamentu krajowego, a także tworząc mniej więcej ośmioosobową grupę w Parlamencie Europejskim (na 33 mandaty przypadające Rumunii), staną się siłą wyraźniej niż dziś współtworzącą narrację polityczną w kraju. A także wymuszającą na rumuńskim mainstreamie uwzględnianie lub przynajmniej odnoszenie się do części ich postulatów.

W praktyce, przy tak masowym poparciu, obie formacje stają się pełnoprawnymi już ugrupowaniami głównego nurtu. Ich sukces będzie również kolejnym już sygnałem ostrzegawczym dla elit politycznych, które na razie – zamiast walczyć z radykałami przez odzyskiwanie zaufania wyborców – stosują strategię straszenia ich swoimi przeciwnikami.

Jak dotąd strategia taka sprawiła jedynie, iż w ciągu ostatnich czterech lat poparcie dla antysystemowej prawicy wzrosło ponaddwukrotnie. © KAMIL CAŁUS



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

Mamy się czym pochwalić:
od piętnastu lat współorganizujemy
Conrad Festival i od dziesięciu – **Copernicus Festival**. Wyprodukowaliśmy dwa filmy dokumentalne: „**xABO: Ksiądz Boniecki**” i „**Ukos światła**”. Prowadzimy akcję „**Lekcje czytania**” i pomagamy rozwijać „**Podkast Tygodnika Powszechnego**”.

Nasz nowoczesny projekt technologiczny **rE-medium** wspiera suwerenność wydawniczą „Tygodnika Powszechnego”, a niedługo będzie wspomagać inne niezależne polskie media.

**Wspólnie z Tobą chcemy
krok po kroku zmieniać
świat na lepsze. Na**prawdę****

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
FUNDACJI
TYGODNIKA POWSZECHNEGO
» KRS 0000 125 605**



Aleksiej Prihodko (z lewej) i pracownik nadleśnictwa sadzą las na terenach zniszczonych przez działania wojenne.
Lasy Kremińskie, 9 marca 2024 r.

Pasterze lasu

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK**
Z ŁYMANU I LASÓW KREMIŃSKICH (UKRAINA WSCHODNIA)

Kiedyś ekolodzy walczyli tu z leśnikami. Pogodziła ich Rosja. Dziś ekolog mówi, że leśnicy robią bohaterską robotę: sadzą drzewa tam, gdzie była wojna.

NA TAKIEJ SAMEJ MAPIE LASU, NA KTÓREJ sztabowcy obu wojsk kreślą dziś zapewne linie okopów i kierunki ataków, Wołodmyr Jarocki pokazuje obszary występowania chronionych gatunków i cennych zespołów leśnych. Jest naukowcem, pracownikiem Parku Narodowego Lasy Kremińskie. Od dwóch lat te tereny są polem bitwy – toczą się na nich intensywne walki.

Przed 24 lutego 2022 r. leśny maszyn wzduż rzeki Siewierski Doniec był terenem konfliktu między ekologami a leśnikami. Jarocki, z którym spotykam się we Lwowie, reprezentuje pierwszą ze stron. Absolwent biologii na charkowskim uniwersytecie, już na studiach działał w organizacjach walczących z kłusownictwem, zajmujących się ekoedukacją i ochroną terenów cennych przyrodniczo.

Do inwazji mieszkał w Kreminnej (miasteczko w obwodzie ługańskim, dziś pod okupacją) i pracował jako naukowiec terenowy w parku narodowym.

Dziś ogląda go tylko na zdjęciach satelitarnych. Analizuje zniszczenia dokonane w nim od chwili, gdy ostatni raz udał się na rutynowy objazd rowerem po lesie, by rozstawić fotopułapki.

PARK | Lasy Kremińskie to jedyny park narodowy w obwodzie ługańskim. Powstał na terenie dawnego Siewiersko-Donieckiego Parku Narodowego – jedynego, którego powołanie zostało unieważnione przez sąd. Przyczynili się do tego przedstawiciele przemysłu leśnego i administracja ówczesnego prezydenta Wiktora Juszczenki.

Tamten park powołano w 2009 r. Jego nazwa nie do końca oddawała położenie, bo wzduż rzeki Siewierski Doniec położonych jest już kilka innych parków, w tym jeden z najsłynniejszych na Ukrainie: Światohirski Park Narodowy, założony w 1997 r.

– On powstał dzięki wieloletnim staraniom naukowców i aktywistów – opowiada mi Jarocki. – Za to leśnicy zawsze

znajdowali argumenty, by go nie tworzyć. Już rok później do sądu trafił pozew o uznanie dekretu prezydenta Ukrainy o utworzeniu parku za niezgodny z prawem i uchylenie go. Rada powiatu kreminskiego, która złożyła pozew, uzasadniała go tym, że utworzenia parku nie uzgodniono z władzami powiatu i miasta Kreminna.

Dopiero w 2019 r., już za kadencji Wołodmyra Zełenskiego, udało się nadać temu terenowi status upragniony przez Jarockiego. Tak powstał Park Narodowy Lasy Kremińskie.

SUROWIEC | Na terenie Lasów Kreminskich nadleśnictwa były jednymi z niewielu miejsc, które dawały pracę. Stąd pomysły ochrony przyrody spotykały się z oporem i leśników, i mieszkańców.

Jarocki twierdzi, że ci pierwsi kształtowali opinię tych drugich. Że dezinformowali ich, przekonując, iż z nadania lasom specjalnego statusu wynikną same ograniczenia. Mieszkańcy słyszeli, że nie będą mogli wchodzić do lasu, zbierać grzybów, łowić ryb. Po takiej kampanii, w której udział miały lokalne media, nikt nie chciał słyszeć o parku narodowym.

Taką narrację wspierał lokalny samorząd, który czerpał z podatków płaconych przez nadleśnictwa. A te, zdaniem Jarockiego, funkcjonowały jak przedsiębiorstwa traktujące las jako źródło surowca. Nie wywiązując się z obowiązków dotyczących ochrony środowiska, co również było w ich gestii.



Ślady wojny w Lasach Kremińskich. Z braku sprzętu żołnierze ukraińskiej piechoty masowo używają cywilnych aut. 9 marca 2024 r.

Większość pracowników Kremińskiego Parku Narodowego, który funkcjonował dwa lata, stanowili byli pracownicy lokalnego nadleśnictwa, a na jego czele stanął jego były dyrektor. – Osoba, która zna się na leśnictwie, ale nie ma pojęcia o ochronie przyrody – uważa Jarocki. – Taka już jest specyfika ukraińskiego prawodawstwa, że nawet nadanie lasom statusu parku narodowego nie jest w stanie uchronić ich przed wycinkami.

KATASTROFA | Dziś tamte spory wydają się zamierzchnią przeszłością.

Inwazja wywróciła do góry nogami spór między zwolennikami i przeciwnikami parku. Oraz ich pogodziła: nastąpiła rzeczywistość, którą obie strony nazywają katastrofą ekologiczną.

Jarocki wylicza. Wielkie połacie Lasów Kremińskich strawiły pożary. Wiele drzew, które nie spłonęły, poraniły odłamki. Takie drzewa uschną w ciągu roku. Okopy i inne ziemne umocnienia frontowe są tak głębokie, że nie mówimy tu już tylko o uszkodzeniu fitocenozy, unikalnego dla danego regionu zbiorowiska roślinnego, ale także gleby.

– W warunkach silnej industrializacji obwodów donieckiego i ługańskiego lasy rosnące wzdłuż rzeki Siewierski Doniec tworzą taki szczególny zielony korytarz – palec Jarockiego wędruje po mapie. – Do tego dołączają się dopływy Dońca, rzeki Krasna i Zerebec, przez co Lasy Kremińskie z trzech stron otacza woda. Tworzą się w tym miejscu tak zwane terasy zalewowe, najcenniejsze

przyrodniczo tereny. Teraz zniszczone po próbach uruchomienia w tym miejscu przepraw pontonowych i przez ostrzał artyleryjski. No i miny: cały teren zalewowy najpewniej został zaminiowany przez Rosjan.

WYDRY | „Jedną z największych tragedii dla Dońca były boje w maju 2022 r., gdy armia ukraińska udaremniła wrogowi próbę przeprawy przez rzekę niedaleko wsi Serebrianka i Biłohoriwka. Zostało wówczas zniszczonych około stu czołgów i wozów opancerzonych, z których część znalazła się w rzece wraz z ludzkimi zwłokami, amunicją, paliwem i akumulatorami” – czytamy w opracowaniu warszawskiego Ośrodka Studiów Wschodnich na temat stanu środowiska w czasie wojny.

To tam, nad rzeką na wysokości Biłohoriwki, Jarocki po raz ostatni zostawił jedną ze swoich fotopułapek: do obserwacji wydr. Było to 10 lutego 2022 r.

Tamtejsze terasy zalewowe były kiedyś również siedliskiem desmanów ukraińskich. To małe ssaki z rodziny kreków, zagrożone wyginięciem. Ich ochroną na tym terenie zajmowano się już sto lat temu.

Jarocki wędruje dalej palcem po mapie, wskazuje zakole Dońca: – Tutaj są warunki do reintrodukcji norki europejskiej. A tu gnieźdzą się żurawie szare i bieliki.

Te cenne tereny – lasy liściaste i olsowe, połączone z łąkami łęgowymi i mokradłami, a także naturalne lasy sosnowe i dębowo-sosnowe – nie były włączone do parku narodowego.

LASOTERAPIA | Jadąc kiedyś drogą z miasteczka Swatowe do Kremińskiej, trafiło się na znak informujący, że to najdalej na północ wysunięty punkt Donbasu, Zagłębia Donieckiego. Kiedyś w Kremińskiej było kilka kopalń, choć niezbyt wydajnych. Ostatnią zamknięto w latach 90. XX w. Odtąd aż do inwazji Lasy Kremińskie były znane głównie jako popularne miejsce wypoczynku.

Teraz „lasoterapią” Jarocki zajmuje się tysiąc kilometrów od Kremińskiej – tam, gdzie rzuciła go wojenna tułaczka. Organizuje spaceroterapeutyczne po podlowskich lasach dla takich jak on uchodźców wojennych.

Jest przekonany, że relacja człowieka z naturą ma działanie lecznicze. – Stwarzamy warunki do otworzenia się na różne bodźce, wyostrenie zmysłów – przekonuje. – Ponadto chodzi o rozszerzenie doświadczeń o wyczuwanie otaczającego nas środowiska. Jako biolog pokazuję uczestnikom spacerów zjawiska zachodzące w przyrodzie, a oni mogą to odnieść do swojego życia.

Do tej metody, w przeciwieństwie do klasycznej psychoterapii, ludzie zazwyczaj nie mają uprzedzeń, dowodzi Jarocki: – Ot, zwykły spacer po lesie, który leczy. Nie skupiam się na rozmowie, staram się po prostu coś pokazać, dać poczuć, dotknąć. Bez pytań: co o tym myślisz, co jest w tobie i jak się z tym czujesz.

MOTYL | Jarocki: – W tych moich spacerach jest moment komunikacji z naturą i moment komunikacji z innymi ludźmi. Koncentrujemy się na uchodźcach wojennych, stąd istotna jest kwestia integracji społecznej. Pokazujemy, że przyroda może być bardziej dostępnym narzędziem takiej integracji niż choćby wydarzenia kulturalne. Bo nie ma tu barier językowych ani religijnych.

I dalej: – Przyroda jest bardziej integralna, pomaga wypełnić luki między życiem, jakie człowiek prowadzi dziś, jeśli to żołnierz lub uchodźca, a tym, jakie prowadził przed wojną. Jak kiedyś chodził do lasu, tak teraz tam idzie. Tworzymy terapeutyczny pomost, żeby życie toczyło się dalej, przyglądając się naturze.

Jarocki wspomina, jak na jednym ze spacerów obserwowali narodziny motyla: – Na naszych oczach wygrzył dziurę w chitynowym kokonie, wyszedł

→ z niej i zaczął suszyć na słońcu skrzydełka. Była wiosna. Pomyśleliśmy, że możemy to do siebie odnieść: gdy jesteś zamknięty w kryzysowym kokonie, przychodzi przecież w końcu czas, by z niego wyleźć, co też nie odbywa się bez wysiłku. Trzeba wygrzyźć sobie otwór. A potem dostajesz skrzydeł!

POLACY | Aleksieja Prihodkę, dyrektora Łymańskiego nadleśnictwa, zastaję w częściowo odbudowanej już siedzibie. Wciąż otoczonej spalonymi budynkami gospodarczymi i zniszczonym tartakiem. To ślady walk z 2022 r.

– Gdy po wyzwoleniu nasze nadleśnictwo wznowiło działalność, skontaktowali się ze mną polscy leśnicy z Ciechanowa i Olsztyna. Nie wiem, jak trafili akurat na nas – Prihodko uśmiecha się na to wspomnienie. Polacy przekazali im kamizelki kuloodporne i apteczki, które dziś towarzyszą im w pracy. Bo nawet proste prace leśne oznaczają zagrożenie.

Nadleśnictwo współpracuje z saperami: ci rozminowują las, co umożliwia leśniczemu pracę. A także z oddziałami inżynieryjnymi: dostarcza im drewno do budowy okopowych umocnień oraz na opał. Ostatnie miesiące to czas intensywnych przygotowań drugiej i trzeciej linii obrony wzdłuż całego frontu.

Rosjanie posunęli się pod tym względem dalej: na okupowanych terenach las jest masowo wycinany nie tylko na potrzeby wojska, ale też na sprzedaż. Na podstawie zdjęć satelitarnych szacuje się, że w 2022 r. zniszczeniu i nielegalnej wycince uległo 6,5 tys. hektarów lasu. Zamieniony teren jest ponad czterokrotnie większy.

Aleksiej Prihodko uważa, że najtrudniejszym ich zadaniem jest wykrywanie i gaszenie pożarów w takich warunkach. Bez oczyszczenia terenu z min i niewybuchów nie da się prowadzić żadnych działań. W dodatku cały sprzęt przeciwpożarowy został zniszczony lub skradziony przez okupantów. Nad-



Wołodymyr Jarocki, pracownik Parku Narodowego Lasu Kreminskiego, dziś jest uchodźcą wojennym we Lwowie.
4 marca 2024 r.

leśnictwo musi polegać na strażakach z Łymanu.

NASADZENIA | Wołodymyr Jarocki ma nadzieję, że po wojnie możliwe będzie ustanowienie bardziej rygorystycznego reżimu dla ochrony Lasów Kreminskich. Także aby zmniejszyć, jak mówi, „obciążenie rekreacyjne”. Liczy na to, że skoro z powodu wojny zaczęto więcej mówić o tych lasach, zainteresują się nimi zagraniczni badacze.

Chciałby również, aby można było przekształcać te lasy – głównie sosnowe (takie sadzono po II wojnie światowej), a przez to słabsze i bardziej podatne na ogień i owady – w bardziej zrównoważone. Takie, gdzie las, zamiast być źródłem komercyjnego drewna, zacząłby, jak mówi, „świadczyc usługi ekosystemowe”, czyli spełniać swoją właściwą funkcję.

Na razie nowe nasadzenia już trwają. Choć mozolnie – nie tylko za sprawą min, ale także spalonych i uszkodzonych drzew, które najpierw trzeba usunąć.

Las przywracany jest do identycznego kształtu jak przed wojną: monokultury sosny.

Pozyskiwane przez Aleksieja Prihodkę sadzonki, uprawiane w lwowskim Centrum Hodowli Nasion Leśnych, mają – dzięki szwedzkiej technologii – opracowany zakryty system korzeniowy. To

zwiększa ich przeżywalność i pozwala szybko odtworzyć zniszczone tereny.

– Łymańskie nadleśnictwo robi bohaterską robotę – przyznaje Jarocki.

Choć on osobiście wołałby, aby sadzili nie tylko sosnę.

FRONT | Razem z pracownikami nadleśnictwa jedziemy w jedno z takich miejsc. To kilkanaście kilometrów od linii frontu, czyli w zasięgu artylerii.

Na przydrożnych krzakach powiewają skrawki białej taśmy. Ostrzega przed minami.

Las, naznaczony lejami po pociskach, zryty jest czołgowymi gasienicami, okopami. Obok pustych dziur w ziemi, które służyły do ukrycia „techniki”, zalegają sterty śmieci.

Gdzieś dalej zaczynają się świeże okopy. Otaczające Łyman lasy wciąż są zamieszkane przez załogi czołgów, artylerzystów, piechurów, tym razem ukraińskich. Żyją w ziemiankach, obok swoich pojazdów.

Siedzący za kierownicą naszej terenówki Denis odruchowo schyla głowę, gdy z oddali dobiega huk. Zdaje się z wyrzutni raketowej.

Jesteśmy na miejscu. Na piasku walają się łuski pocisków artyleryjskich. Rządki sosen są oblizane ogniem, zaczernione przy nasadach pni.

Ale na ziemi śladów pożaru już nie widać. Pokryta jest cienką warstwą zregenerowanej ściółki leśnej, która zdążyła się pojawić, odkąd linia frontu oddaliła się nieznacznie ponad rok temu i las zdołał odetchnąć.

PTAKI | Prihodko i jego ludzie wyciągają z samochodów paczki sadzonek, worki nawozu, narzędzia do nasadzeń. Sadzonki poniosą w wiaderkach, zawieszonych przez piersi niczym karabiny. Nawozem wypełniają sobie kieszenie. Zabierają się za pracę.

– Typowy dyrektor nie zajmuje się czymś takim – uśmiecha się Denis, popatrząc na swojego szefa.

– Typowy dyrektor siedzi w Kijowie – mruczy Prihodko, nie odrywając się od roboty.

Gdzieś znad naszych głów i kikutów uschniętych sosen dobiega pomruk artylerii.

Nie słychać żadnych leśnych ptaków.

© ANTONINA PALARCZYK

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



Sejatech Alemayou
 ገዢ ለአማራጽ
King Theodore's Son

*Księżę Alemajehu na wyspie Wight wkrótce po przybyciu do Wielkiej Brytanii;
 koniec lat 60. XIX w.*

BRITISH MUSEUM / DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Mały księżę i brytyjska królowa

WOJCIECH JAGIELSKI

Uprowadzony z domu, umarł z tęsknoty 145 lat temu. Dziś Etiopia chce sprowadzić jego prochy. Sprzeciwiają się Brytyjczycy, którzy – aby odkupić winy wobec małego jeńca – pochowali go kiedyś obok swoich królów.

KSIĄŻĘ ALEMAJEHU BYŁ JEDYNYM KRÓlewskim synem i miał po ojcu zasiąść na tronie Etiopii, nazywanej wtedy Abisynią. Wówczas, w drugiej połowie wieku XIX, tamten kawałek świata wyglądał inaczej niż dziś: Turcja podporządkowała sobie całą Arabię i afrykańskie wybrzeża Morza Czerwonego, a Europej-

czycy właśnie kolonizowali Afrykę środkową i wschodnią, poządlwie spoglądając na zdobycze tureckich Osmanów.

Etiopia, która zachowywała niezależność, postrzegana była szczególnie. Nie bez powodu: to kolebka ludzkości, jedno z najstarszych państw świata. Na jej historię składają się trzy tysiąclecia. Opowia-

dają o niej Homer i Herodot, wspomina Biblia. Sto lat przed Chrystusem etiopskie królestwo Aksum zaliczało się – obok Imperium Rzymskiego, Persji i Chin – do czterech największych potęg świata.

W 330 r. Królestwo Aksum, jak nazywana była późniejsza Etiopia, przyjęło chrześcijaństwo za religię państwową (jako trzeci kraj świata po Armenii i Gruzji). To w jego stolicy, również noszącej nazwę Aksum, według etiopskiej tradycji miała być przechowywana Arka Przymierza. Wykradzioną z Jerozolimy, przywieźć miał ją tu Menelik, syn żydowskiego króla Salomona oraz Makedy, królowej Saby (państwa, na terenie którego znajdowało się późniejsze Aksum). Zuchwalec przeszedł do legendy jako Menelik I, pierwszy etiopski król i założyciel dynastii salomońskiej.

Wywalczony tytuł

Za dziedzica tej dynastii uważał się również Kassa Hajle Gijorgis, ojciec Alemajehu. W 1855 r. ogłosił się cesarzem Etiopii. Jego wrogowie, a miał ich bez liku, twierdzili, że przypisuje sobie królewską krew, by uprawomocnić pretensje do tronu. W istocie – dowodzili – jego ojciec był plemiennym wodzem z Kuary i tylko matka pochodziła z arystokracji.

Była to prawda. Teodor II nie zdobył cesarskiego tronu dzięki błękitnej krwi, lecz męstwu. Jego młodość przypadła na tzw. epokę książąt: czas rozbicia dzielnicowego i wojen wszystkich ze wszystkimi. Walczono także ze słabym cesarzem o jego tron w Gonderze, ówczesnej stolicy, a wszyscy pretendenci powoływali się na dziedzictwo salomonowe.

Jako 21-latek Kassa Hajle Gijorgis skrzyknął zbrojną partię, z którą włączył się do tej walki. Kroczył od zwycięstwa do zwycięstwa, gromiąc kolejnych książąt. Pokonał nawet korpus ekspedycyjny, który do Etiopii wysłał egipski władca Mohammed Ali, a ścigając uciekającego wroga, najechał jego włości w dzisiejszym Sudanie. W 1855 r., mając czterdziestkę na karku, usunął z tronu słabego cesarza Jana III (swego teścia) i sam koronował się na cesarza, *negusa negesti*, króla królów. Przybrał imię Teodora (Tewodrosa) II.

Ludowa przepowiednia głosiła, że gdy w Etiopii nastanie władca o tym imieniu, przywróci jej dawną wielkość i będzie rządzić przez 40 lat. Kassa Hajle był pobożny, →

→ wierzył, że jest Bożym pomazańcem i starał się, by przepowiednia się spełniła. Jednak nie były mu pisane rządy ani tak długie, ani szczęśliwe.

Czarny Piotr Wielki

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Na razie Teodor II zabrał się do rządzenia z takim zapałem i pośpiechem, jakby przeczuwał, że nie będzie mu dane wiele czasu.

Zaczął od poskromienia buntów i zebrania pod swoim berłem wszystkich etiopskich prowincji. Po zjednoczeniu kraju zajął się reformami. Miały wyrwać państwo z zacofania i uczynić je nowoczesnym. Odebrał możnowładcom władzę, podzielił kraj na prowincje (zastąpiły dotychczasowe księstwa) i zarządził, że rządzić w nich będą wyznaczani przez niego gubernatorzy, a nie, jak dotąd, książęta na włościach. Umocnieniu cesarskiej władzy służyć miało też utworzenie zawodowej armii – uwalniało to Teodora II od zależności od możnowładców, którzy wcześniej dostarczali wojska na wojenne wyprawy.

Zaczął też ściągać podatki i budować drogi, przeniósł stolicę z Gonderu do Mekdeli, a żeby jeszcze mocniej scalić państwo, próbował narzucić mu jedną religię, prawosławne chrześcijaństwo, i podporządkować sobie duchowieństwo. Był łaskawy dla biedoty, za to nie miał litości dla tych, którzy mu się sprzeciwiali.

Okrzyknięto go „czarnym Piotrem I Wielkim” albo „czarnym Iwanem Groźnym”. Tak jak tamci moskiewscy carowie, miał być ambitny i niecierpliwy; tak jak oni chciał w ciągu jednego (własnego) życia przemienić ogromny i zacofany kraj w mocarstwo. Ale tamci dopięli swego, a on poniósł klęskę.

Sam przeciw wszystkim

Pierwszych pięć lat panowania Teodora II minęło w miarę spokojnie: przebudowywał państwo i wzmacniał władzę. Z czasem jednak zagrożeni książęta zaczęli podnosić głowy. W prowincjach wybuchaly bunt, a do rebelii przyłączali się biskupi, którym nie podobała się rola pokornych sług tronu, jaką wyznaczył im cesarz.

Tocząc nieustanne wojny, Teodor II zaniedbał modernizację królestwa. Wytracił wspaniałą armię, wyniszczył kraj, a przelewając bez umiaru krew, zraził do siebie lud, który miał go dotąd za obrońcę.

Osamotniony i zgorzkniały, z dobrodzieja wyrodził się w tyrana.

Jego wrogowie mogli liczyć na wsparcie ościennych mocarstw: islamskich władców z dzisiejszej Somalii, Półwyspu Arabskiego i Egiptu, a przede wszystkim imperium Osmanów. Cesarz, zagorzały chrześcijanin, uznał więc, że aby przeciwstawić się muzułmanom, zwrócić się o pomoc do chrześcijańskiej Europy. W 1862 r. zaprosił konsula Wielkiej Brytanii, wręczył mu listy do królowej Wiktorii i poprosił, by dostarczył je do rąk własnych.

Oferta była jednoznaczna: cesarz Etiopii proponował królowej Wiktorii przysiężenie przeciw Osmanom i prosił, by przysłała mu do pomocy inżynierów, a także rusznikarzy i puszkarzy, by uzbroili etiopskie wojsko.

Cesarz wpada w furie

Jednak Wielka Brytania, która wkraczała w epokę swojej największej potęgi, ani myślała wyruszać na krucjatę przeciw Osmanom. Przeciwnie, zabiegała o ich przyjaźń. Uważała Turcję za cenną sojuszniczkę w rywalizacji z Rosją na Bałkanach i Bliskim Wschodzie. Ponadto, po utracie w Ameryce Północnej kolonii i tamtejszych plantacji bawełny, przemysł włókienniczy Wielkiej Brytanii zdany był na dostawy tego surowca z Egiptu i Sudanu, ziem zależnych od Osmanów.

Konsul nie zawiózł listów królowej. W czerwonomorskim porcie Massawa, gdzie miał wsiąść na statek, przekazano mu polecenie rządu, by ruszał co prędzej do Sudanu, a listy słał pocztą. Kiedy dotarły do Londynu, urzędnicy w ministerstwie dyplomacji najpierw odłożyli je na półkę „spraw do załatwienia”, a po roku odesłali do Kalkuty, gdyż Abisynia podlegała wicekrólowi Indii.

Dopiero po trzech latach Teodor do czekał się odpowiedzi – odmownej. Rozsierdzony, w gniewie i okrucieństwie nie znał umiaru: kazał wtrącić do lochu brytyjskiego posłańca i konsula, a także wszystkich cudzoziemców przebywających w cesarstwie. Zapowiedział, że uwolni ich, jeśli Brytyjczycy pomogą mu zbudować wielką armię.

Wielkanocna zagłada Mekdeli

Na wieść o tym Wiktorii posłała wojsko do Abisynii, by dać cesarzowi nauczkę. Ekspedycja ta okazała się największą jak dotąd brytyjską wyprawą wojenną

w Afryce: z Indii do Abisynii wyruszyło statkami 13 tys. żołnierzy pod dowództwem sir Roberta Napiera oraz 50 tys. ludzi szeroko rozumianego zaplecza (służby, lekarzy, inżynierów itd.).

W grudniu 1868 r. siły ekspedycyjne wylądowały na brzegu Morza Czerwonego. Nikt nie stanął im na drodze. Wrodcy cesarzowi książęta pomagali Brytyjczykom.

W marcu siły brytyjskie stanęły pod murami stołecznej Mekdeli. W Wielki Piątek doszło do bitwy: armia Teodora została rozgromiona przez lepiej uzbrojonych Brytyjczyków, a cesarz z niedobitkami schronił się w twierdzy. Tuż po Wielkanocy Brytyjczycy przypuścili szturm i zdobyli ostatni punkt oporu Teodora. Ten, nie chcąc trafić do niewoli, odebrał sobie życie strzałem z pistoletu – tego samego, który przed laty przysłała mu w prezencie Wiktorii.

Inaczej niż w przypadku ówczesnych podbojów, Brytyjczycy nie uczynili Etiopii swoją kolonią – władzę nad krajem, który zachował niepodległość, oddali w ręce jednego z książąt (ten koronował się na cesarza jako Tekle Gijorgis II, ale rządził tylko trzy lata, po czym został pokonany przez innego księcia).

Wcześniej jednak sir Napier kazał zburzyć Mekdelę (dziś na jej miejscu jest wieś), a wcześniej pozwolił ją ograbić. Żołnierze i służba spłądowali wszystko, co miało wartość: kosztowności, królewskie korony i suknie królowych, setki starożytnych manuskryptów, koptyjskie Biblie, krzyże i kielichy ze srebra i złota, ikony i taboty (tablice symbolizujące te z Arki Przymierza). Zdarli nawet szaty z trupa cesarza i obcięli mu pukle włosów jako trofea.

Książę bawi się u królowej

Do brytyjskiej niewoli trafili też cesarzowa wdowa Tiruwork i 7-letni syn, książę Alemajehu. Ponoć Teodor nakazał wcześniej żonie, aby, jeśli on sam zginie, koniecznie poddała się wraz z synem Brytyjczykom, bo inaczej jego etiopscy wrogowie natychmiast ich zgładzą. Cesarzowa tak uczyniła.

Sir Napier powierzył jeńców kapitanowi Tristramowi Speedy'emu, który znał rodzinę cesarską. Przed laty wybrał się bowiem z Indii na polowanie do Rogu Afryki. Gdy Teodor dowiedział się wtedy o cudzoziemcu, kazał go sprowadzić i po-

wierzył mu zadanie szkolenia swego wojska. Szybko się poróżnili i Speedy musiał uciekać z Abisynii. Wcześniej zdążył jednak poznać Teodora i jego kraj, więc szykując ekspedycję, sir Napier zabrał go ze sobą.

Teraz Speedy miał towarzyszyć jeńcom do Londynu. Jednak po drodze cesarzowa zmarła, zanim jeszcze dotarli do Aleksandrii. Do Londynu popłynął tylko mały Alemajehu.

Najpierw Speedy zabrał Alemajehu do swego domu na wyspie Wight, u południowych wybrzeży Anglii. Letnią rezydencję na wyspie miała królowa Wiktoria (tu też umrze w 1901 r.). Podczas audjencji kapitan przedstawił jej księcia. Chłopiec przypadł Wiktorii do serca. Jej wnuczka wspominała potem, że bawiła się z Etiopczykiem podczas wizyt u babci na wyspie.

Królowa zdecydowała, że Speedy zostanie jego opiekunem i będzie otrzymywał za to wynagrodzenie z królewskiego skarbcza. Kazała posłać Alemajehu do najlepszych szkół i obiecała, że zapłaci za jego naukę. Nie zapomniała o Alemajehu także później, gdy wraz ze Speedym wyjechał do Indii: poleciła kapitanowi, by odesłał chłopca do Anglii, do szkoły z internatem. Księżę miał 10 lat, gdy rozstał się z opiekunem i popłynął statkiem do Londynu.

„Dzikus” w elitarnej szkole

Wiktoria faktycznie wybrała dla niego najlepsze szkoły: Lockers Park School, Cheltenham College. Wreszcie jako 15-latek wylądował w Rugby School: była to elitarna szkoła z internatem w mieście Rugby, założona w 1567 r.; uznaje się, że to tutaj narodził się sport, który nazwano od imienia szkoły. Jej władze uważały, że nic tak nie kształci silnych męskich charakterów jak ciężka, dyscyplina i rywalizacja.

Jednak Alemajehu źle czuł się w każdej ze szkół, a zwłaszcza w Rugby, gdzie koledzy dokuczali mu, przezywali „królewskim dzikusiem”. Upokorzenia spotykały go także później, w akademii wojennej Sandhurst. Nie wytrzymał tam nawet pierwszego roku nauki.

Opiekunom skarżył się, że jest niešťeśliwy i samotny; prosił, by odesłali go do ojczyzny. Królowa Wiktoria nie zgodziła się na to, ale pozwoliła mu porzucić akademię wojenną. Dalej miał się



Księżę Alemajehu wraz z opiekunem, kapitanem Tristramem Speedym. 1868 r.

uczyć w Leeds pod okiem Cyrila Ransome'a, jednego z wychowawców z Rugby School. Etiopczyk zamieszkał też w jego domu.

Ale dla księcia nie było już ratunku. Jesienią 1879 r. wątły 18-letni Alemajehu, cierpiący na melancholię (dziś powiedzielibyśmy raczej: depresję), nabawił się zapalenia płuc i zmarł. „Jesteśmy wstrząśnięci i pogrążeni w głębokiej żałobie, że pocziwy Alemajehu umarł dzisiejszego poranka – napisała w pamiętniku Wiktoria. – To takie smutne! (...) Samiusieńki w obcym kraju, bez jednej bratniej duszy, bez żadnego krewnego”.

Poleciła, by etiopskiego księcia pochowano w katakumbach Kaplicy św. Jerzego na Zamku Windsorskim – obok brytyjskich królowych i królów. Na jego nagrobku wyryto słowa Chrystusa: „Byłem obcy, a wyście mnie przyjęli”.

O wydanie prochów

„Nie przyjęli, ale uprowadzili. Nie był ich gościem, lecz jeńcem, łupem wojennym” – tak mówią dziś potomkowie etiopskich Salomonidów. Od kilkunastu lat żądają, żeby Wielka Brytania wydała im prochy Alemajehu – aby mogli je pochować w Etiopii.

Upominają się o to nie tylko arystokraci – księżęcy kuzyn Fasil Minas oraz Jeszi Kassa, prawnuczka ostatniego cesarza Etiopii Hajle Sellasjego – ale także władze etiopskiej republiki, która pół wieku

temu zastąpiła monarchię. W 2006 r. z oficjalną prośbą o wydanie prochów Alemajehu, a także zrabowanych w Mekdeli łupów zwrócił się do brytyjskiej Korony ówczesny prezydent Gyrmy Uelde-Gijorgis.

W odpowiedzi Wielka Brytania zwróciła część wojennych trofeów. Lecz wydać prochów księcia nie chce. „Jest wielce wątpliwe, by udało się wydobyć z krypty szczątki księcia, nie zakłócając wiecznego spoczynku pozostałych tam pochowanych zmarłych” – odpowiada niezmiennie Pałac Buckingham, zapewniając, że każdy, kto ma takie życzenie, może odwiedzić grób księcia w Windsorze.

Współcześni Salomonidzi uważają, że to nie jest w porządku. Że Alemajehu nie jest eksponatem w muzeum i powinien być pochowany tam, skąd pochodzi. Etiopska ambasada w Londynie zapowiedziała, że nie spocznie, dopóki prochy księcia nie wrócą do ojczyzny.

Prezydent chce być cesarzem

Sprowadzenie prochów Alemajehu stało się dla etiopskich władz sprawą honorową. Jego ojciec Teodor II, nierozumiany za życia, za sprawą swojej tragicznej śmierci stał się w Etiopii symbolem romantycznego bohaterstwa i najwyższego patriotyzmu, niezłomności i męczeństwa.

Pamięć o Teodorze wróciła do łask zwłaszcza za panowania obecnego przywódcy Etiopii Abiya Ahmeda (objął władzę w 2018 r.). Choć przewodzi on republice, uważa siebie za pomazańca Bożego, spadkobiercę największych cesarzy, wielkiego odnowiciela i zdobywcę, a także strażnika niezależności, którą Etiopia zachowywała przez wieki jako jedyna z państw Afryki (nie licząc krótkiej okupacji włoskiej z lat 1936-41).

Wydaje się, że pochówek szczątków syna Teodora na etiopskiej ziemi byłby dla prezydenta okazją, aby wcielić się w rolę niemalże cesarza.

Jeszi Kassa, wspomniana prawnuczka ostatniego etiopskiego cesarza, powrót księcia Alemajehu traktuje jak sprawę osobistą. „Czuje, jakbym go znała, płacze, kiedy o nim myślę. Był wygnańcem jak my, jak cała moja rodzina – mówiła w rozmowie z BBC. – Gdyby pochowano go w Etiopii, byłoby tak, jakby wrócił do domu”.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

Afrykańskie lustro

ZBIGNIEW ROKITA

Choć kontynent ten zdekolonizowano już politycznie, ciągle czeka on na dekolonizację mentalną – w głowach ludzi z tzw. Globalnej Północy.

AFRYKA TRAKTOWANA BYŁA ZAWSZE bardziej jako idea niż miejsce – uważa Dipo Faloyin. Ten Nigeryjczyk wychowany w Lagos, a żyjący w Londynie dziennikarz opowiada nam, jak ludzie z Globalnej Północy wyobrażają sobie kontynent zamieszany przez 1,4 miliarda ludzi, którzy żyją w 54 państwach i posługują się przeszło dwoma tysiącami języków. Oraz jakie to ma konsekwencje. Bo poza przerwami na mundial czy igrzyska Północ rzadko widzi afrykańskie kraje jako coś odrębnego. Panafrykaniści mimo woli – z Francji, USA czy Polski – wolą postrzegać Afrykę jako całość. Nawet jeśli ta stanowi jedność w mniejszym stopniu, niż jedność stanowi Europa.

LINIE PROSTE | Noam Chomsky miał powiedzieć, że zadaniem szkoły nie powinno być wbijanie do głów, jak Hitler zamordował 6 mln Żydów, ale jak udało się przekonać miliony zwykłych Niemców, że to konieczne. Kierując się podobną intencją, Faloyin nie pisze kolejnej historii politycznej regionu. Nie wpadł też w koleiny opowiadania Afryki przez absurd (od kanibalizmu Idiogo Amina po megalomanię Jeana-Bédela Bokassy) ani nie napisał opowieści o dzikości, takiej jak hollywoodzkie „Hotel Rwanda” czy „Krwawy diament”.

Opowieść zaczyna od podziału Afryki w 1885 r. przez mocarstwa Północy. Na konferencji berlińskiej zapisały one traktatowo: o losie Afrykańczyków zadecydują Europej-

czycy. To nie był jednak pusty kontynent. W tym czasie 80 proc. Afryki składało się ze starych niezależnych królestw, a zwłaszcza z niezależnych małych społeczności.

Europejczycy podzielili kontynent, którego znajomość opierała „się w głównej mierze na sprawozdaniach z przygód na wybrzeżu tego regionu, gdzie ludzie byli ważeni, skuwani, a później uprowadzani w niewolę” (to Faloyin). Na konferencję nie zaproszono nikogo z Afryki, ignorując fakt, że kontynent był „skomplikowanym ekosystemem”, żywym organizmem. Powstała mapa kolonii była karykaturą Afryki, topograficznym nonsensem, a wykrojone kolonialne organizmy, na bazie których w XX w. powstały niepodległe państwa – „frankensteinami” (dziś w Europie ulepiona jest w ten sposób Bośnia). To tak, jakby Afrykańczycy 150 lat temu podzielili Europę, kreśląc na ma-

pie przypadkowe kreski. Do dziś 30 proc. afrykańskich granic to linie proste.

BELGOWIE W KONGO | W polskim imaginariusz nie mieści się to, co zrobiono z Afryką. Dlatego przekonuje mnie argument Ryszarda Koziołka, który twierdzi, że „W pustyni i w puszczy” powinno pozostać lekturą, bo jest jednym z niewielu polskich dzieł, na przykładzie których można opowiadać o kolonializmie. Ten zaś zadał sobie wiele pytań, na które wciąż powinno się odpowiadać, np. czy wszyscy *homo sapiens* to równi sobie ludzie?

Na konferencji w Berlinie w 1885 r. symbolicznie zaczęła się epoka ludobójstw afrykańskich, a 60 lat później w tym samym miejscu skończyła się epoka ludobójstw drugowojennych. To zaś, co Niemcy robili podczas II wojny światowej w Europie, Francuzi, Brytyjczycy, Belgowie czy też sami Niemcy robili wcześniej w koloniach. Holokaust nie był precedensem, liczni Europejczycy już wcześniej – w Afryce właśnie – uczyli się mordowania na przemysłową skalę. Jak Belgowie, którzy w 1885 r. otrzymali Kongo, kilkadziesiąt razy większe od Belgii. To tam za sprawą rządów króla Leopolda życie straciło 10 mln Kongijczyków – w ciągu 20 lat zginęła połowa tamtejszej populacji.

Faloyin tłumaczy, że kolonializm był biznesem, a opowieści o niesieniu misji cywilizacyjnej i chrystianizacji – kłamstwem. Afrykę uczyniono bogatym kontynentem biednych ludzi. Trudno poza tym udowodnić tezę, że podbijane społeczności afrykańskie były mniej rozwinięte od europejskich – bo według jakiego kryterium mielibyśmy sądzić?

STRATEGIA RZĄDÓW | Pochodzący z „pobrytyjskiej” Nigerii Faloyin na przykładzie brytyjskich kolonii wyjaśnia, dlaczego tak wiele afrykańskich krajów jest autorytarnych i niestabilnych.

W czerwcu 2020 r. aktywiści zdewastowali pomnik Leopolda II stojący przed pałacem królewskim w Brukseli. Król współodpowiadał za śmierć 10 milionów Kongijczyków.



Brytyjczycy w koloniach, w których nie chcieli mieszkać, rządili za pośrednictwem Afrykańczyków o wątpliwej moralności, podatnych na przekupstwa. Delegowali na nich władzę i wspierali bronią, by podporządkowali Londynowi własny lud, tak „aby większe grupy etniczne zdominowały mniejsze, tworząc nowe społeczeństwa w miejscach, gdzie one wcześniej nie istniały”.

Mieszano etnosy i tworzone absurdalnie wielkie i sztuczne krainy; ogłaszano je państwami, a ich mieszkańców narodami. Np. powstała w 1914 r. Nigeria zamieszkała była przez 250 grup etnicznych. W koloniach prowadzono politykę „dziel i rządź”, która po dekadach doprowadzi do wielu zbrodni (przykładem konflikt w Białym Biele).

Czytamy: „Kraje z tak przypadkową geografiją odegrały ważną rolę w ułatwianiu przejmowania w nich władzy, pozostawiając afrykańskie państwa z formami demokracji, które nie pasowały do demografii stworzonej przez kolonizatorów”.

KLIENCI STRON | Gdy Londyn się wycofał, watażkowie zostali. Często „przywódcy mylili siebie ze swoimi państwami”, wciąż mieli broń i siłę. W rezultacie w Nigerii przez kilkadziesiąt lat co trzy i pół roku dochodziło do zamachu stanu. A „autorytarni władcy bardzo rzadko odchodzą, nie pociągając za sobą w otchłani swojego kraju”. Wiele państw Afryki stało się nie tyle niezdolnych do stabilności i dobrobytu, ile szczególnie wrzaskliwych – zwłaszcza że znaczna część czytelników tego artykułu jest wciąż starsza niż większość państw Afryki.

Dekolonizacja, tj. zdobywanie niepodległości przez Afrykę po II wojnie światowej, nie oznaczała pełnej niezależności. Kraje, które zostały zawłaszczane przez watażków, często stawały się klientami którejś ze stron zimnej wojny.

Przykładem Somalia. Faloyin pisze o tamtejszych czystkach w latach 80. XX w.: „Kampania wojskowa zakładała niemal całkowite zniszczenie dwóch największych miast w regionie, Hargeisy i Burao. Około 200 tysięcy somalijskich cywilów zostało zabitych, a wojna domowa zmusiła do ucieczki ponad 300 tysięcy ludzi. Podczas trwania tego ludobójstwa rząd Reagana dalej finansował wojskowy reżim Barrego. Wsparcie trwało aż do upadku bloku wschodniego w 1991

roku. Potem Waszyngton nie potrzebował już Somalii, więc zaczął utyskiwać na naruszanie praw człowieka. USA wkrótce zerwały z nim stosunki, odbierając mu pomoc finansową”.

W 1991 r. upadł dyktator Mohammed Siad Barre, Somalia się rozpadła, a dwa lata później w bitwie w Mogadiszu doszło do amerykańskiej klęski, którą Ridley Scott uwiecznił w filmie „Helikopter w ogniu”.

DZIEDZICTWO | Pisząc o zbrodniach na Afrykańczykach, Faloyin sporo uwagi poświęca ludobójstwu kulturowemu. Bo Afryka została okradziona nie tylko z ludzi i surowców, ale też ze swojego dziedzictwa: 90 proc. jej materialnego dziedzictwa znajduje się poza kontynentem, ogromna większość ukradzioną.

Nigeryjski profesor Chika Okeke-Agulu mówi: „Gdyby British Museum miało zwrócić tylko połowę wyszabrowanych przedmiotów ze swojej kolekcji, stałoby się małym muzeum”. Oddano kroplę w morzu, a bez tych dóbr Afrykańczycy nie mogą opowiedzieć swojej historii.

Muzea Północy mają różne argumenty na swą obronę. Twierdzą, że gdyby oddać artefakty Afryce, mniej turystów je zobaczy, lepiej więc, by zostały w „uniwersalnych muzeach”. Jednak, pisze Faloyin, „wiara w sztuczny konstrukt »uniwersalnego muzeum« polega wyłącznie na przyjęciu do wiadomości, że słowo »uniwersalny« oznacza Amerykę Północną i Europę”. Zresztą nawet gdyby Afrykańczycy trafili do tych muzeów, zobaczyliby niewiele: British Museum ma ok. 900 słynnych brązów benińskich, ale eksponuje około stu. Jeszcze inni podnoszą, że Afrykańczycy nie zdołaliby w odpowiedni sposób opiekować się swoim dziedzictwem – to tak, jakby dla dobra Polaków Tunezyjczycy przechowywali „Panoramę Racławicką” czy szczątki Mickiewicza.

Nie wszystkie elementy ludobójstwa kulturowego da się tak precyzyjnie policzyć jak muzealne eksponaty. Nie sposób uczynić tego w przypadku wszystkich strąconych afrykańskich bogów, zniszczonych zaświatów, pomieszanych języków, zapomnianych obyczajów. To wielki Afrykocyd.

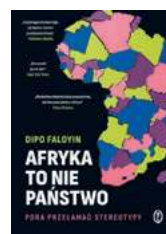
WKURZAJĄCY WERS | „Afryka to nie państwo” to esej subiektywny, a nigeryjski autor gra w otwarte karty, pisząc: „Nie je-

stem neutralny”. To popis erudycji, ale nie tylko akademickiej, lecz także zaczerpniętej z doświadczenia życia wśród Afrykańczyków. W książce roi się od ich zwykłej współczesności: od namibijskich feministek, przez viralowe kabarety z Kenii, po drugie największe zagłębienie filmowe planety, nigeryjskie Nollywood. Faloyin chętnie sięga po przykłady z popkultury, tak afrykańskiej, jak i Północy.

Wskazuje wyobrażenia tak wrośnięte w wyobraźnię, że trudno je zauważyć. Ostrzega np., że akcje pomocowe mogą Afryce przynieść więcej szkód niż pożytku. Pisze o inicjatywie muzyka Boba Geldofa. Wraz z Bono czy Philem Collinsem nagrał on w 1984 r. utwór pt. „Czy oni wiedzą, że są święta?”. Chciano w ten sposób zebrać pieniądze dla głodującej Etiopii. Faloyin uważa, że choć takie akcje pomogą na krótką metę, to w ostatecznym bilansie szkodzą. Pisze, że być może pod wpływem piosenki przekażesz na Etiopię parę groszy, ale „czy skłoni cię [to] do spędzenia wakacji w danym afrykańskim kraju? Czy spowoduje, że zechcesz założyć tam firmę albo nawiązać współpracę z lokalnym biznesem? Czy uświadomi ci poziom fachowej wiedzy, na której opierają się miejscowa technika, medycyna i branża kreatywne?”. Dla niego „najbardziej wkurzający” wers w tym utworze „to pewnie ten, który mówi, że jedyną wodą, jaka płynie na kontynencie, są »strumienie gorzkich łez«, rzekomo widoczne na wszystkich twarzach”.

Nie jest to jednak książka napisana pod wpływem gniewu. Faloyin podkreśla, nieraz z humorem, że o ile Afrykę zdekolonizowano już politycznie, teraz czas na dekolonizację gospodarczą czy kulturalną. Zdekolonizować Afrykę Północną musi ponadto w swoich głowach. ©

Autor jest reporterem i dramaturgiem, laureatem nagrody Nike. Autor książek, m.in. „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” i „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odkrytych”. Stale współpracuje z „TP”.



Dipo Faloyin
AFRYKA TO NIE PAŃSTWO.
PORA PRZEŁAMAĆ
STEREOTYPY
przeł. Wojciech
Charchalis,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2024

ŚWIAT NA TALERZU

GEORGE MONBIOT:

Czasem wam się wydaje, że zmiana jest niemożliwa ze względu na wasze przyzwyczajenia. Zastanówcie się na spokojnie: co z waszej diety wasza prababcia by w ogóle rozpoznała? Co uznałaby za „jedzenie”?

KRZYSZTOF STORY: Rano poszedłem na targ po warzywa. Zahaczyłem o małą piekarnię, gdzie mają taki warkocz z pomidorami doprawiony bazylią – mój ulubiony. Do tego oliwa przywieziona z Grecji. Wszystko wydawało się dobre – nie tylko smaczne, ale też zrównoważone i zdrowe. Coś przegapiłem?

GEORGE MONBIOT: Niewiele. Może jedynie to, że w wielu gajach oliwnych owoce zbiera się nocą [zachowują dzięki temu lepszy aromat i nie trzeba pracować w upale – red.] albo przy użyciu maszyn do potrząsania drzewem, albo ogromnych odkurzaczy próżniowych,

które wciągają nie tylko oliwki, ale np. gniazda ptaków wraz z lokatorami. Może akurat w tym rejonie Grecji tak nie robią.

Oliwa kojarzy się ze spokojem i naturalnością, a nie odkurzaczymi próżniowymi. Statystyczny jej zjadacz nie ma o tym pojęcia.

Nie tylko zjadacz oliwy. Wyżywienie 8 miliardów ludzi mniej przypomina uprawę domowego ogródka, a bardziej nowoczesną fabrykę pełną nowych technologii, norm i taśm produkcyjnych. Często tego nie wiemy, jeszcze częściej – nie chcemy wiedzieć.

„Jak z taśmy” – myślę, gdy oglądam stosy identycznych pomidorów w supermarkecie. Nie potrafię powiedzieć, jak je otrzymano. W ten sam sposób nie wiem, jak dokładnie działa komputer, dzięki któremu rozmawiamy.

Oba te wynalazki – laptop i masowo produkowany owoc – mają podobny poziom komplikacji. Wiele ludzi kreśli czarno-biały podział: „zła, nieekologiczna wielka uprawa i dobry mały rolnik sprzedający swoje płody rolne na pobliskim targu”. To droga donikąd. Oczywiście, lokalność jest ważną częścią systemu produkcji żywności – daje miejsca pracy,



TOM PILSTON / PANOS PICTURES / FORUM

GEORGE MONBIOT jest brytyjskim dziennikarzem, publicystą i działaczem ekologicznym. Felietonista dziennika „The Guardian”. Książka „Regenesi. Jak wyżywić świat nie pożerając planety” ukazała się nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej.

Na zdjęciu: w przydomowym sadzie, maj 2022 r.

nie poddaje się tak mocno presji korporacji, zwiększa różnorodność na rynku, ale...

Warzywa hodowane we własnym ogródku czy na miejskim balkonie nie uratują świata?

Ani go nie wykarmią. Nasze miasta są tak duże, że nie da się ich wyżywić lokalną produkcją. Musimy polegać na tym, co wyrośnie na wielkich, pustych i żyznych obszarach naszej planety: rosyjskich stepach, ukraińskich czarnoziemach, kanadyjskiej i amerykańskiej prerii, w brazylijskim interiorze. Gdyby ustalić, że człowiek może jeść tylko to, co wyrośnie mniej niż 100 kilometrów od jego domu, nie przeżyłaby nawet połowa ludzkości. Minimalny dystans „od pola do stołu”, który pozwoli wykarmić wszystkich, to 2,2 tys. kilometrów.

Tyle co z Warszawy do Madrytu. Nie obrazi się Pan, kiedy powiem, że uprawiam pomidorki w podmiejskim ogrodzie?

Wprost przeciwnie: sam to robię i uważam za piękne i satysfakcjonujące hobby. Takie hobby ma naturalnie dużo większy ślad węglowy w przeliczeniu na kilogram owoców niż profesjonalna uprawa, ale nawet nie o to chodzi. Wszystkie ludzkie zabudowania zajmują 1 procent planety. Potrzebujemy fabryk jedzenia, tylko że działających zupełnie inaczej niż dzisiaj. Opowiadanie bajek o miejskim rolnictwie w dyskusji o bezpieczeństwie żywnościowym tylko zaciemnia obraz.

Jaki jest ten obraz? Od systemu żywnościowego oczekujemy trzech rzeczy: kalorii, długowieczności i bezpieczeństwa. Chcemy, żeby nas wyżywił, nie zniszczył środowiska i żeby nic się w nim nie psuło.

Dla tej pierwszej sprawy poświęciliśmy dwie pozostałe. To, co dzieje się w środowisku, kryzys bioróżnorodności, widzimy od lat. Kryzys w trzeciej kwestii – bezpieczeństwa – dostrzegamy dopiero od niedawna. Sprowadza się on do tego, że na całym świecie zaczynamy jeść to samo.

Wchodząc do przeciętnego polskiego marketu, można odnieść przeciwne wrażenie. Jeszcze nigdy nie mieliśmy takiego wyboru.

Ale jeśli wejdiesz do marketu w Tajlandii, São Paulo czy Nairobi, zobaczysz

bardzo podobne produkty, a na etykietach nazwy tych samych firm. Wybór jest ogromny, tyle że jednakowy na całym świecie. Dążymy do standardowej globalnej diety.

To źle?

Wszystko, czego dotykamy w tej rozmowie, ma dobre i złe strony. Dobra jest taka, że pozwala wielu ludziom (tym, których na to stać) na zdrowszą, bardziej zróżnicowaną dietę niż w czasach, kiedy jedliśmy tylko to, co było dostępne w bliskiej okolicy.

Zła jest taka, że na poziomie całego systemu żywnościowego tego wyboru praktycznie się pozbyliśmy, a to ogromne ryzyko. Tak złożonym układom, jak system żywnościowy czy bankowy, bezpieczeństwo zapewniają dwie rzeczy: zróżnicowanie i „zbędne” części.

Cały świat spożywa jedną odmianę banana. Jeśli jej plantacje zaatakują jakiś np. wyjątkowo skuteczny grzyb, tracimy wszystko. To akurat prawdziwa historia bananów Gros Michel z lat 50.

Dość powiedzieć, że dzisiaj 60 proc. kalorii na całym świecie czerpiemy z czterech gatunków roślin: pszenicy, ryżu, kukurydzy i soi. Ale nie chodzi tylko o to, co jemy, ale też, jak to obrabiamy i sprzedajemy. Nasze jedzenie jest w jednym z tysięcy identycznych terminali przeładowywanych z ciężarówki na identyczne wagony, potem na identyczne statki, płynie przez pół świata, by wylądować na dokładnie takiej samej ciężarówce.

Ta standaryzacja jest coraz mocniejsza na każdym etapie. Korporacje, które karmią miliardy ludzi, realizują bardzo podobne strategie, ubezpieczają się i kredytują w podobnych miejscach. Szlaki handlowe przechodzą przez kilka konkretnych punktów – wystarczy spojrzeć, jakie zamieszanie w światowym handlu wywołało zablokowanie Kanału Sueskiego przez kontenerowiec Ever Given w 2021 r.

Albo wyłączenie z systemu czarnomorskich portów zaatakowanej przez Rosję Ukrainy. Nagle okazało się, że obiad dla ogromnej części Afryki zależy od możliwości podejścia do portu w Odessie. Czy czekają nas większe kryzysy?





Suszenie owoców kaki w gospodarstwie rolnym, prowincja Shandong, Chiny, 2017 r.

Jak powstaje jedzenie?

„Wyduje się, że największym problemem, przed którym stoi globalny system żywnościowy, jest on sam” – to cytat z książki G. Monbiota „Regeneses. Jak wyżywić świat nie pożerając planety”. I kilka faktów z tejże:

MONOPOL LUDZI: ponad 70 proc. terenów uprawnych na świecie należy do zaledwie 1 proc. posiadaczy.

MONOPOL FIRM: cztery spółki – Cargill, Archer Daniels Midland, Bunge i Louis Dreyfus

– kontrolują ok. 90 proc. handlu zbożem. Kolejne cztery firmy – ChemChina, Corteva, Bayer i BASF – sprzedają dwie trzecie chemii rolniczej na świecie, a gdy dodamy do tej grupy firmę LimaGrain – ponad połowę nasion. Podobny zespół kilku gigantów znajdziemy w prawie każdym aspekcie rynku: od pokarmu dla kaczek po maszyny rolnicze.

MONOPOL ROŚLIN:

60 proc. kalorii w naszej diecie pochodzi z czterech roślin – pszenicy, ryżu, kukurydzy i soi. Według danych ONZ od 1900 r. światowe uprawy straciły 75 proc. swojej różnorodności genetycznej.

MONOPOL ZWIERZĄT:

wszyscy ludzie, którzy urodzą się do 2050 r., będą w sumie ważyć ponad 100 milionów ton, a łączna masa nowych zwierząt hodowlanych – jeśli utrzymają się obecne trendy – wyniesie cztery razy więcej. Już dzisiaj około trzech czwartych antybiotyków, które sprzedaje się w UE i USA, nie służy leczeniu ludzi, lecz zwierząt hodowlanych. ©© KS

żyć świat bez konieczności pokrywania całej planety polami uprawnymi. Jej uprawa nie może wyjaławiać gleby, bo wtedy musimy zalewać ją nawozami lub pozostawiać odłogi na lata. Technologie, które wybieramy, powinny być na tyle proste i tanie, żeby mogli z nich korzystać drobni rolnicy, i mocno zróżnicowane. Myślę, że to wykonalne.

Wśród pomysłów, które stosują Pana bohaterowie – płodozmian, odtwarzanie naturalnego krajobrazu wewnątrz upraw, uprawa zbóż bez orania ziemi – jest kilka, które pojawiły się w europejskim „Zielonym Ładzie” i przeciwko którym od miesięcy protestują rolnicy w całej Europie.

Widzę te protesty jako niestandardową i bardzo skuteczną strategię lobbingsową. Rzadko która branża wykorzystuje protesty uliczne do obrony swoich przywilejów, żądając rozwiązań ewidentnie szkodliwych dla środowiska i reszty społeczeństwa. To ewidentnie działa. Komisja Europejska w zasadzie poddaje kluczową reformę bez walki, bo politycy w całej Unii drżą teraz o każdy głos.

Dlatego że protesty rolników, przynajmniej w Polsce, popiera większość społeczeństwa.

Chyba uwierzyliśmy, że to walka o przetrwanie europejskiego rolnictwa. A przecież nawet jeśli zależy nam na ochronie środowiska, chcemy by rolnictwo przetrwało, bo żadna inna branża nie jest tak dobrze osadzona w naszej wyobraźni. Od dziecka czytamy książeczki, w których krowa na farmie robi „muuu”, gęś wesoło gęga, a kura dziobie ziarenka. Nie ma znaczenia, że to wszystko od dawna już tak nie wygląda.

Tak naprawdę dzisiaj nie decydujemy o końcu europejskiego rolnictwa. Decydujemy o tym, jak ono ma wyglądać, skoro dalej ma do tej branży trafiać jedna trzecia unijnego budżetu – publicznych pieniędzy. Oczekiwanie, że w zamian za to rolnicy będą realizować pewien interes społeczny, jest uczciwym postawieniem sprawy.

Wróćmy do kontekstu globalnego. Do niedawna myśleliśmy, że łąda chwila wyeliminujemy głód na świecie.

⇒ Być może. Żywność na świecie warto traktować jak system złożony – tak samo jak system finansowy, ludzki mózg czy ocean. Naukowcy od dawna badają, jak w układzie tak pełnym wzajemnych powiązań i zależności (często nam nieznanych) przewidzieć jakiś wstrząs czy zmianę. Zaczyna się od usuwania „niepotrzebnych” (z punktu widzenia wydajności) hamulców, procedur, nieoptymalnych strategii. Potem, i to już widzimy, system wpada w drgawki, a efekty jego pracy stają się bardzo nieregularne. Spójrzmy tylko na ceny zbóż w ostatnich dwóch latach. Podobnie gwałtowne skoki

widzieliśmy w sektorze bankowym przed upadkiem Lehman Brothers w 2008 r. Tamten kryzys udało się rozwiązać zastrzykami pieniędzy dla banków. Z jedzeniem nie byłoby tak prosto.

W książce „Regeneses. Jak wyżywić świat nie pożerając planety” odwiec Pan wielu nietypowych rolników w poszukiwaniu odpowiedzi na tytułowe pytanie. Jakie kryteria musi spełniać jedzenie przyszłości?

Potrzebujemy zdrowej żywności, na tyle taniej, by każdego było na nią stać, i wysokich plonów z hektara, aby wy-

A potem od 2017 r. linia na wykresie zaczęła pięć się do góry. Najszybciej w Południowej Azji – regionie, który produkuje mnóstwo żywności.

Z czego to wynika? Wiele mówi się o tym, że produkujemy wystarczająco dużo jedzenia, tylko bez przerwy je marnujemy.

To kolejna droga donikąd. Oczywiście, że marnujemy i warto z tym walczyć, ale do pewnych granic. Myślenie, że zaraz zaprojektujemy system, który dostarczy jedzenie ośmiu miliardom ludzi i nic po drodze nie zgubi, to bujanie w obłokach.

Chyba że zatrzymamy największe marnotrawstwo żywności na świecie: masową hodowlę zwierząt.

Znam statystyki. Wiem, że kurczaki ważą więcej niż wszystkie inne ptaki na świecie razem wzięte. Wiem, że 60 proc. masy wszystkich ssaków na Ziemi to zwierzęta hodowlane. I że one wszystkie muszą jeść.

Od dawna wiemy, że masowa hodowla zwierząt ma katastrofalny wpływ na klimat i środowisko. Rzadziej myślimy o tym jak o marnowaniu jedzenia, ale dokładnie tak jest. Jedna trzecia kalorii z naszych zbóż staje się paszą dla zwierząt, dodatkowo dwie trzecie ziemi rolnej na całej planecie przeznaczaliśmy na wypas. W Wielkiej Brytanii ludzie zajmują 7 proc. ziemi, a pastwiska – ponad połowę. Gdyby wyładowali tu kosmici, za gatunek dominujący mogliby uznać owce.

To wszystko wiemy, a jednak nie zanosি się na to, byśmy nagle przestali jeść mięso, jajka i sery. W książce pokazuje Pan za to dwie technologie, które mogą być początkiem rewolucji. Pierwsza to wieloletnie odmiany zbóż, które nie wymagają orania ziemi każdego roku. Druga to białko otrzymane z hodowanych do tego celu bakterii. Jak to działa?

Oczywiście, pomysłów na jedzenie przyszłości jest więcej – np. mięso komórkowe czy hodowla owadów. Ten, o którym pan wspomina, to technologia precyzyjnej fermentacji. Dr Pasi Vainikka z Finlandii, założyciel firmy Solar Foods, pracuje z bakteriami, które odżywiają się wodorem. Można je rozmnażać w specjal-

nych bioreaktorach, ususzyć i dostać odżywczą „mąkę”, pełną białka. Jadłem, polecam, naleśniki były pyszne.

Zalety?

Dostalibyśmy pół świata z powrotem. Przykład: powierzchnia upraw soi w USA jest dziś większa niż terytorium Włoch. Taką samą ilość białka dałaby nam „uprawa” bakterii o powierzchni 21 tys. hektarów [to odrobinę więcej niż powierzchnia Świnoujścia – red.].

Mięso z próbki, jedzenie robaków, białko z bioreaktora. Nie brzmi smacznie.

Dlatego tak chętnie straszą nas tym rolnicze korporacje. W rzeczywistości fermentacja to proces o wiele starszy niż ludzkość, nic niezwykłego. W tej rozmowie skupiamy się na tym, jak wyżywić planetę, ale dodam coś jako kucharz i smakosz: wiele z tych technologii ma potencjał, by stać się czymś znacznie więcej niż tylko ekologicznym zamiennikiem mięsa. Mogą z nich powstać smaki, których sobie nie wyobrażamy – tak jak camembert był niewyobrażalny dla pierwszych ludzi, którzy schwytali dzikiego tura.

Na razie hasło ograniczenia hodowli zwierząt to na całym świecie najszybszy sposób na przegranie wyborów. Jak zatem ma dojść do zmiany, skoro ludzie jej nie chcą?

To kolejna lekcja z teorii systemów złożonych: zmiana często nie zachodzi stopniowo, tylko jest nagłym przechyłem. Najpierw przez dekady mówimy sobie „to niemożliwe”, „ta sprawa jest bezna-
dziejna”. Później docieramy do jakiegoś

punktu krytycznego i zanim się zorientujemy, kilka lat później mówimy: „to było nieuchronne”. Tak było z równouprawieniem kobiet, równością małżeńską w większości Europy czy zakazem palenia w miejscach publicznych. Pamiętam, jak w Wielkiej Brytanii nie mogłeś dojechać drugiego końca sali w restauracji, bo było siwo od dymu. Ludzie uważali prawo do palenia za świętość. Dzisiaj palacze kryją się gdzieś za rogiem jak licealiści i nie potrafimy sobie nawet wyobrazić, że może być inaczej.

Z jedzeniem będzie tak samo? Jest Pan optymistą?

Nie wiem, czy ze zmianą społeczną zdążymy przed zmianami klimatycznymi. Widzę, jak ciężki to proces. Ale też nie daję sobie wmówić, że obecny system jest nie do ruszenia. Zawsze się uśmiecham, kiedy słyszę, że to się nie uda, bo ludzie są przyzwyczajeni do swojego jedzenia. Owszem, czasem nam się wydaje, że lubimy jeść tak jak nasze prababcie i pradziadkowie. Zastanówcie się na spokojnie: co z waszej diety wasza prababcia by w ogóle rozpoznała? Co uznałaby za „jedzenie”? Co pojawiało się regularnie na jej stole? Awokado? Sery? Ryż? Może się okazać, że prawie nic. Dlatego nie daję sobie wmówić, że zmiana jest niemożliwa, bo przecież widzę ją na swoim talerzu.

Zaczęliśmy tę rozmowę moim śniadaniem. Skończymy Pana obiadem?

Upiekę pszenne placki i zrobię do nich pastę ze smażonej czarnej fasoli. Dodam trochę kukurydzy i ostry sos pomidorowy. Do tego pomidory, świeży ogórek, kolendra i czosnek. Smacznego!

© P Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

POŻEGNANIE

Pani Magdalenie Krzczunowicz oraz całej Rodzinie

składamy wyrazy głębokiego współczucia w związku ze śmiercią

Mamy

ś.†P.

Pani Róży Wyganowskiej z d. Wysockiej

PREZYDENT, ZARZĄD ZWIĄZKU POLSKICH KAWALERÓW MALTAŃSKICH
WRAZ Z DAMAMI I KAWALERAMI MALTAŃSKIMI,
PRACOWNIKAMI OŚRODKÓW POMOCY ORAZ WOLONTARIUSZAMI

WOJCIECH

Bonowicz:

Ręce Hioba



W NAJNOWSZEJ KSIĄŻCE BOGDANA BIAŁKA, tomie wierszy zatytułowanym „Ostatni Hiob”, znajduję taki fragment:

*we śnie
ostatniemu Hiobowi
ukazał się Bóg
nie miał formy
nie był pustką*

*boisz się mnie Hiobie
spytał*

*jakże miałbym się ciebie bać
skoro żyję wśród tych
którzy się ciebie nie boją
dlaczego mówisz do mnie
moim głosem
nawet głos chcesz
mi Panie
odebrać*

*mówię do ciebie
twoim głosem
patrzę twoimi oczami
niesiesz mnie na swoich nogach
bo idziesz tam*

*gdzie cię poprowadzę
tylko ręce masz wolne
Hiobie
tylko ręce
są twoje*

Kim jest ostatni Hiob? Ostatni – czyli dzisiejszy, współczesny, odpowiedział mi na spotkaniu poeta. Ale ostatni to też taki, który wiele przeżył i pozbył się złudzeń. Mniej rzeczy go dziwi, bo zebrał i przemyślał doświadczenia własne i cudze, i teraz stawia pytania najważniejsze, ostateczne. Żeby go zaskoczyć, trzeba się naprawdę postarać – i tak właśnie robi Bóg w tym wierszu.

Zjawia się w jakiejś przedziwnej niepostaci, ukazuje się, nie ukazując, nie przybierając żadnej formy. Jest przede wszystkim głosem, w którym ostatni Hiob rozpoznaje głos własny. Wiersz jest znakomicie poprowadzony, pełen niuansów, tak ważnych w poezji religijno-filozoficznej, która

zbyt często bywa poezją uwięzionej wyobraźni, uzależnioną od gotowych rozwiązań. U Białka wszystko ożywa. Hiob to przecież klasyczna figura, cierpiętnik wszystkich cierpiętników, bohater wielu rozważań i wielu wierszy. Jego rozmowa z Bogiem w tym fragmencie nie przypomina jednak tych, jakie najczęściej napotykamy w literaturze. Tonacją najbliższa jest może niektórym wierszom Anny Kamieńskiej. Albo wierszowi Herberta „Pan Cogito opowiada o kuszeniu Spinozy”, tyle że u Białka nie ma ironii i jest mniej retoryki.

Niuanse decydują. Przyjrzyjmy się choćby tej odpowiedzi Hioba: „jakże miałbym się ciebie bać / skoro żyję wśród tych / którzy się ciebie nie boją”. Ta prosta konstatacja uderza swą oczywistością, a jednocześnie w jakimś sensie ustawia całą rozmowę. Nie ma już napięcia „góra–dół”: Bóg nie przemawia z wysoka, lecz z wnętrza, przenika tego, z kim mówi. Opozycja „góra–dół” zniknęła, bo zniknął lęk, jaki budziło wyobrażenie Boga połączone z wyobrażeniem piekła. Oczywiście, określenie: „którzy się ciebie nie boją” może też znaczyć: „ci, którzy postępują, jak chcą”, „którym wszystko jest obojętne”. Ale to nie zmienia całego ustawienia. Relacja Bóg–Hiob jest tu relacją intymną, bliską, niezapośredniczoną. A jednocześnie Hiob przyznaje: jestem jak wszyscy, żyję w takim, a nie innym czasie i kontekście, jestem częścią tego świata. Dlatego zresztą na pytanie Boga od razu odpowiada pytaniem, a nawet pretensją: „nawet głos chcesz / mi Panie / odebrać”. Nawet głos... To znamienne, że jedynie na podstawie tych słów – słów pretensji – możemy się domyślać, iż Bóg niejedno już ostatniemu Hiobowi odebrał.

Jeszcze bardziej subtelne jest zakończenie. Figura Boga, który posługuje się ludzkimi oczami, głosem, ludzką energią i zdolnościami, także ma, oczywiście, długą tradycję. Słowa: „idziesz tam / gdzie cię poprowadzę” to niemal cytat z Ewangelii. Ale dzieje się tu coś trochę innego: Bóg zostawia Hiobowi na własność ręce. Kiedy chcemy komuś powiedzieć, że może działać swobodnie, mówimy: „Masz wolną rękę”. Bóg mówi do Hioba: „tylko ręce / są twoje”, reszta należy do mnie. Dlaczego ręce? Bo są symbolem działania? Bo służą przygarbianiu, przytulaniu, naprawianiu? Bo tylko rękami można zabić? Bóg nie lubi widoku niewolników, w człowieku musi pozostać jakaś część, która należy tylko do niego. Ale dlaczego ręce? Czyż nie ważniejszy jest głos, który także może działać, i to nawet wtedy, gdy ręce osłabną?

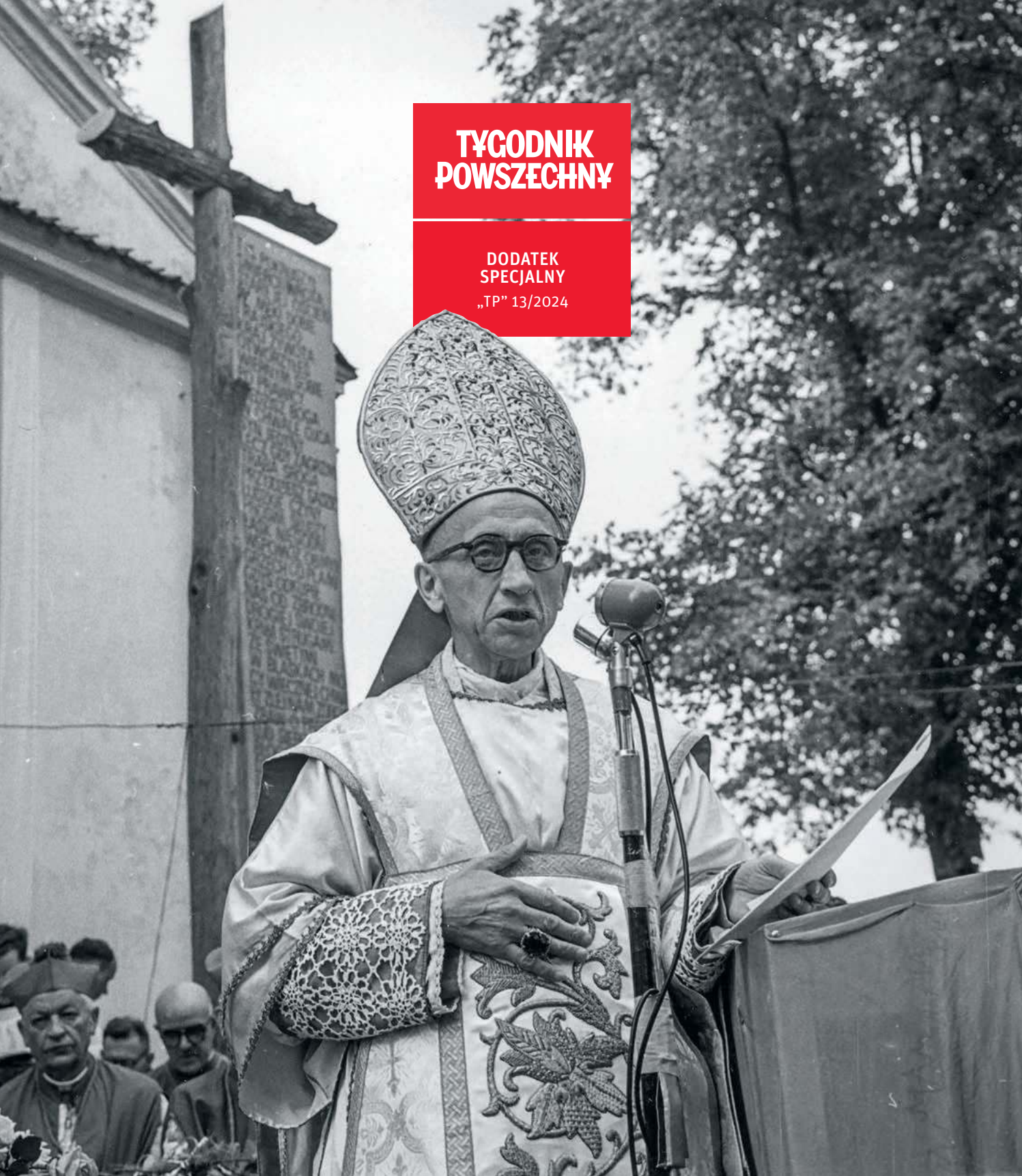
„Ręce ludzkie są bardzo interesującą częścią ciała”, wyznał w jednym z wywiadów Wiesław Myśliwski. „Może po rękach można najbardziej poznać, nie, inaczej powiem, najbogaciej odczytać drugiego człowieka. Ręce ludzkie mówią więcej niż oczy. Niech pani weźmie różne obrazy i przejrzy pod tym kątem. Sztuka malowania rąk jest jedną z trudniejszych. Niewielu malarzom udają się ręce”. Bóg zostawia Hiobowi ręce, żeby móc go „odczytać”? To prawda, że ręce pamięta się bardzo. Że kiedy inne wspomnienia się zacierają, to czasem wspomnienie dotyku i faktury rąk przywraca nam tego, o kim myślimy. Tak, ręce mówią o człowieku inaczej i co innego niż oczy. Ale też kiedy to piszę, pamięć od razu podsuwa mi wstrząsające zdjęcie młodego ukraińskiego żołnierza, któremu wybuch urwał obie dłonie...

Biorę sobie „Ostatniego Hioba” jako lekturę na czas okoliczności.

©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 13/2024



ANTONI BARANIAK (1904–1977)

ARCYBISKUP POZNANIA, WIĘZIEŃ PRL-u

Zwyciężając siebie

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Zanim został arcybiskupem Poznania, był sekretarzem prymasów.

Dlatego wpadł w tryby UB: komuniści liczyli,

że złoży zeznania przeciw Wyszyńskiemu.

Nie złożył, ale zapłacił wysoką cenę.

Antoni Baraniak: jego pamięci poświęcony jest rok 2024.

Swój pierwszy więzienny poranek opisał potem tak: „Zaprowadzono mnie do pustej, betonowej celi, w której była prycza, taboret, dzban wody z miednicą i kibel. Groźnie zaskrzypiał potężny klucz w żelaznych drzwiach i wreszcie nastała cisza”.

Był 26 września 1953 r. i Antoni Baraniak – ówczesny biskup pomocniczy gnieźnieński, sekretarz prymasa Stefana Wyszyńskiego, a w przeszłości także sekretarz prymasa Augusta Hlonda – właśnie trafił do aresztu śledczego przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie, osławionej komunistycznej katowni. Spędzi w niej kolejnych 27 miesięcy.

O swoich dalszych losach w tym ponurym miejscu będzie później konsekwentnie milczeć. Są zbyt traumatyczne.

Jak do tego doszło? Zaczniemy tę opowieść od początku.

Młody zdolny

Nowy Rok 1904 jest podwójnie radosny dla Franciszki i Franciszka Baraniaków.

Tego dnia w wielkopolskim Sebastianowie – wtedy wsi w zaborze pruskim, dziś w gminie Książ Wielkopolski – przychodzi na świat ich szóste dziecko: Antoni (potem urodzą się kolejne, łącznie mały Antek będzie mieć dziesięcioro rodzeństwa).

Po skończeniu szkoły powszechnej w pobliskich Mchach zdolny trzynastoletni chłopiec rozpoczyna naukę w salezjańskim gimnazjum w Oświęcimiu. Tam budzi się jego powołanie. W 1920 r. wstępuje do nowicjatu Towarzystwa Świętego Franciszka Salezego w Kleczy Dolnej koło Wadowic. W maju 1924 r. zdaje maturę, a w marcu następnego roku składa ślubny wieczyste w zgromadzeniu zakonnym salezjanów.

Salezjański charyzmat określają ewangelizacja i wychowanie młodzieży –

i przez kilka następnych lat (1924-1927) młody Antoni podejmuje praktykę duszpastersko-wychowawczą kolejno w Kleczy Dolnej, Czerwińsku oraz w Warszawie.

Przełożeni dostrzegają jego inteligencję, pracowitość oraz talenty językowe – i wysyłają na studia do Rzymu. Przebywa tam w latach 1927-1933. Jest to pobyt owocny: uzyskuje doktoraty z teologii i prawa kanonicznego.

W międzyczasie przyjmuje święcenia kapłańskie: 3 sierpnia 1930 r. w Krakowie, z rąk abp. Adama Stefana Sapiehy.

Wojenna odyseja

W październiku 1933 r. zostaje osobistym sekretarzem prymasa Polski kard. Augusta Hlonda (zresztą także salezjanina). Od-tąd niespełna trzydziestoletni ksiądz Baraniak prowadzi prymasowską kancelarię, koordynuje korespondencję, ustala kalendarz spotkań, spotyka się z ludźmi Kościoła i urzędnikami państwowymi. Z relacji wiemy, że jest dyskretny, nie lubi mówić o sobie (w tym także o swoim słabym zdrowiu) i że jego pasją jest filateli-styka.

II wojna światowej wywraca tamten świat – również jego świat. Choć nie zwalnia go z obowiązków sekretarza prymasa (w czym pomaga mu ks. Bolesław Filipiak). Gdy 14 września 1939 r., po konsultacjach z władzami II RP, Hlond opuszcza objęty wojenną pożogą kraj, Baraniak razem z nim udaje się na emigrację. Najpierw – do Rzymu. Ponieważ jednak Włochy, sojusznik III Rzeszy, szykują się do wojny z Francją (przystępują do niej w czerwcu 1940 r.), obaj duchowni opuszczają Italię.

W latach 1940-1943 przebywają w miasteczku Lourdes. To południe Francji, które do listopada 1942 r. nie jest okupowane przez Niemcy i tworzy

tw. państwo Vichy – marionetkowe państwo francuskie, powstałe po kapitulacji Francji w 1940 r. i kolaborujące z III Rzeszą.

Z Lourdes muszą się przenieść do opactwa cystersów w Hautecombe w Sabaudii. Kiedy w lutym 1944 r. Hlond zostaje aresztowany przez Gestapo, a następnie internowany, jego sekretarz koordynuje polskie duszpasterstwo w południowej Francji, kontynuuje misję opieki nad uchodźcami z kraju, zabezpiecza archiwum prymasowskie.

W pojałtańskiej Polsce

W kwietniu 1945 r. Hlond i Baraniak spotykają się ponownie w Paryżu. Po zakończeniu wojny prymas otrzymuje od papieża prerogatywy do odbudowy struktur Kościoła w Polsce. Choć legalne władze RP na emigracji w Londynie nie uznają komunistycznej uzurpacji nad Wisłą, obaj duchowni decydują się na powrót do kraju – i w lipcu 1945 r. są już w Poznaniu.

W kolejnych latach Antoni Baraniak jest cały czas przy prymasie, w tym w latach 1947-1948 zostaje jego osobistym kapelanem. Gdy zaś w październiku 1948 r. Hlond umiera, kieruje Sekretariatem Prymasa Polski jego następca – Stefan Wyszyński.

Ten ostatni, jako stosunkowo młody, gdyż 47-letni prymas potrzebuje porady osoby obeznaney w sprawach związanych z tą funkcją. Wyszyński wypowiada się o swoim podwładnym w superlatywach – jako o osobie sumiennej, dokładnej, uważnej, delikatnej. Relacje między nim a Baraniakiem utrzymane są wręcz w duchu przyjaźni.

Praktycznie cała działalność sekretariatu spoczywa na barkach Baraniaka, który nawet najdrobniejsze sprawy załatwia sam, uważając je za „doniosłe dla



ZBIGNIEW SIEMASZKO / NAC

Abp Antoni Baraniak podczas uroczystości w sanktuarium w Niepokalanowie, 1965-1977 (dokładna data nieznaną)

sprawności pracy”. Przynosi to efekty, ale – zważywszy na ogrom obowiązków – procedury czasem szwankują, dochodzi do opóźnień. Po odejściu Baraniaka z sekretariatu prymasa – po jego nominacji na arcybiskupa poznańskiego – taki jednoosobowy i archaiczny już system pracy tej komórki zostaje zreorganizowany.

Potwierdzeniem kompetencji 47-letniego Baraniaka jest jego nominacja w 1951 r. na biskupa pomocniczego diecezji gnieźnieńskiej. W tej roli ma także pomagać Kościołowi w pracy na ziemiach

poniemieckich, które przyznano Polsce po wojnie. Jeździ na wizytacje do diecezji gorzowskiej i warmińskiej.

„Ubierzcie się ciepło”

Tymczasem po spacyfikowaniu legalnej (politycznej) i nielegalnej (zbrojnej) opozycji, a także po wygraniu przy pomocy fałszerstw i terroru pseudowyborów do Sejmu w styczniu 1947 r. komuniści przechodzą do następnego etapu monopolizacji władzy. Podejmują walkę z Kościołem, który jest w tym czasie ostatnim już pod-

miotem niepoddającym się presji totalitarnego państwa.

Celem jest podporządkowanie sobie duchowieństwa i wykorzystanie jego potencjału do budowy nowej Polski. Konceptji tej sprzeciwia się Wyszyński – zwłaszcza po fiasku zawartego z ekipą Bolesława Bieruta w kwietniu 1950 r. tzw. porozumienia państwa z Kościołem. Partyjni decydenci uważają prymasa za „ostatnią przeszkodę” na drodze do tego, co nazywają „normalizacją” stosunków państwo-Kościół.



→ W maju 1953 r. Wyszyński stawia tamę koncepcji wpływania przez władze partyjno-państwowe na obsadę stanowisk kościelnych – w dłuższej perspektywie oznaczałoby to całkowite ubezwłasnowolnienie Kościoła. Odpowiedzią na to są dalsze represje.

Ich kulminacja następuje w nocy z 25 na 26 września 1953 r., gdy w Warszawie funkcjonariusze tajnej policji politycznej aresztują Wyszyńskiego. Baraniak trafia do więzienia 26 września – władze PRL liczą na to, że swoimi zeznaniem obwini prymasa.

Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, którzy przyszliznęli po Baraniaka, radzą mu ubrać się „raczej ciepło”. Nie jest to do bra wróżba.

„Pod śledztwem”

Na podstawie przepisów dekretu o „prześięstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy kraju” i kodeksu karnego Wojska Polskiego Baraniak – podobnie jak wielu więźniów politycznych – przechodzi brutalne śledztwo w areszcie na Mokotowie. Ma (sfingowane) zarzuty działalności antypaństwowej, grozi mu kara śmierci. Funkcjonariusze UB przesłuchują go sto kilkadziesiąt razy. Każda indagacja trwa wiele godzin.

Biskup przebywa w karcerze. Ma to nie tylko osłabić go psychicznie i fizycznie, lecz także zmusić do składania spreparowanych świadectw przeciw internowanemu prymasowi.

Baraniak nie daje się złamać, choć pisane pod dyktando śledczych zeznania zapewne mogłyby mu pomóc. Jako wieloletni sekretarz dwóch prymasów bez wątplenia ma wiedzę o „kuchni” ich działalności i kulisach kościelnej dyplomacji. Zwłaszcza kontaktów Kościoła w Polsce z Watykanem, z którym komuniści zerwali konkordat jeszcze w 1945 r.

Internowany w bieszczadzkiej Komańczy, Wyszyński dopiero jesienią 1955 r. dowiaduje się o losie Baraniaka. Pod datą 30 października tego roku pisze w pamiętniku: „Wiedziano w Mokotowie, że biskup Baraniak trzyma się dzielnie i że zajmuje godną postawę wobec swoich śledczych. Wiedziano, że biskup był »pod śledztwem«, że to śledztwo było długotrwałe i bardzo uciążliwe, że biskup nikogo nie obciążał”. Dodaje, że słyszał, iż Baraniak wychwiera dobry wpływ na więźniów, których wspiera na duchu.

■ Planowany pokazowy proces Baraniaka nie dochodzi do skutku ze względu na „brak przekonujących materiałów”. Ale więzienie odciska na nim piętno.

Wyszyński notuje: „»Zwycięża siebie«, »zadziwiał siłą duchową«, chociaż siły fizyczne są tak słabe, że budzą obawę wszystkich współwięźniów”.

„Sprawy ziemskie”

Planowany proces pokazowy Baraniaka (być może podobny do propagandowego pseudosądu nad biskupem kieleckim Czesławem Kaczmarkiem w 1953 r.) nie dochodzi do skutku ze względu na „brak przekonujących materiałów”.

Jednak zadane mu cierpienia pogarszają stan zdrowia. Od września 1954 do maja 1955 r. przebywa w szpitalu więziennym – mimo to nadal jest przesłuchiwany.

Więzienie odciska na nim piętno. Jest na skraju załamania psychicznego. W sierpniu 1955 r. dyrektor odpowiedzialnego za walkę z Kościołem departamentu bezpieczeństwa, ppłk Józef Dziemidok, notuje uzyskaną od więziennej agencji wypowiedź biskupa, że gdyby go zwolnili, „zamknąłby się w klasztorze, oddałby się jedynie Bogu, odepchnąłby sprawy ziemskie od siebie”.

W grudniu 1955 r. Baraniak zostaje przeniesiony – jako internowany – do domu salezjańskiego w Marszałkach (w Wielkopolsce), gdzie otrzymuje pomoc od swoich współbraci zakonników. Dzięki staraniom episkopatu od kwietnia 1956 r. leczy się w domu elżbietanek w Krynicy-Zdroju. Cały czas jest inwigilowany.

Na sytuację Kościoła w Polsce wpływają procesy względnej liberalizacji życia społeczno-politycznego, czyli tzw. odwilży – z apogeum w Październiku 1956 r. Nowy pierwszy sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka (szykanowany w okresie stalinizmu przez swoich partyjnych towarzyszy) deklaruje „reset” w poli-

tyce wyznaniowej. Ale to iluzja, bo faktycznym celem jest uspokojenie nastrojów społecznych. Zwłaszcza w kontekście powstania na Węgrzech, w listopadzie 1956 r. utopionego przez Sowieców w morzu krwi.

Polacy domagają się rozliczeń ze stalinizmem, co ostatecznie odbywa się minimalnym kosztem dla partii władzy i systemu. Niemniej na fali tej pozornej demokratyzacji Baraniak odzyskuje wolność 30 października 1956 r. i ponownie obejmuje stanowisko kierownika sekretariatu prymasa. Doświadczona więzienne cementują jego więź z Wyszyńskim.

Do Poznania

W dowód uznania za wierność Kościołowi, a także ze względu na predyspozycje papież Pius XII mianuje Baraniaka 30 maja 1957 r. arcybiskupem metropolią poznańskim (po śmierci abp. Walentego Dymka funkcja ta jest wolna). Wyszyński dowiaduje się o tym w Rzymie od kard. Antonia Samoręgo, który podkreśla, że to „nagroda dla biskupa za cierpienia więzienne”. Podczas audiencji 13 czerwca 1957 r. Baraniak dziękuje papieżowi za nominację.

Jego niewątpliwym atutem w nowym miejscu jest to, że pochodzi z Wielkopolski. Obejmując 2 lipca 1957 r. urząd w Poznaniu, wskazuje na ten właśnie wątek, czym zapewne „kupuje sobie” wiernych: „Nie jestem Wam obcy. Wyrósłem przecież wśród Was na prastarej ziemi wielkopolskiej, w krainie głębokiej i budującej wiary. Wśród Was kształtowałem swoje serce i swój umysł”.

Ingres do Poznania – najstarszej stolicy biskupiej w kraju – odbywa się 6 października 1957 r. Wierni przyjmują go entuzjastycznie.

Choć słabego zdrowia, nie próżnuje. Tworzy ponad 30 nowych parafii, odbywa sto kilkadziesiąt wizytacji, wyświęca ponad 600 księży. Inicjuje tworzenie nowych ośrodków duszpasterskich, wspiera duszpasterstwa świeckich.

Sobór, milenium, synod

Tymczasem w Kościele światowym trwają dyskusje o zmianach. Gdy w 1962 r. w Rzymie zaczyna się Sobór Watykański II (potrwa trzy lata), Baraniak tam jedzie – przewodniczy Komisji Soborowej Episkopatu Polski i zasiada w Komisji do spraw Kościołów Wschodnich. W listo-



Bp Antoni Baraniak i prymas Polski abp Stefan Wyszyński, 1952 r.

padzie 1965 r. podpisuje Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich ze słynnymi słowami „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”.

Z kolei na gruncie polskim w latach 1957-1966 także Wielkopoleanie angażują się w ogólnopolskie obchody Wielkiej Nowenny, która jest przygotowaniem Kościoła do jubileuszu tysiąclecia chrztu Polski.

Na obchodach milenijnych kładzie się jednak cieniem inspirowana przez ekipę Gomułki konfrontacja. Areną tych wydarzeń jest także Wielkopolska, a zwłaszcza Gniezno i Poznań, gdzie od 9 do 17 kwietnia 1966 r. odbywają się ważne uroczystości milenijne (14 kwietnia to uroczystość chrztu Mieszka I). Mimo przeciwdziałania władz partyjno-państwowych stają się one manifestacją przywiązania Polaków do wiary, Kościoła i biskupów (na ile jest ono pogłębione, to inna kwestia).

W 1968 r. Baraniak przeprowadza pierwszy od 230 lat Synod Archidiecezji Poznańskiej, który odbywa się w ramach obchodów Tysiąclecia Biskupstwa Poznańskiego. Z jego inicjatywy w 1969 r. przy poznańskim Wyższym Seminarium Duchownym zostaje ustanowiona samodzielna uczelnia – Akademickie Studium Teologiczne, w 1974 r. przemianowane na Papieski Wydział Teologiczny. Jednym z jego ostatnich ważniejszych zadań jest w 1975 r. funkcja przewodniczącego Krajowego Komitetu Roku Świętego.

Spór o „Humanae vitae”

Podobnie jak prymas Wyszyński, Baraniak jest krytykiem Stowarzyszenia PAX i księży lojalnych wobec państwa. Ale negatywnie ocenia też środowiska „Tygo-

dnika Powszechnego” i „Znaku” – uznaje je za zbyt postępowe.

Krytykuje więc „Tygodnik” np. za opublikowanie w 1969 r. wywiadu z belgijskim kardynałem Léonem-Josephem Suenensem na temat realizacji Soboru Watykańskiego II. Suenens budzi kontrowersje w Kościele światowym i także wśród polskich biskupów, gdyż jest otwartym krytykiem encykliki papieża Pawła VI „Humanae vitae” w jej części dotyczącej życia małżeńskiego i antykoncepcji.

Członkowie episkopatu uważają, że ten wywiad w „Tygodniku” jest szkodziły dla Kościoła w Polsce. We wrześniu 1969 r. Baraniak postuluje, aby odnośnie do „pism postępowych katolików” biskupi zajęli „zdecydowane i wyraźne stanowisko”.

Zachowuje również dystans wobec Klubu Inteligencji Katolickiej, obawiając się, że może on zostać wykorzystany do osłabienia Kościoła. Dla Klubu w Poznaniu nie wyznacza asystenta kościelnego, choć zezwala mu na kontakt z biskupami pomocniczymi i objęcie go opieką przez dominikanów.

Równocześnie Baraniak potrafi interweniować w przypadku działań wymierzonych w Kościół. Tak jest np. 23 listopada 1961 r., gdy Służba Bezpieczeństwa nachodzi siłą dominikańskie Duszpasterstwo Akademickie w Poznaniu. Nie boi się utrzymywać tajnych kontaktów z salezjanami z Czechosłowacji.

Na celowniku

Będąc zagorzałym krytykiem systemu, Baraniak pozostaje do końca życia na celowniku komunistycznej tajnej policji. Działania dezintegracyjne i dezinforma-

cyjne mają m.in. na celu wbicie klina między hierarchę a związane z nim środowiska. Dodatkową, niechlubną rolę w ograniczaniu swobodnej działalności arcybiskupa i jego otoczenia odgrywa Urząd do spraw Wyznań i jego poznańska ekspozytura, która – co istotne – jest wysoko oceniana przez centralę w Warszawie.

Arcybiskup umiera po długiej chorobie 13 sierpnia 1977 r. Dwudniowe uroczystości pogrzebowe na Ostrowie Tumskim gromadzą rzesze ludzi. Uczestniczą w nich też członkowie episkopatu z prymasem Wyszyńskim.

Antoni Baraniak zostaje pochowany w podziemiach poznańskiej katedry.

Ponad 40 lat później, w październiku 2017 r., zaczyna się jego proces beatyfikacyjny, który trwa do dziś.

„Gdy przyszła godzina”

Tamtego dnia, 5 października 1957 r., Warszawa jest świadkiem protestów w obronę wolności słowa i zamieszek, wywołanych likwidacją przez komunistów liberalizującego pisma „Po Prostu”.

Ale wtedy kończy się też pewien rozdział historii Kościoła w Polsce: w stolicy odbywa się pożegnanie Antoniego Baraniaka, który odjeżdża na ingres do Poznania.

Kardynał Wyszyński zapisze w związku z tym: „Nie spotkałem dotąd w swoim życiu człowieka tak sumiennego, tak dokładnego, tak oddanego sprawom wyższym i drobnym z wyjątkową uwagą, jak bp Baraniak. Nie jest to człowiek skory do mówienia. Ale jednak w sercu swoim rozważa wszystko, co mu jest powiedziane. Oddany był Kościołowi, prymasowi, sekretariatowi, archidiecezji. O wszystko się troszczył, wszystko uważał niemal za swoją sprawę. Nieraz myślałem, że jest lękliwy. Okazało się, że był raczej rozważny i ostrożny niż lękliwy. Gdy przyszła godzina jego, nie ugiął się przed uborcami. Walczył mężnie o prawdę. I zwyciężył”. ©

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK jest doktorem historii, pracownikiem Oddziału IPN w Warszawie, laureatem Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego (2023 r.) za książkę „Orient zesańców”. Autor szeregu książek o dziejach PRL, w tym o relacjach państwo-Kościół. Obecnie pracuje nad monografią o powojennych ekshumacjach w Warszawie. Stale współpracuje z „TP”.



ZE ZBIORÓW MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH I WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH PRL

Cela abp. Antoniego Baraniaka w więzieniu na Rakowieckiej – dziś izba pamięci jemu poświęcona.

Pamiętka z Rakowieckiej

STANISŁAW ZASADA

Po drodze na ingres zatrzyma się w Ostrowie Wielkopolskim, gdzie Prusacy więzili kardynała Ledóchowskiego. „Ja, więzień w Panu” – zacytuje św. Pawła. Ostrów, Rakowiecka, Poznań: opowiadamy o miejscach związanych z Antonim Baraniakiem.

Przychodzi ze trzydzieści osób. Dwudziestego szóstego każdego miesiąca – w dzień jego uwięzienia. Liczą, że jak się ociepli, będzie ich więcej. Przy przydrożnym krzyżu odmawiają modlitwę o jego beatyfikację, dziesiątkę różańca, śpiewają.

Krzyż stoi naprzeciw domu, w którym Antoni Baraniak urodził się i wychował.

Sebastianowo: rodzina

Trzydzieści numerów po obu stronach wąskiej szosy, niewiele ponad stu mieszkańców.

Baraniakowie mieszkali pośrodku wsi. Na rozdrożu stoi figurka Serca Jezusowego.

– Mieszkańcy do dziś zbierają się tam na nabożeństwa majowe – mówi regionalista Tomasz Jankowski z Książa Wielkopolskiego. – Przypuszczam, że mały Antoni też się tam modlił.

Stary dom, w którym przyszły arcybiskup przyszedł na świat i spędził wczesne lata, rozebrano w latach 70. XX w.

Na jego miejscu stoi piętrowy budynek z czerwonej cegły. Dziś mieszka tam krewny arcybiskupa: wnuk jego

brata Franciszka, powstańca wielkopolskiego.

„Większy od nas nie wyjdzie” – powiedzenie byłego proboszcza w Mchach zna wielu parafian. Nieżyjący już kanonik Jerzy Kaczmarek mówił tak o Antonim Baraniaku.

– Skromny, zwykły człowiek. Takim go wszyscy zapamiętali – Urszula Komorowska jest wnuczką Franciszka. – Nawet ci, co nie wiedzą, że jestem z rodziny, dobrane nim mówią.

Obecny proboszcz ks. Artur Kosior do dziś spotyka ludzi, którzy wspominają,



Bp Antoni Baraniak po aresztowaniu w nocy z 25 na 26 września 1953 r. – na sygnalitycznej fotografii UB.

jak arcybiskup przyjeżdżał do rodzinnej parafii, dzieci częstował cukierkami. Komorowska pamięta, jak po wyjściu z kościoła otwierał bombonierkę. – Wtedy takie czekoladki to był rarytas – mówi. Lubił z każdym zagadać, wypytać o rodzinę. – A ty od kogo jesteś, pytał najmłodszych – wspomina Komorowska.

– Z tego, co ludzie opowiadają, to nie był typ wyniosłego hierarchy – mówi Jankowski.

Rodziny. „Kochany Ludwisiu...” – zaczyna listy do młodszego brata Ludwika. Kiedy wraca z kościelnych uroczystości albo parafialnych wizytacji, po drodze wstępuje do rodziny w Sebastianowie. Lubi wyjść przed dom, popatrzeć na pola, zrobić zdjęcie (fotografia, po zbieraniu znaczków, to jego druga wielka pasja).

Sołtys Paweł Matuszewski pamięta ostatnią wizytę arcybiskupa w Mchach: w marcu 1977 r. przyjechał na powitanie kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, który peregrynował wtedy po archidiecezji. Był już bardzo chory (umrze w sierpniu). Podobno gdy Radio Watykańskie wspomniało o uroczystościach, popłakał się.

Matuszewski miał wtedy sześć lat. Mama zaprowadziła go z siostrami do kościoła, arcybiskup ich pobłogosławił. To jedyne wydarzenie, które kojarzy z Antonim Baraniakiem.

Na początku roku podsunął proboszczowi pomysł, by co miesiąc spotykali się pod krzyżem. – Wypada, żeby krajanie arcybiskupa też się za niego modlili – uważa sołtys.

Urszula Komorowska dziwi się, że sprawa beatyfikacji stryjecznego dziadka tak się ślimaczy.

Francja: słowiki

Miasteczko Lourdes u stóp Pirenejów. Tam w 1858 r. Matka Boża miała się objawić 14-letniej Bernadecie Soubirous. Dobrze dwa tysiące kilometrów od Polski.

Podczas II wojny światowej przebywający tam Baraniak odprawia msze dla tułających się jak on rodaków, głosi kazania. Żeby dać im pocieszenie, cytuje Mickiewicza i Sienkiewicza, intonuje polskie kolędy. Wysłał paczki do obozów jenieckich.

Dochodzą go smutne wieści o bliskich: brat Ludwik siedzi w jenieckim obozie, rodziców i brata Franciszka Niemcy wysiedlili z Sebastianowa.

Ukojenia szuka w modlitwie. Oraz w wycieczkach po okolicy: rowerem albo pieszo.

Potem będzie klasztor w Hautecombe w Sabaudii. Zbudowali go w średniowieczu cystersi, ale teraz mieszkają tu benedyktyni. Żyje trochę jak oni: z mnichami chodzi na modlitwy, na posiłki do klasztornej refektarza. Wędruje po górach.

Mimo wygnania francuską ziemię zachowa dobrze w pamięci. Już śmiertelnie chory, będzie swojej lekarce opowiadać o Francji. O tym, jak otwierał okno i słuchał słowików.

Mokotów: bliźny

Prawy profil, *en face*, lewy profil. Zdjęcia z więziennej kartoteki na Rakowieckiej.

Jest jeszcze w sutannie, pod szyją widać koloratkę. Ma 49 lat, wygląda dość młodo. Szybko się postarzeje.

Jest prycza, taboret – tak to potem opisał. W zakratowanym oknie celi jest dziś jego portret – arcybiskup Stanisław Gądecki przyniósł go w 2016 r., gdy w dawnym więzieniu na Mokotowie otwarto „Celę arcybiskupa Baraniaka”.

W tamtejszym Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Represjonowanych w PRL jest o nim wystawa. Ma tytuł „145 przesłuchań” – tyle zachowało się protokołów. Kościół przekazał pamiątki po nim: szafę, w której odprawiał mszę w Marszałkach, klęcznik, ornaty, naczynia liturgiczne.

Salezjanin Jarosław Wąsowicz dwudziestego szóstego każdego miesiąca odprawia w dawnym ubeckim areszcie mszę. Na pamiątkę tamtego 26 września 1953 r., gdy Baraniaka zabrali z Miodowej.

Nie zawsze miał taki „komfort”, jak w tej celi – prycze, taboret, dzbanek z wodą, miednicę. Wiele razy trafiał do karceru. Na ponad tydzień zamknęli go w piwnicy: bez światła i jedzenia, z sufitu i ścian kapła zimna woda. Bez wiadra na odchody.

Gdy po dwudziestu siedmiu miesiącach wychodził stąd, ważył czterdzieści kilo. Na plecach zostaną mu długie szerokie blizny. Odtąd stał się nerwowo, palił papierosy.

O torturach będzie opowiadać niechętnie. Właściwie w ogóle. Wnuczka Franciszka Baraniaka: – Nawet z moim dziadkiem nie chciał o tym rozmawiać.

„To było tak koszmarnie” – będzie się bronić przed wspomnianiem.

Ksiądz Wąsowicz: – Nie budował swojej postaci na męczeństwie.

Wielkopolskie Marszałki: przystań

Zdjęcie zostawił później. „Domowi Salezjańskiemu w Marszałkach, który w dniach od 29 grudnia 1955 do 1 kwietnia 1956 był dla mnie przystanią pokoju po burzliwych przeżyciach więzienia z całego serca błogosławię” – napisał na odwrocie, gdy przyjechał już jako wolny człowiek.

Nie wzywają go już na przesłuchania, nie biją. Ale warunki w domu salezjańskim w Marszałkach – wsi w Wielkopolsce – są spartańskie: zimno, a on wycieńczony. Nie wolno mu kontaktować się z mieszkańcami – miejscowość mała, →

→ łatwo skontrolować, kto przyjeżdża. Może pisać listy, ale korespondencja jest czytana.

Salezianie starają się, jak mogą. Sprowadzili krawca, żeby wziął miarę na jego sutannę. Salezianie odprawiają msze w parafialnym kościele. A jemu nie wolno wychodzić. Ołtarz urządzą mu w szafie.

Niedawno, kilka lat temu, założyli tu pustelnię i dom rekolekcyjny „Ognisko Miłosierdzia”. Pamiątki po arcybiskupie przekazali do Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Z dawnych czasów został kuchenny piec kaflowy z żeliwnym blatem. Do tej kuchni ubecy wnieśli go 29 grudnia 1955 r., gdy przywieźli go z aresztu na Rakowieckiej. Ostra zima, ubecy opatuleni, a on w cienkim płaszczu.

– Był tak zziębnięty, że jeden z salezjanów poradził, żeby nie dawać mu nic gorącego, bo organizm nie wytrzyma szoku – pustelnik i kierownik domu rekolekcyjnego ks. Dariusz Szyszka przytacza opowieści dawnych współbraci.

Za dwa lata wyruszy stąd na ingres.

Poznańska katedra: odwaga

W mitrze, z pastorałem, stoi na barokowej ambonie w poznańskiej katedrze.

Zdjęcie na okładce „Przewodnika Katolickiego” zapowiada jego ingres. Pod spodem redakcja zacytowała kawałek zdania z listu św. Pawła do Efezjan: „Proszę was ja, więzień w Panu”. Jakby redaktorzy chcieli przypomnieć, przez co przeszedł. Całe zdanie ma inny wydźwięk. „Proszę Was ja, więzień w Panu, abyście postępowali w sposób godny powołania, do którego jesteście wezwani” – napisał Apostoł. Baraniak zacytował to w liście do wiernych poznańskiej archidiecezji.

Na ingres wyruszył z Marszałek. W Ostrowie Wielkopolskim (Prusacy więzili tu przez dwa lata kard. Mieczysław Ledóchowski), w Środzie, w małych wsiach witają go tłumy. Na samochód rzucają kwiaty – jak prymasowi Wyszyńskiemu, a potem papieżowi.

Na Ostrowie Tumskim, w kościele Najświętszej Marii Panny (gdzieś tu miała modlić się Dobrawa, żona Mieszka I), założył ornat i mitrę. W procesji przeszedł do katedry, której tradycja sięga X w. i czasów biskupa Jordana.

Najstarszą w Polsce diecezję obejmował pół roku po odzyskaniu wolności.



Katedra na Ostrowie Tumskim w Poznaniu, lipiec 2020 r.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Podobno komuniści liczyli, że szybko umrze. Poznańskim Kościołem będzie kierował 20 lat.

Nie lęka się. W 1966 r. popsuje Gomułkę propagandowy wiec w Poznaniu: spędzeni na partyjną masówkę poznaniancy będą czmychać na Ostrów Tumski, by świętować tysiąc lat chrześcijaństwa. W czasie inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację modli się „o pokój dla Czechów i Słowaków”. Gdy w 1970 r. wojsko i milicja strzelają do stoczniovców, mówi o „przelanej krwi naszych braci”.

Kotłów: błąd

Romański kościół Narodzenia Najświętszej Marii Panny od dziewięciu wieków stoi na morenie, którą zostawił lodowiec. W dole kościół modernistyczny, w stylu zakopiańskim, młodszy o osiem stuleci. Też nosi wezwanie Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.

Kotłów nad Baryczą. Dziś diecezja kaliska, wtedy archidiecezja poznańska. Część wioski chodzi do jednego kościoła, część do drugiego. Był czas, że we wsi trwała „wojna religijna”: ktoś komuś miał podrzucić padlinę, zatruć studnię. Podzieliła ich wiara.

Rok 1968. W Kotłowie umiera stary proboszcz. Parafianie chcą, by zastąpił go dotychczasowy wikariusz. Ksiądz Zygmunt Koralewski przyszedł tu zaraz po święceniach, ludzie przywiązali się do niego. Ale arcybiskup Baraniak mianuje innego proboszcza, Koralewskiego przenosi. Do Poznania jedzie delegacja. W kurii słyszą, że szeregowiec nie bę-

dzie rządził generałem. „Szeregowiec” to ksiądz Koralewski. „Generałem” jest arcybiskup.

Kotłowanie wywieszają przed kościołem transparent: „Lud Boży żąda arcybiskupa”. Baraniak wysłał biskupa pomocniczego, parafianie zagłuszają go krzykami, chcą przewrócić samochód.

Kuria zawiesza Koralewskiego, przysłała nowego proboszcza. Kotłowanie traktują go jak uzurpatora, nie wpuszczają do kościoła ani na plebanię. We Wszystkich Świętych na cmentarzu idą dwie procesje, padają wyzwiska. „Odszczepieńcy” – tak rzymscy katolicy urągają zwolennikom Koralewskiego. Innym razem ci drudzy nie chcą wpuścić na cmentarz pogrzebu rzymskiego.

„Wojna chłopów z biskupami” – komunistyczne gazety rozpisują się z satysfakcją o konflikcie.

Arcybiskup ekskomunikuje Koralewskiego. Dochodzi do schizmy: Koralewski i jego zwolennicy przechodzą do Kościoła polskokatolickiego. Jeszcze kilka lat będą zajmować romański kościół, zanim sąd nie nakaze oddać go rzymskim katolikom. Wtedy zbudują swój. Koralewski zostanie w Kotłowie do końca życia, będzie proboszczem, dziekanem, wreszcie biskupem Kościoła polskokatolickiego.

– Kotłów to był nasz błąd – miał przyznać niedługo przed śmiercią abp Baraniak.

Szpital Święcickiego: odwiedziny

„Na Przybysza” – wielu poznaniaków do dziś nazywa tak to miejsce. To od nazwy ulicy, przy której stoi klinika imienia He-



DAWID TATARKIEWICZ / EAST NEWS

Grób abp. Antoniego Baraniaka w podziemiach katedry poznańskiej, styczeń 2018 r.

liodora Świącieckiego. Kompleks budynków z czerwonej cegły na początku XX w. zbudowały ewangelickie siostry diakonisy, Niemki. W czasie pierwszej wojny światowej był tu lazaret. W czasie drugiej też: najpierw dochodzili tu do siebie żołnierze Wehrmachtu, potem czerwonoarmiści. Po wojnie placówka zyskała rangę kliniki i imię pierwszego rektora Uniwersytetu Poznańskiego.

Arcybiskup Baraniak trafiał „na Przybysza” kilka razy. Ostatni raz na początku sierpnia 1977 r., kilkanaście dni przed śmiercią. Pielęgniarki, lekarze (nawet ci partyjni) podobno czuli do niego szacunek. Jedna lekarka zapamiętała jego skromną pocerowaną piżamę. Druga – blizny na plecach. Zobaczyła je przy badaniu. Wzbraniał się, żeby pokazać te plecy.

– Pamiątka, tak? – wiedziała o więzieniu, spytała, jak najdelikatniej potrafiła.

– Tak, pamiątka – odparł.

Nie wracali do tematu.

Wiedział, że umiera. Przestał jeść, cierpiał. W chwilach wielkiego bólu po ludzku chciał, żeby „to się już skończyło” (to wiemy z donosów). Prowadzące dom arcybiskupów poznańskich siostry elżbietanki twierdziły jednak, że chorobę znośli z pokorą, pogodnie.

W święto Przemienienia Pańskiego (była to sobota) przy jego łóżku usiadł

kardynał Wojtyła. Wracał ze spływu kajakowego, gdy dowiedział się o jego ciężkim stanie. Wcześniej odwiedził go kardynał Wyszyński. Ordynator oddziału nie pozostawił prymasowi złudzeń, że rak trzustki jest nieuleczalny.

Całą trójkę można spotkać na wielu zdjęciach: Baraniak obok Wyszyńskiego i Wojtyły. Na odpuszcie świętego Wojciecha w Gnieźnie, na procesji z Wawelu na Skalkę, w Poznaniu na uroczystościach tysiąclecia chrztu Polski, na rzymskim placu Świętego Piotra w czasie Soboru.

Tamtej soboty Baraniak i Wojtyła rozmawiają ostatni raz. Ktoś zapamięta słowa krakowskiego kardynała: „Kościół w Polsce nigdy nie zapomni ekscelencji, że go obronił w najtrudniejszych czasach”. Jakby chciał się z nim tak pożegnać.

Pacjent miał powiedzieć, że jak wyzdrowieje, na kolejne wakacje pojadą razem. A może powiedział to odwiedzający? Według innej opowieści po wyjściu gościa Baraniak miał się wyrazić, że „ten Wojtyła to umie człowieka pocieszyć”.

Po latach trudno ustalić, jak było.

Krypta: wieczny odpoczynek

Kolejka przesuwa się w milczeniu. Chcą podejść jak najbliżej. W ciepły sierpniowy dzień 1977 r. Poznań żegna Antoniego Baraniaka.

Dzień przed pogrzebem ciało wniesiono do gotyckiego kościółka Najświętszej Marii Panny. Ludzie podchodzą i oddają ostatni hołd. Nazajutrz trumnę przeniosą do katedry (20 lat wcześniej tą samą drogą szedł w ingresowej procesji). Nie wszyscy pomieszczą się w katedrze, większość stoi na placu i w ciasnych uliczkach Ostrowa Tumskiego.

Na trumnie biskupia mitra. Pełno kwiatów. „Jemu zawdzięczałem względny spokój w moim odosobnieniu” – mówi nad trumną prymas Wyszyński.

Po wszystkim trumnę wnoszą do krypty. Tu spocznie obok kardynała Mieczysława Ledóchowskiego (najpierw ugodowy wobec Prusaków, potem przeciwnik Kulturkampfu), arcybiskupów Florian Stabilewskiego (założył „Przewodnik Katolicki” oraz Drukarnię i Księgarnię Świętego Wojciecha) i Walentego Dymka (w czasie okupacji współpracuje z polskim podziemiem).

Sześć lat później do Poznania przyjeżdża Jan Paweł II. Chce pomodlić się przy trumnie Baraniaka. Komuniści nie chcą się zgodzić: trwa stan wojenny, odmówili papieskiej modlitwy pod krzyżami upamiętniającymi zabitych w 1956 r. poznaniaków. Ale tu papież stawia na swoim. W czasie mszy wspominał „pasterskie męstwo” Baraniaka. Teraz stromymi schodkami schodzi do podziemi. Klęka, odmawia „Zdrowaś Mario” i „Wieczny odpoczynek”.

Dziś krypta katedralna otwierana jest w oktavie Wszystkich Świętych. Przed sarkofagiem Baraniaka zawsze są znicze. ©

STANISŁAW ZASADA jest reporterem, mieszka w Poznaniu. Skończył polonistykę na UMK w Toruniu i Polską Szkołę Reportażu. Ostatnio w wydawnictwie Agora ukazała się jego książka „Kurierka. Historia kobiety, która mogła zatrzymać Holocaust”. Publikuje w „Press”, „Gazecie Wyborczej” i „W drodze”. Stałe współpracuje z „TP”.

MATEMATYKA NIE ZAWODZI

SIR ROGER PENROSE:

Teoria strun wydawała mi się pięknym połączeniem matematyki i fizyki. Aż do momentu, gdy dowiedziałem się, że postuluje ona istnienie 26 wymiarów czasoprzestrzennych. Wtedy zrozumiałem, że to nie dla mnie.

MARTA BIELIŃSKA: Niektórzy mają swoje ulubione liczby, ale fizyka noblistę trzeba chyba zapytać o coś bardziej abstrakcyjnego. Może ma Pan np. ulubioną grupę symetrii?

SIR ROGER PENROSE: Nie myślałem o niej wcześniej w ten sposób, jednak jest pewna taka grupa symetrii, określana jako $SL(2, \mathbb{C})$, o której chciałbym wspomnieć. Nie chcę wchodzić w techniczne szczegóły, ale uważam, że jest piękna w matematycznym sensie. Jest jednak jeszcze coś ważniejszego – chodzi o jej związek z fizyką, bo pojawia się w teorii względności, dotyczy czasoprzestrzeni. Dla mnie to jest decydujące. Dla matematyków istnieją pewnie znacznie ciekawsze struktury.

To ciekawe – rozmawiamy przecież na Wydziale Matematyki w Uniwersytecie Oksfordzkim i to właśnie tu piastuje Pan stanowisko profesora. Jak Pan w ogóle widzi różnicę między fizyką a matematyką?

Matematyka przypomina archeologię. W swoich badaniach matematycy przy odrobinie szczęścia odkrywają coś, co już istnieje. Niektórzy uważają, że matematyka to coś, co się tworzy, tak jak wynalazki. To mnie nie przekonuje, bo można wynaleźć coś, co nie działa – a matematyka przecież nie zawodzi. I nie może zawodzić. Jeśli coś w niej odkryjemy, to musi to działać.

Książkę „Droge do rzeczywistości” rozpoczynam obrazkiem, na którym widnieją trzy światy: pierwszy to rzeczywistość matematyczna, drugi – fizyczna, trzeci – świat umysłowy. Te światy na siebie wzajemnie oddziałują. Z jednej strony wierzymy, że świat fizyczny podlega prawom przyrody, które są matematyczne. Z drugiej strony jednak większość świata matematyki nie ma nic wspólnego z fizyką. Jeżeli jesteś matematykiem teoretycznym, to nie ma dla ciebie znaczenia, czy twoje odkrycia mają zastosowanie w fizyce – pociąga cię raczej ich piękno, stopień ogólności czy stopień trudności. Świat umysłowy z kolei wywodzi się z części świata fizycznego – i pozwala nam zgłębiać królestwo bytów matematycznych.

Fizycy kłócą się czasem o to, czy jakaś teoria należy do ich dziedziny, czy jest czystą matematyką.

Mogę podać przykład takiej teorii, która przyciąga naukowców swoim pięknem matematycznym, ale według mnie nie należy do fizyki. To teoria strun. Postuluje ona, że najbardziej fundamentalnym elementem świata fizycznego są nie punktowe cząstki, ale rozciągnięte struny.

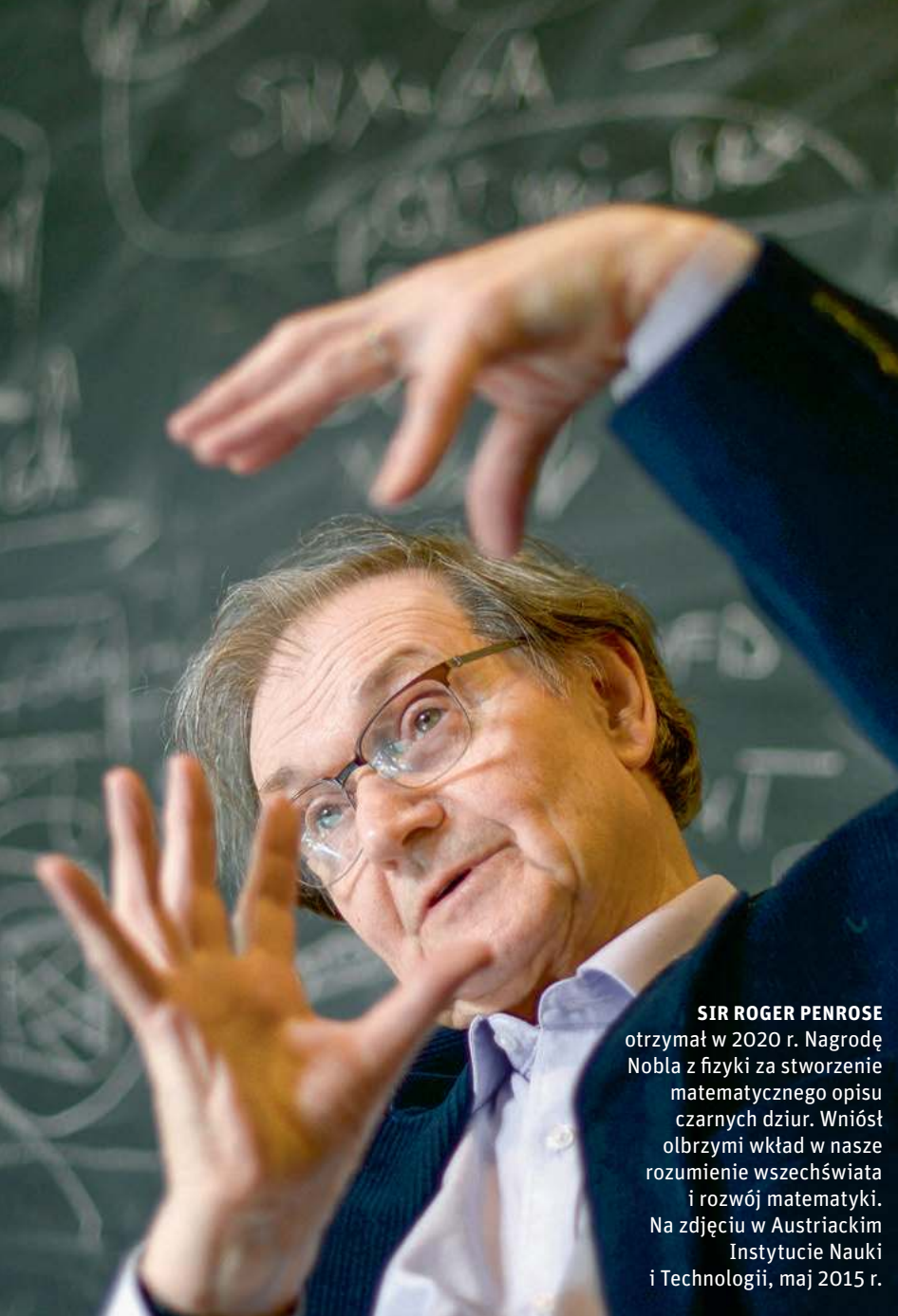
Muszę przyznać, że z początku ta teoria mnie zainteresowała. Wydawała się pięknym połączeniem matematyki i fizyki. Aż do momentu, gdy dowiedziałem się,

że postuluje ona istnienie 26 wymiarów czasoprzestrzennych. Wtedy zrozumiałem, że to nie dla mnie. Fizyka mówi o tym, jak działa świat. A w tym świecie nie widzimy aż tylu wymiarów, tylko cztery – trzy przestrzenne i jeden czasowy. Zwolennicy teorii strun prześcigają się w argumentowaniu, dlaczego nie doświadczamy tych dodatkowych wymiarów. Ale to od strony fizycznej nie działało od początków tej teorii i dalej nie działa. Nie ma sposobu, by ukryć w świecie te wszystkie wymiary. Mówiłem o tym w kółko na wykładach, ale nikt mnie nie słuchał.

Niektórzy teoria strun odrzuca, bo nie potrafią myśleć o aż tylu wymiarach, wyobrazić ich sobie. Pan jednak słynie z tego, że myśli bardzo geometrycznie.

Oczywiście trudno wyobrazić sobie tak dużą liczbę wymiarów, ale teoria strun nie wymaga myślenia obrazami. Niektórzy jej zwolennicy potrafią to robić, ale przede wszystkim trzeba być dobrym z algebry, żeby się nią zajmować. Ale mnie odrzuca to, że teoria strun wydaje się błędna. Widzimy cztery wymiary, które się świetnie uzupełniają. I te cztery wymiary dobrze działają w innych teoriach fizycznych.

Pamięta Pan, kiedy na poważnie zainteresował się matematyką?



SIR ROGER PENROSE otrzymał w 2020 r. Nagrodę Nobla z fizyki za stworzenie matematycznego opisu czarnych dziur. Wniósł olbrzymi wkład w nasze rozumienie wszechświata i rozwój matematyki. Na zdjęciu w Austriackim Instytucie Nauki i Technologii, maj 2015 r.

HANS KLAUS TECHT / APA / AFP / EAST NEWS

Pamiętam, że w dzieciństwie zacząłem jej używać na poważnie. Otóż miałem dwóch braci. Obaj byli irytujący. Młodszy, Jonathan, został arcymistrzem szachowym i był wielokrotnym mistrzem Anglii, ale ogólnie był niesamowicie dobry we wszelkiego rodzaju gry. Ogrywał mnie nawet w papier, kamień, nożyce. Zaczęłem się zastanawiać, jak to możliwe – przecież to gra losowa! Postanowiłem, że spróbuję to rozgryźć. Poszedłem do biura naszego ojca i wyjąłem tablice logarytmiczne. Otworzyłem je na losowej stronie i spisałem występujące na niej cyfry, które wyglądały na całkowicie losowe. Potem przetłumaczyłem je na język gry: jeden jako pa-

pier, dwa – kamień itd. Zapisalem je na długim pasku papieru. Od tamtej pory zawsze, gdy mój brat chciał ze mną grać, brałem ten pasek i pokazywałem to, co odpowiadało kolejnym liczbom na pasku. W ten sposób w końcu zacząłem remisować.

Odetchnąłem z ulgą. Okazało się, że to nie była magia i Jonathan nie czytał mi w myślach. Po prostu nie byłem dobry w losowości, a mój brat potrafił wychwycić każdy najmniejszy schemat moich wyborów i wykorzystać go przeciwko mnie. Miał niesamowitą pamięć.

A jak doszło do tego, że z matematyka stał się Pan fizykiem?

W moich wczesnych latach uniwersyteckich, na licencji, studiowałem matematykę na University College London. Mieliśmy wprowadzić kursy z matematyki stosowanej, ale mnie najbardziej interesowała matematyka teoretyczna. Mój program studiów zupełnie nie zawierał fizyki.

Przełomowym momentem było dla mnie odkrycie analizy zespolonej, która ujęła mnie swoim pięknem. Pomyślałem wtedy: czy nie byłoby cudownie, gdyby świat fizyczny był w jakimś sensie oparty na analizie zespolonej? Wtedy jeszcze nie znałem mechaniki kwantowej, która jest w dużej mierze oparta na tej dziedzinie matematyki. Pamiętam, jakie to było dla mnie objawienie, gdy się o tym dowiedziałem. Teraz wiem, że również teoria względności, jeśli spojrzeć na nią z perspektywy, którą prezentowałem w swoich teoriach, bazuje na analizie zespolonej. W ten właśnie sposób, trochę tylnymi drzwiami, wkroczyłem w świat fizyki.

Wybrał się Pan na wykłady z kosmologii?

Zaczęło się od popularnonaukowych wykładów Freda Hoyle'a w radiu, których słuchało się znakomicie. Hoyle wykladał w Cambridge astronomię i kosmologię. Każdy kurs składał się z dwóch części, a studenci mogli wybrać, którą chcą zrealizować. Większość osób unikała przedmiotu prowadzonego przez Hoyle'a. Ja po tych popularnonaukowych wystąpieniach zdecydowałem się pójść do niego na kurs. I co się okazało? Akademickie wykłady Hoyle'a były znacznie gorsze.

Ostatni wykład dotyczył stacjonarnego modelu wszechświata, bardzo popularnego w tamtym czasie. Miało to swoje uzasadnienie. Już wtedy wiadomo było o istnieniu tzw. gromad kulistych, czyli powiązanych grawitacyjnie gwiazd, które wydawały się starsze, niż wynosił wiek wszechświata. Jak to możliwe? Rozwiązaniem tego problemu był właśnie stacjonarny model wszechświata. Zgodnie z nim we wszechświecie nieustannie występowała kreacja nowej materii; potem wszechświat się rozszerzał i w ten sposób robił miejsce dla nowej materii. To była całkiem zgrabna teoria.

Dzisiaj już oczywiście nie obowiązuje – ustąpiła teorii Wielkiego Wybuchu.



Czasoprzestrzeń Rogera Penrose'a

info: Łukasz Lamża, grafika: Lech Mazurczyk

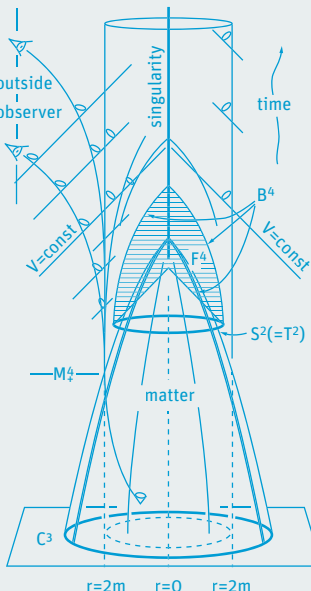
Narodziny

Roger Penrose urodził się 8 sierpnia 1931 r. Jego najstarszy brat Olivier (ur. 1929) jest fizykiem, młodszy Jonathan (1933-2021) był arcymistrzem szachowym, a najmłodsza siostra Shirley (ur. 1945) genetyczką i pewnie umie to zdanie wyjaśnić.



Publikuje artykuł

„Gravitational Collapse and Space-Time Singularities”. Dotyczy zapadania się materii, które, jak wykazał Penrose, musi doprowadzić do powstania tzw. osobliwości. Osobliwość można wyobrazić sobie jako miejsce, gdzie gęstość materii dąży do nieskończoności i nic nie jest w stanie powstrzymać jej zapadania się – tak do dziś opisujemy powstawanie czarnych dziur. W 1965 r. fizycy opisywali już taki proces, jednak tylko dla szczególnych przypadków, np. gwiazdy, która jest idealną kulą. Penrose zaproponował nowy język opisu czasoprzestrzeni: tak ogólny, że obejmuje nie tylko „idealne” gwiazdy, a ponadto da się przy jego pomocy mówić o zapadaniu do punktu – lub wyłanianiu z niego – całego wszechświata.

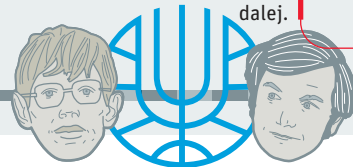
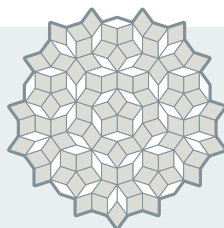


Opisuje parkietaż Penrose'a

Parkietaż to całkowite pokrycie płaskizny figurami geometrycznymi (jak ściany kafelkami albo chodnika kostką brukową). Penrose podał jeden z najstojniejszych przepisów na parkietaż „aperiodyczny”, czyli taki, który nigdzie się nie powtarza – i opisał go matematycznie. W 1982 r. zostały odkryte niepowtarzające się („aperiodyczne”) kryształy, a w 1997 r. firma Kimberly-Clark postużyła się (bezprawnie) wzorem Penrose'a, aby wyprodukować niepowtarzalny papier toaletowy.

Otrzymuje Nagrodę Wolfa

W dziedzinie fizyki jest czasem nazywaną „drugą po Noblu”. Większość „Wolffistów” zostaje zresztą też Noblistami. W 1988 r. Penrose otrzymał ją wspólnie ze Stephenem Hawkingiem, z którym od ok. 1965 r. wspólnie pracował nad matematycznym opisem osobliwości czasoprzestrzennych. Fizycy do dziś posługują się „twierdzeniami Penrose-Hawkinga o osobliwościach”, które porządkują ten trudny temat: jakiego typu osobliwości można w ogóle precyzyjnie opisać w języku dzisiejszej kosmologii, pod jakimi warunkami mogą występować we wszechświecie i tak dalej.



→ To wykład Hoyle'a zmienił mój pogląd na temat teorii wszechświata stacjonarnego. Opowiadał on, że w tym modelu, wraz z rozszerzaniem się wszechświata, galaktyki oddalają się od nas coraz szybciej i szybciej, a w końcu, gdy osiągają prędkość światła, to znikają – już nie da się ich dostrzec. Ten pomysł nie miał dla mnie sensu. Uważałem, że te galaktyki będą raczej stopniowo zanikać, zamiast zrobić to nagle, po osiągnięciu prędkości światła.

Odwiedzałem wtedy mojego brata, który był już studentem w Cambridge. Jedliśmy obiad w restauracji, a ja mu mówiłem o swoich przemyśleniach. Odpowiedział, że on nic nie wie o kosmologii, ale przy stoliku obok siedzi jego dobry znajomy, Dennis Sciama, który się na tym zna. Poszedłem więc do Dennisa i opowiedziałem mu o moim pomysle. Narysowałem nawet na rysunku, dlaczego te galaktyki powinny znikać stopniowo, a nie nagle. Dennis opowiedział, że sam się na tym nie zna, ale zapyta Freda Hoyle'a. I podobno Fred był pod dużym wrażeniem moich argumentów.

Od tamtego spotkania zaprzyjaźniłem się z Dennisem, który okazał się wielkim wielbicielem Szekspira. Często wybieraliśmy się na wycieczki z Cambridge do

Stratford-upon-Avon, gdzie się Szekspir urodził. Podczas jazdy Dennis opowiadał mi o fizyce. A ponieważ droga była dość długa, nauczyłem się wtedy bardzo dużo. Z tego powodu powtarzam, że nie studiowałem fizyki – ja nauczyłem się jej od Dennisa.

A jak Pana wciągnęły czarne dziury? To za nie dostał Pan Nobla.

Również w tym Dennis miał swój udział. A także przypadek. Po doktoracie, który zrobiłem z geometrii algebraicznej, pracowałem w Cambridge. Pewnego dnia Dennis usłyszał, że David Finkelstein, badacz specjalizujący się w teorii względności, ma powiedzieć wykład o pewnym problemie kosmologicznym – tzw. osobliwości Schwarzschilda.

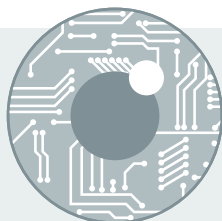
Ten problem pojawia się w równaniach grawitacyjnych Einsteina dla ciała symetrycznego sferycznie, takiego jak np. kula. Okazuje się, że gdy ciało o danej masie ma promień o pewnej określonej długości, to pojawia się osobliwość – czyli równanie się załamuje. Wtedy panowało przekonanie, że to rozwiązanie nie ma sensu. Finkelstein opowiadał o próbach pozbycia się tej osobliwości. Współcześnie nazywamy ten promień horyzontem

zdarzeń, a rozwiązanie Schwarzschilda jest opisem czarnej dziury.

Bardzo zafrapował mnie ten wykład i zacząłem zastanawiać się, czy istnieje jakaś teoria mówiąca o tym, że nie można się pozbyć horyzontu. Doszedłem jednak do wniosku, że gdyby ona istniała, to bym o niej wiedział. Myślałem: czy jest coś, co ja wiem o ogólnej teorii względności, a czego inni nie wiedzą? Przypomniałem sobie wtedy o wykładach Paula Diraca, jednego z twórców mechaniki kwantowej, nagrodzonego Noblem jeszcze przed drugą wojną światową. To były świetne wykłady! Freeman Dyson, też znany fizyk, powtarzał mi, że wykłady Diraca są fatalne, ale mnie się podobały.

Czego dotyczy?

Kwantowej teorii pola, która jest próbą połączenia teorii względności i świata kwantów. I tak się składa, że uczniem Diraca, z którym często chodził na spacer, był Dennis. Być może to Dennis Diracowi powiedział o mnie, bo w tym czasie interesowałem się pewnym zagadnieniem matematycznym – tzw. spinorami. I akurat tym razem Dirac nieoczekiwanie zmienił swój normalny wykład – zaczął mówić o interesujących mnie spino-

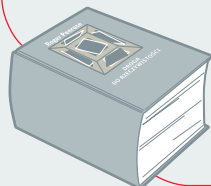


Publikuje „Nowy umysł cesarza”

Penrose miał wiele zainteresowań naukowych, ale żadne nie pociągnęło go chyba tak daleko, jak fascynacja umysłem. W „Nowym umyśle cesarza” argumentuje, że umysł ludzi nie jest komputerem albo, mówiąc nieco inaczej, że w umyśle pojawiają się rzeczy, których nie dałoby się obliczyć. To jednak nie koniec. W 1994 r. ukazały się jego „Cienie umysłu”, w których zaproponował własną teorię świadomości ludzkiej, opierającą się na zjawiskach kwantowych zachodzących w neuronach.

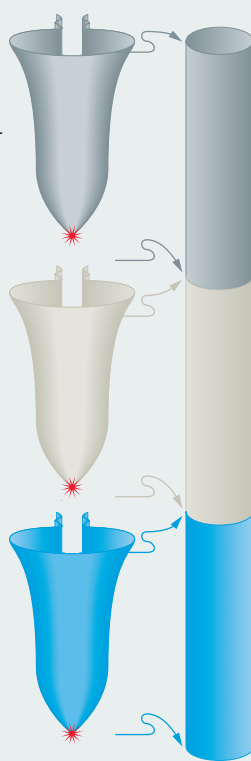
Publikuje „Droge do rzeczywistości”

To jedna z tych wielkich (polskie wydanie ma 1100 stron) nieprzeczytanych książek. Podtytuł brzmi jak przechwałka, ale to niestety prawda – ta książka to „Wyczerpujący przewodnik po prawach rządzących Wszechświatem”. W praktyce oznacza to matematykę, matematykę, matematykę. Książka ta istnieje więc głównie po to, aby przypominać nam wszystkim, że droga do zrozumienia kosmosu i kwantów wiedzie przez harmoniki sferyczne, wektorowe wiązki zespolone i operatory pochodnej kowariantnej.



Publikuje „Cykle czasu”

„Cykle czasu” opisują Penrose’a wizję kosmosu przystępnie – czyli dla tych, którym nie strasze odwzorowania konforemne płaszczyzny hiperbolicznej. Penrose przyjrzał się uważnie naszemu wszechświatowi, który rozpoczął się w punkcie i zdążył do nieskończoności, po czym stwierdził, że dla matematyka punkt i nieskończoność to prawie to samo, o ile tylko zastosuje się szereg sprytnych przekształceń. Potem pozostało zszyc ze sobą nieskończoną liczbę takich wszechświatów i bach! – oto „konforemna kosmologia cykliczna”.



Otrzymuje Nagrodę Nobla

Komitet noblowski ogłosił, że przyznał ją Penrose’owi „za odkrycie, że powstawanie czarnych dziur jest solidnym przewidywaniem ogólnej teorii względności”. Drugą połowę tego samego Nobla podzielili między sobą Reinhard Genzel i Andrea Ghez, którzy przewodzili badaniom obserwacyjnym, dzięki którym możemy pokazać paluchem w nocne niebo i powiedzieć: „O, tam jest prawdziwa czarna dziura”. Gdyby żył Stephen Hawking (zm. 2018), niemal na pewno zostałby uwzględniony – tylko jak, skoro maksimum to troje laureatów?



1988

1989

2000

2004

2010

2020

LECH MAZURCZYK

rach. W końcu zrozumiałem, o co w tym chodzi.

Po wykładzie Finkelsteina postanowiłem przepisać ogólną teorię względności właśnie w języku teorii spinorów. Wyšlo pięknie. To ujęcie ostatecznie pozwoliło mi udowodnić twierdzenie o nieusuwalności horyzontu zdarzeń, a także dojść do wniosku, że czasem, gdy gwiazda umiera, powstaje po niej czarna dziura.

Sfotografowanie w 2019 r. czarnej dziury przez zespół Teleskopu Horyzontu Zdarzeń było głośnym osiągnięciem – i potwierdzeniem istnienia tych obiektów. Spodziewał się Pan wtedy Nobla?

Krótko przed ogłoszeniem listy laureatów w 2020 r. miałem sygnały od dwóch znajomych, ale sam się nie spodziewałem. Brałem akurat prysznic, gdy zadzwonił telefon. Była to moja asystentka. Powiedziała, że rozmawiała z przedstawicielami Szwedzkiej Akademii i pytała, czy może podać im mój numer. Nie chciałem się zgodzić, bo nie podaję mojego numeru. Wtedy zwróciła mi uwagę, że to przecież Szwedzka Akademia Nauk! Najpierw nie skojarzyłem, o co jej chodzi, ale potem przypomniałem sobie o prze-

ciekach i się zgodziłem. Zadzwonił więc do mnie Prezydent Szwedzkiej Akademii, ale po chwili poprosił o zawieszenie połączenia, bo musiał wykonać inny telefon. Pewnie chciał skontaktować się z pozostałymi laureatami – Reinhardem Genzelą i Andrea Ghez z Kalifornii, dla których był to wczesny poranek. Ta chwila oczekiwania zaczęła mi się dłużyć i w końcu się rozłączyłem. Uznałem, że jeśli to ważne, to oddzwoni. Faktycznie oddzwonił i powiedział, że otrzymałem nagrodę.

Nobel to szczególna nagroda, bo jest przyznawany za odkrycia, które zostały potwierdzone eksperymentalnie. Dlatego połowa przypadła mnie, a druga połowa – fizykom eksperymentalnym, którzy znaleźli czarną dziurę. Szkoda, że nie mogłem podzielić mojej części ze Stephenem Hawkingiem, który w tym samym czasie zainteresował się tym tematem i również otrzymał przełomowe wyniki.

Co ciekawe, zajmował się Pan nie tylko kosmosem, ale pisał także o świadomości. Skąd ten pomysł?

Zacząłem się od doktoratu, na którego napisanie miałem trzy lata. Pomyślałem, że to dużo czasu, więc wybiorę się na wy-

kłady z innych dziedzin. W ten sposób trafiłem na kurs z logiki matematycznej. Tam dowiedziałem się o maszynach Turinga, które są matematycznym modelem komputerów. Idea maszyny Turinga została wykorzystana przez matematyka Alonza Churcha do wyjaśnienia, co to znaczy, że jakiś problem jest obliczalny. Według niego problemy obliczalne to te, które można sformułować tak, by maszyna Turinga (a więc także komputer) mogła podać rozwiązanie w skończonej liczbie kroków. W tym kontekście pojawia się też tzw. twierdzenie Gödla, o którym słyszałem wcześniej, ale go nie lubiłem, bo głosi, że w matematyce istnieją rzeczy, których nie można udowodnić.

Miałem intuicję, że w twierdzeniu Gödla jest coś, co umyka logikom. Miałowicie obserwacja, że rozumienie reguł daje coś więcej niż samo używanie tych reguł. Przedstawiłem na to następujący argument. Rozważmy pewien zbiór reguł: taki, że wszystko udowodnione za pomocą tych reguł jest prawdziwe. Weźmy teraz następujące zdanie, tzw. zdanie Gödla: „Nie da się mnie udowodnić za pomocą reguł z tego zbioru”. Załóżmy, że jest ono fałszywe. Wtedy musimy zaprzeczyć jego treści i dochodzimy do wniosku, ⇨

→ że da się je udowodnić za pomocą tych reguł. Ale przecież założyliśmy, że wszystko udowodnione za pomocą tych reguł jest prawdziwe, więc dotyczy to również tego zdania! Jeżeli jest więc ono prawdziwe, to nie jest dowodliwe. Ale skąd wiadomo, że to prawda?

Logika nam nie podpowie.

Właśnie to pytanie mnie zafascynowało. Odpowiedź jest taka, że wiesz, że to prawda, ponieważ rozumiesz, że zasady, które wprowadziłeś, dają ci tylko prawdę. Oznacza to, że powód, dla którego wierzysz, że zasady dają ci tylko prawdę, wykracza poza użycie zasad. Zatem twoje rozumienie reguł daje ci coś, czego samo używanie reguł ci nie daje. To była główna myśl, którą wyniosłem z tego wykładu i na niej oparłem swoją książkę „Nowy umysł cesarza”.

Ponieważ rozumienie jest jakimś aktem świadomości, rozszerzyłem swoje rozważania na nią. Wiele osób mi wtedy zarzucało, że nie wiem, czym jest rozumienie ani świadomość. To prawda, ale prawdą jest też to, że nikt tego nie wie. Z tymi pojęciami jest trochę tak jak z kolorem niebieskim. Jak zrozumieć nasze doświadczenie koloru niebieskiego? Nie wiemy, a jednak posługujemy się pojęciem koloru niebieskiego. Zresztą mój argument oparty na twierdzeniu Gödla nie wymaga wiedzy na temat tego, czym jest świadomość. Chcę jedynie powiedzieć, że świadome rozumienie przekracza to, co jest obliczalne. A więc nasz umysł nie działa w taki sposób, w jaki działają komputery.

Czy to oznacza, że nie podziela Pan obaw wielu osób, że sztuczna inteligencja przejmie kontrolę nad światem?

Po pierwsze, to bardzo zła nazwa. Przypomina mi trochę nazwę „Wielki Wybuch” wymyśloną przez Freda Hoyle’a jako żart.

Przypomnijmy: Hoyle był początkowo przeciwnikiem Wielkiego Wybuchu – i współtwórcą koncepcji wszechświata stacjonarnego.

Dlatego uznał, że koncepcja jest tak głupia, że nada jej głupią nazwę. Stąd „Wielki Wybuch”. A teraz wszyscy jej używamy! Nazwa „sztuczna inteligencja” również jest zła, bo tu nie ma prawdziwej inteligencji. I nigdy jej nie będzie – bo nie ma świadomości.

Nie, nie boję się, że sztuczna inteligencja zafascynuje światem. Musiałaby być naprawdę inteligentna – czyli świadoma. Oczywiście istnieją zagrożenia związane z jej wykorzystywaniem – np. zjawisko *deepfake*. Ale jestem rozczarowany, że wszyscy ci ludzie z ogromnym kapitałem spotykają się i rozprawiają o tym, jakie zagrożenia tkwią w sztucznej inteligencji. Są dostatecznie inteligentni, żeby zarabiać dużo pieniędzy, ale to jeszcze nie znaczy, że rozumieją, czym jest rozumienie czy świadomość.

Nadal pracuje Pan naukowo. Wśród Pana ostatnich prac są takie, które mają potwierdzić inną Pańską wielką teorię. Głosi ona, że Wielki Wybuch

nie był początkiem wszechświata, tylko początkiem naszej ery istnienia wszechświata. Wcześniej istniały jednak inne ery, być może nieskończenie wiele...

Przeglądamy się z Krzysztofem Meisnerem mapie kosmicznego promieniowania tła, które zawiera sygnał o wczesnym wszechświecie. Jeśli mam rację, to powinniśmy znaleźć na nim sygnał pochodzący z wcześniejszej ery wszechświata, bo nie wszystko zgodnie z tą koncepcją „ginie” w Wielkim Wybuchu – według teorii fale grawitacyjne czy światło mogą przejść z jednej ery wszechświata do kolejnej.

Nasze poprzednie artykuły były krytykowane, więc pracujemy nad trochę innym podejściem. Mamy szkic publikacji, ale jeszcze nie wszystko rozumiemy. Doprowadza mnie to do szaleństwa, ale Krzysztofa nawet bardziej, bo on pracuje nad projektem grantowym i zależy mu na dokończeniu tego artykułu.

Zajmował się Pan także... sztuką. Przed budynkiem Wydziału Matematyki można przejść po posadzce, na której znalazł się wynaleziony przez Pana deseń.

Kiedyś przeczytałem w czasopiśmie matematycznym, że Hao Wang i Robert Berger rozważyli pewien matematyczny problem z teorii nieobliczalności. Pokazali, że można znaleźć taki zbiór kilku tysięcy różnych płytek, które można połączyć jedynie tak, że nie stworzą powtarzającego się wzoru. Z punktu widzenia teorii obliczalności oznacza to, że nie istnieje algorytm pozwalający rozstrzygnąć, czy te płytki pokryją całą płaszczyznę, czy zostaną w niej puste przestrzenie. Mówimy zatem o problemie nieobliczalnym. Zaintygowało mnie to.

Kolejni matematycy zajęli się tym zagadnieniem i liczba płytek w zbiorze zaczęła się zmniejszać. Dołączyłem do tych prac. W pewnym momencie zszedłem do szóstego, a potem zorientowałem się, że mogę połączyć dwie płytki – i w ten sposób otrzymałem zbiór pięcioelementowy. Chciałem jeszcze ten wynik poprawić. Byłem bardzo dumny z siebie, gdy zostały mi cztery elementy. Ale w końcu znalazłem taki zbiór z zaledwie dwoma rodzajami płytek. I wtedy... poczułem rozczarowanie. Dlaczego? Bo to było zbyt proste! © Rozmawiała MARTA BIELIŃSKA

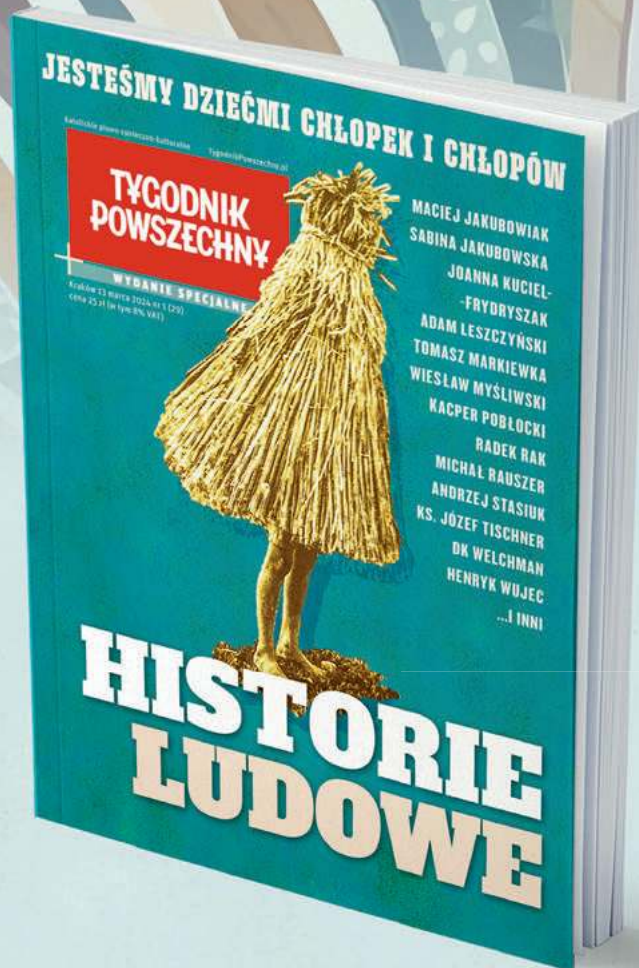
Rosemary Virginia Anna Giedroyć (née Cumpston)

wdowa po Michale Giedroyciu

urodzona 13 kwietnia 1937 roku w Hampstead w Londynie,
odeszła 17 marca 2024 roku w Oksfordzie.

Pielęgniarka w szpitalu St Mary's Paddington w Londynie,
prezeska Catholic Women's League w Hongkongu,
dziennikarka i recenzentka książek londyńskiego Catholic Herald,
jak również autorka książki „Beloved Snail: A Book of Commonplaces”
(2017). Wieloletnia patronka klasztornej muzeum w Videniškiai (Litwa).

POZOSTAWIŁA POGRĄŻONE W ŻAŁOBIE DZIECI:
MIKO, KASIE, COKY I MELANIĘ ORAZ ICH RODZINY



„Historie ludowe”, nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”, to opowieść o naszych chłopskich korzeniach. Co możemy w nich odkryć? Jak zmieniają naszą wspólnotę tu i teraz? I dlaczego dopiero dziś sobie o nich przypominamy? Na te i inne pytania spróbują odpowiedzieć **SABINA JAKUBOWSKA** i **RADEK RAK**.

Zapraszamy na dyskusję w piątek, 5 kwietnia 2024 r., o godzinie 17.00 w Muzeum Etnograficznym w Krakowie przy ul. Krakowskiej 46, którą poprowadzi **MICHAŁ OKOŃSKI**. Godzinę przed spotkaniem (czyli o 16.00) zapraszamy na oprowadzanie kuratorskie po wystawie „CZAS NAŚWIETLANIA / CZAS WYWOŁYWANIA. Fotografia etnograficzna z Małopolski na przełomie XIX i XX wieku” (bilety według cennika), gdzie znaleźć można ponad sto siedemdziesiąt fotografii wybranych z najstarszych zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Kilka z nich zamieszczamy także w „Historiach ludowych”.



MUZEUM
ETNOGRAFICZNE
W KRAKOWIE

Instytucja Kultury
Województwa
Małopolskiego



MAŁOPOLSKA

ZAPOMNIJ O SIELANKACH I CEPELII

Te historie są o nas



SABINA JAKUBOWSKA: Według wielu psychologów i terapeutów nasi przodkowie przekazują nam więcej, niż tego jesteśmy świadomi. Są w nas, bo mamy epigenetyczną pamięć ich przeżyć. Nawet nasze zdolności mogą być śladem ich obecności: jestem doułą i gdy wyszłam z pierwszego porodu, w którym towarzyszyłam, czułam, jakbym to robiła „od zawsze”.



RADEK RAK: Miałem to szczęście, że w dzieciństwie załapałem się na końcówkę tradycji ustnych opowieści. Wieczorami ludzie spotykali się w domach, przede wszystkim starsi, i opowiadali, jak to drzewiej bywało. Mówili głównie o wojnie i PRL-u, ale czasem pojawiały się również historie dawniejsze, a w nich wątek rabacji powracał nieustannie.

NOWE WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” JUŻ W SPRZEDAŻY.
Szukaj w miejscach z dobrą prasą lub zamów na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

MIŁEGO HORRORKU

URSZULA HONEK, PISARKA:

Moim największym marzeniem jest zamieszkanie na opuszczonej farmie. Żeby wokół było wiele mil pustki. Żeby latem było wściekle gorąco. Żeby noce były diabelnie ciemne. Strasznie, idealnie.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Twoja nominacja do Międzynarodowej Nagrody Bookera – to po prostu musiało się udać.

URSZULA HONEK: Nasza historia przypomina trochę partyzanckie początki wydawnictwa Czarne z lat 90. Kasia Zmarzły i jej partner, Ricardo Torres, marząc o założeniu własnej oficyny długo przyglądali się temu, co dzieje się na polskim rynku. W katalogu Instytutu Książki natknęli się na przełożony przez Kate Webster fragment jednego z moich opowiadań. Byłam jedną z niewielu autorek w tym katalogu, a Ricardo i Kasia postanowili, że będą wydawać wyłącznie książki napisane i tłumaczone przez kobiety. Zaintrygowana kawałkiem „Dzwoneczka” Kasia przeczytała „Białe noce” w całości i napisali razem z Ricardem do Czarnego – tak się poznaliśmy.

Wszyscy jesteście w tej historii debiutantami.

„Białe noce” to mój debiut prozatorski. Angielski przekład „White Nights” to pierwsza pozycja w katalogu MTO Press, a Kate Webster tłumaczyła wcześniej tylko debiutancką książkę Basi Sadurskiej.

Wiedziałam, że „Białe noce” nie będą miały szerokiej promocji ani dystrybucji, ponieważ wszystko – łącznie z moim pobytem w Anglii podczas premiery – finansowane było z prywatnych środków wydawcy, który nie miał doświadczenia w branży. Śmiałyśmy się, że Ricardo będzie chował drukowane przez siebie książki w domu po szafach i wersalkach, bo przecież nie ma magazynu. Naprawdę mieli z Kasią odwagę, by postawić w życiu wszystko na jedną kartę.

Poza tym oni mają taki szalony plan, by część zysków ze sprzedaży każdego tytułu przeznaczać na cel charytatywny wybrany wspólnie z autorką – w przypadku „White Nights” jest to organizująca pomoc dla uchodźców Fundacja Ocalenie.

Podczas trasy promocyjnej woziliście ze sobą „Białe noce” pociągami, w walizce.

I mieszkaliśmy razem, we trójkę. Na początku Ricardo sam jeździł z moją książką do małych, niezależnych księgarni, bo nie mieliśmy dystrybutora. Po prostu pisał do ludzi z pytaniem, czy może im wysłać moje opowiadania.

Zresztą nie wszystkie egzemplarze trafiły do sprzedaży – pierwsza wersja nie wydrukowała się najlepiej, tusz się źle rozlał. Kiedy dostaliśmy książkę do rąk, wszyscy mówili: „o, jaki piękny papier, tylko jakiś taki sztywny”...

Ktoś się pomylił, ktoś inny nie zrobił czegoś na czas, coś trzeba było zmienić. Wszystko na wariackich papierach.

A jak Wam było w tych małych księgarniach w Brighton, Glasgow i Oksfordzie, gdzie miałaś wieczory autorskie?

W Oksfordzie okazało się, że wszyscy bez wyjątku zajmują się Zbigniewem Herbertem. A poważnie – bałam się, że moja książka poza granicami kraju nie będzie zrozumiała. Tutaj wiele mówiło się o tym, że „ona jest taka polska”, że „znowu książka o polskiej wsi”. Ale podczas spotkań z tamtejszymi czytelnikami i czytelniczkami dotarło do mnie, że ludzie doskonale wyłapują w niej te uniwersalne rzeczy. Czują, że to jest opowieść o samotności, odrzuceniu, pustce i pustych terenach wokół nas.

JACEK TARAN

URSZULA HONEK

jest poetką i pisarką, autorką „Tygodnika Powszechnego”. Za debiutancki zbiór opowiadań „Białe noce” nominowana do wielu polskich i zagranicznych wyróżnień. Otrzymała Nagrodę Conrada oraz Nagrodę im. Kościelskich. Kilka tygodni temu angielski przekład jej prozy, autorstwa Kate Webster, znalazł się na liście tytułów nominowanych do Międzynarodowej Nagrody Bookera, najważniejszego wyróżnienia dla książek tłumaczonych na język angielski (jej laureatami byli m.in. Alice Munro, Philip Roth i Olga Tokarczuk). W kwietniu ukaże się jej najnowszy tom poetycki „Poltergeist”.



→ Każdy kogoś stracił, przeżył jakąś tragedię – gdziekolwiek mieszkamy, skądkolwiek pochodzimy, znamy takie historie jak te z „Białych nocy”. I to mnie uspokoiło, bo zależy mi, żeby książka docierała do różnych czytelników.

Pierwszy raz poleciałaś tamtej jesieni sama za granicę.

Tak, to była pod wieloma względami przygoda życia. I wiesz, okazało się, że bardzo lubię latać samolotem.

Nic a nic się nie boisz?

Przeciwnie, kiedy jestem w powietrzu, ustępują wszystkie moje lęki, także ten przed śmiercią. To zresztą chyba w ogóle jedyna sytuacja, w której absolutnie nie boję się śmierci. Na co dzień myślę o niej bardzo dużo, natomiast kiedy z pokładu samolotu patrzę w dół, wszystko wydaje się tak małe i mało ważne, że mogłabym żyć w ten sposób, pozbawiona ciężaru odpowiedzialności.

A z drugiej strony, gdybym miała sobie wymarzyć jakąś śmierć, bardzo bym chciała zginąć w katastrofie lotniczej. Oczywiście pod warunkiem, że byłabym na pokładzie sama.

A jak Ci się podobały – już po udanym lądowaniu – angielskie i szkockie krajobrazy?

Wiesz, przejeżdżaliśmy pociągiem przez Szkocję, a ja siedziałam i patrzyłam przez okno jak dziecko: nie odrywałam nosa od szyby. Wyobrażałam sobie, że chodzę z psem po tych pustych zielonych górkach, że gdzieś tam sobie wśród nich wynajmuję domek, wprowadzam do niego na pół roku i piszę. Urzekła mnie tamtejsza intensywna, nasycona zielen, chyba jeszcze takiej nie widziałam.

Co z tego w Tobie zostało?

Teraz, po podróży, moim największym marzeniem jest zamieszkanie na takiej opuszczonej farmie w Szkocji albo w Stanach: żeby wokół było wiele, wiele mil pustki. Żeby latem było wściekle gorąco. Żeby noce były diabelnie ciemne. Strasznie, idealnie.

Czekaj, ma być zielono i mokro jak w Szkocji czy piaskowo i pustynnie jak w Teksasie albo Nevadzie?

Właściwie to wszystko jedno. Jest taki horror Bryana Brentino „Szept i mrok”,

Bardzo lubię przekraczać granicę, za którą strach odczuwa się fizycznie.

Kiedy mam gęsią skórę, albo kiedy nie mogę się ruszyć, boję się wstać, żeby przejść do innego pokoju.

którego akcja rozgrywa się na teksańskiej farmie... Matko Boska, najbardziej przerażający film, jaki widziałam w ostatnich latach... Więc ja sobie wyobrażam, że siedzę na takiej właśnie farmie i piszę powieść albo zbiór opowiadań z elementami grozy.

Marzysz, by mieszkać w najbardziej przerażającym miejscu, jakie widziałaś. Tak bardzo lubisz się bać?

Uwielbiam. Od czwartego roku życia regularnie oglądam horrory. Mojego wujka, który miał w latach 90. mnóstwo kaset wideo, jako mała dziewczynka błagałam, żeby „przyniósł mi jakiś horrorrek”. A jak nie miałam VHS-ów, siedziałam po nocach przed telewizorem i wycokeiwałam. Przeglądałam „Tele Tydzień”, sprawdzając, o której godzinie będzie leciał jakiś straszny film. Jeżeli tata akurat w tym pokoju spał, oglądałam bardzo cichutko, żeby go nie obudzić.

Co daje strach?

Wydaje mi się, że najpełniej pobudza wyobraźnię. Bojąc się, intensywnie przeżywam emocje. Być może strach w ogóle pozwala mi przeżywać emocje? Może w codziennym życiu jakoś się blokuję, a strach mnie otwiera?

Nigdy nie zasłaniasz oczu?

Wręcz przeciwnie. Lubię przekraczać tę granicę, za którą strach odczuwa się fizycznie. Kiedy mam gęsią skórę na przykład. Albo kiedy nie mogę się ruszyć, boję się wstać, żeby przejść do innego pokoju.

Pisząc ostatnią książkę poetycką siedziałam sama w mieszkaniu, nie spałam po nocach i oglądałam horrory, żeby głęboko poczuć ciemność, ciszę, pustkę. Wyostrezyłam zmysły. Czułam się jak po narkotykach.

Jakie horrory są najlepsze?

O duchach i nawiedzonych domach. Lubię sobie wyobrażać, że ktoś może wrócić z zaświatów, żeby się nam objawić. Od czasu do czasu śni mi się też, że jestem opętana – to chyba moje najpiękniejsze sny.

No dobrze, powiedzmy, że wierzę, ale teraz to jest opinia wygłaszana na jawie, już z dystansu.

Oczywiście, budzę się zrana potem, ale wolałabym żyć we śnie, niż pamiętać z nich tylko trochę. Po tamtej stronie jest wszystko. I ty możesz być wszystkim. Możesz być opętana. Możesz spotykać ludzi, których nigdy nie spotkasz. Albo tych, których już nie ma.

Nie masz także kontroli nad niczym.

Wszystko może się zmienić w ułamku chwili, odwrócić się, zniknąć. Nic nie jest tym, czym się wydaje.

Czy to nie wspaniała przygoda? Wiesz, ja jestem po długiej, wieloletniej, intensywnej pracy nad sobą. Myślę, że pisanie też w jakimś sensie mi w tej pracy pomaga. Po wydaniu pierwszych tomików byłam bardzo onieśmielona, nie dało się ze mną porozmawiać o tym, co napisałam. Z każdym wierszem biegałam do męża i pytałam, czy jest dobry. A potem zaczęłam przychodzić do niego coraz rzadziej, albo przynosić większe partie tekstu: trzy wiersze, pięć, pół książki. Ostatnią książkę pokazałam mu już w zasadzie dopiero w całości.

Zacząłam sobie bardziej ufać. Pomyślałam, że muszę nauczyć się sama weryfikować, czy napisałam dobry czy zły wiersz.

I kiedy wiesz, że wiersz jest dobry?

Kiedy go przeczytam na głos i on brzmi. Czuję to od razu, po prostu wiem.

Co to znaczy, że wiersz brzmi?

To dość intuicyjne: każde słowo musi być na swoim miejscu, nie ma przestrzeni na pomyłki. Wiersz musi mieć jakąś tajemnicę, zostawiać pole dla tego, kto czyta.

A jak i gdzie się pisze wiersze?

Książkę, która ukaże się w kwietniu, napisałam w zupełnie inny sposób niż dotychczas: w telefonie. Kładłam się do łóżka, zakrywałam kołdrą, poduszką i klepałam w ekran. Żeby nie budzić męża. A potem latem, podczas samotnych wakacji w Wyszowatce na Podkarpaciu. Podobnie.

Samotne wakacje to był czas odosobnienia?

Zupełnego, byłam tam z trzy miesiące z przerwami, tylko z moją suczką Iwką. Oglądając horrory bardzo intensywnie myślałam o tym, co piszę i o osobie, o której piszę.

Pisałaś o zmarłej przyjaciółce, Urszuli Tes – filmoznawczyni, wykładowczyni. To jej dedykujesz tom „Poltergeist”, który ukaże się niebawem.

To była niespodziewana śmierć. Ula była bardzo młodą osobą, zaledwie dziesięć lat starszą ode mnie. Zmarła w czasie, gdy ukazały się „Białe noce”.

Przez pierwsze dwa, trzy tygodnie odczuwałam brak Uli bardzo fizycznie, nie mogłam się ruszyć, chodzić, wydawało mi się, że mdleję. Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłam. Ale po tym czasie lamentu, płaczu i niedowierzania, gdy zaczęło się dużo dziać wokół książki, wiedziałam, że muszę się jakoś pozbierać, żeby to wszystko przetrwać. I tę odwleczoną żałobę przeżyłam dopiero podczas wakacji w Wyszowatce.

Nie wierzę w życie pozagrobowe, ale z drugiej strony, popatrz, jestem w stanie sobie pomyśleć, że ktoś mi się objawia, że widzę kogoś, kto zmarł. Chciałam wręcz wymusić na rzeczywistości, żeby Ula mi odpowiedziała, przysłała do mnie jakiegoś ducha. Większość horrorów o duchach jest przecież tak naprawdę o żałobie. Pragnienie widzenia kogoś, kogo nie ma, bierze się z tęsknoty po stracie.

„Poltergeist” relacjonuje cały proces żałoby – zaraz po otrzymaniu pierwszej wiadomości o śmierci emocje nabrzmiewają, zmieniają się razem z kolejnymi fazami Księżyca oznaczonymi na marginesach wierszy. One są dla mnie w tej książce symbolem fizycznego odczuwania płynącego czasu.

Rzeczywiście, mam poczucie, że te wiersze odbiły się na moim ciele. Ostatni cykl, tych sprozaizowanych wierszy, powstawał wręcz w jakimś transie. Nie spałam, nie jadłam. Przychudłam.

Pierwszy idzie tak: „Nie spać po nocach, oglądać horrory, robić herbaty: czarną, malinową, oolong. Prosić o zwiększenie dawki leku,



■ ZIMOWANIE

WBPIKAK,
2021
Dom, który
wraca w snach.
Bliscy, którzy
niebawem
odejdą.
Rozgrzany
asfalt,
zamulony staw

i zarastający powoli cmentarzyk
w porzeczkowym ogródku. Album
rodzinnych i sąsiedzkich zdjęć
albo pamiętnik z dzieciństwa
spędzanego w domu babci,
słuchającej przedwojennych piosenek
o miłości. Na okładce obraz „Śliwy”
Karola Palczaka.



■ BIAŁE NOCE

Czarne,
2022
Drugie
spotkanie
z bohaterami
„Zimowania”,
tym razem
w rozszerzonej,
narracyjnej
formie. Czuła
opowieść

o samotności, odrzuceniu i śmierci
rozsnuta na tle beskidzkiej wsi.
Autorką okładki jest artystka wizualna
Alicja Biała – jej prace ilustrowały
m.in. wiersze Marcina Świetlickiego.



■ POLTERGEIST

Warstwy,
2024
Dziennik żałoby
po utracie
najbliższej
przyjaciółki
– pisany
w samotności
i transie,
w obecności
duchów i zjaw,

na tle lecących w telewizji horrorów.
Catość dopełnia księżycowy kalendarz,
silnie wpływający na fizyczne doznania
opowiadającej historii kobiety. Autorką
okładki oraz ilustracji wewnątrz tomiku
jest nominowana do Nagrody Literackiej
Nike poetka i graficzka Kira Pietrek.

©© MOCH

mieć nieregularne miesiączki.
(...) Patrząc na księżyc (dziś był
jak z kolorowanki dla dzieci;
przypominał mały kruchy rogalik).
Albo patrząc w czarną noc na wsi.
Przebudzać się, gdy sąsiadka
wyprowadza o świcie krowy z obory
i woła je po imieniu”.

Tak dokładnie było: budzisz się i zasypiasz sama. Jest ciemno. Nie ma nikogo bliskiego obok oprócz psa. Chodzisz sama dzień, noc, dzień, noc.

Odciełam się od wszystkiego i byłam właściwie wyłącznie w obecności zmarłej. Wzięłam ze sobą rzeczy, które kojały mi się z Ulą. Odprawiłam sobie taki rytuał pożegnania, bardzo intensywnego pożegnania, po którym przyszła łagodność i niebo się przejaśniło.

„Zbudzić się nad ranem. Po raz pierwszy, od wielu miesięcy, cieszyć się, że jasno.”

Widzisz, ja chyba muszę coś tak bardzo intensywnie przeżyć, żeby to się we mnie jakoś zasklepiło. Żeby odpuścić, pożegnać się.

Zawsze tak było?

Byłam bardzo cichym dzieckiem, długo bawiłam się lalkami, stwarzałam sobie alternatywny świat. Dorośli się nawet dziwili, że jestem już taka duża, chodzę do szkoły, a ciągle gadam do lalek. A dla mnie to było jak film, fikcja, ucieczka. Zresztą jak mam bardzo stresujące momenty w życiu, albo takie bardzo nieszczęśliwe, to w ogóle dużo oglądałam, maniakalnie: wiele godzin, aż do znużenia, mdłości.

I tak, jako dziecko wywoływałam już duchy, próbowałam też naciągać inne dzieci, żeby mi w tych ceremoniach towarzyszyły albo proponowałam, że będziemy sobie wspólnie opowiadać straszne historie. Siadaliśmy wszyscy razem na schodach w domu i każdy musiał opowiedzieć swoją.

Jakie były Twoje?

Pewnie zmyślone na podstawie tego, co zobaczyłam w horrorze. Ale babcia opowiadała mi o swoim zmarłym mężu, czyli moim dziadku, którego nigdy nie poznałam. Ona bardzo wcześniej, niedługo po czterdziestce, owdowiała i potem już nigdy nie wyszła za mąż, mieszkła tylko z pieskami. Opowiadała mi też o wojnie, o tym, jak uciekała gdzieś konno, →

→ na wozach. O tym, jak słyszała wystrzały, jak strasznie się bała.

Po śmierci babci mieszkał w jej domu wujek, któremu też się jakoś życie nie ułożyło. Więc ten dom w Bieczu, który po nich odziedziczyłam, jest naznaczony samotnością. Zresztą już jako dziewczynka spędzałam dużo czasu w domu babci i często sama tam tęskniłam – za mamą. Pewnie dlatego, że nikt nigdy mi nie mówił, na ile do Biecza przyjechałam. A jeżeli nawet mówił, to byłam zbyt młoda i nie pamiętałam. Może byłam tydzień, a wydaje mi się, że trwało to rok.

Druga babcia ciągle wspominała pożar, w którym zginęły jej mała siostrzyczka i kuzynka. Absolutnie wierzyłam w to, że babcia widuje swoją siostrzyczkę, że Eleonorka po prostu przechadza się po pokoju, kiedy my w nim jesteśmy.

O Eleonorze, której „najpierw zapaliły się włosy”, napisałaś wiersz do tomu „Zimowanie”. „Łuna ognia rozświetliła całą dolinę”. Opowiedz jeszcze o tej babci z Biecza.

Miała w sobie ciemną energię. Była chyba po prostu bardzo samotna. Czasem leżałyśmy razem w łóżku i nieustannie albo się modliła, albo opowiadała o śmierci. To leciało tak na przemian: modlitwa i śmierć, modlitwa i śmierć, modlitwa i śmierć. A potem oglądanie seriali. Ciemności. W okolicy nie było żadnych innych dzieci. Ale ta babcia bardzo mnie kochała: przygotowywała smakołyki, pyszne obiady, piekła ciasta. Jej dom był zawsze czysty i pachnący. Pamiętam, że budziłam się rano i słyszałam jej krzątanie, wstawiała wcześniej, żeby wszystko było gotowe na czas. W ten sposób okazywała uczucia.

Budząc się tam, oglądałam plamy światła na podłodze i nasłuchiwałam radia, którego ona słuchała.

Niedługo zamieszkacie w tym domu.

Nie mogę się doczekać, aż wszystko będzie gotowe. Usiądę przed oknem, zapadnie pierwszy zmrok. Jestem ciekawa, co nam się przydarzy. Wiesz, ja zawsze bardzo chciałam, by istniał ten świat, o którym opowiadała babcia: duchów i zjaw.

Gdyby taki świat istniał, to co?

To byłabym upiorem.

© Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

Gdyby, gdyby, gdyby

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Proza autobiograficzna nie musi być koncertem życzeń dla narcyzów. Tym bardziej że Brigitte Giraud wciąż zachowuje dystans wobec literackiego parnasu.

DZIESIĘCIOOSOBOWA KAPITUŁA Nagrody Goncourtów obradująca 3 listopada 2022 r. w paryskiej restauracji „Chez Drouant” długo nie mogła podjąć decyzji. Po 14 rundach głosowania, zgodnie ze statutem nagrody głos prezydenta Akademii Goncourtów został policzony podwójnie i w końcu rozstrzygnięty.

Przed przyznaniem laurów „Życ szybko” Brigitte Giraud sprzedało się w ledwie kilku tysiącach egzemplarzy. Choć z zasady jury nie ogląda się na sprzedaż, to sama nagroda powinna ją napędzać.

W przypadku Giraud efekt Goncourtów był umiarkowany, a przyczyny tego, że „Życ szybko” rozeszło się w ciągu roku od nagrody w niespełna 300 tys. egzemplarzy, było przedmiotem analizy francuskich księgarzy i ekspertów od rynku książki. Innym powieściom nagrodzonym w ostatnich latach słupki sprzedaży rosły szybciej i wyżej. Czy zawiñł koniec pandemicznych obostrzeń, które sprzyjały czytaniu książek, czy raczej to, że laureatką była kobieta, która nie pisze o wielkiej historii ani o polityce? A może chodzi o samą powieść?

„Jestem wściekły, ponieważ popełniłśmy poważny błąd. »Mag z Kremla« [rywał »Życ szybko« w finale nagrody, napisany przez Giuliana da Empoli – przyp. red.] to wielka książka, która rzuca światło na naszą epokę. A tu skończyło się na książce, która nie jest zła (...), ale to mała książka, niemająca nic z pisarstwa” – mówił wzburzony Tahar Ben Jelloun, jeden z członków Akademii Goncourtów, zaraz po ogłoszeniu nazwiska laureatki.

Ta spontanicznie wypowiedziana opinia jest dla wydanego właśnie po polsku „Życ szybko” niesprawiedliwa, ale zawiera odrobinę prawdy. Powieść Giraud nie jest epickim świadectwem czasów, tożsamościowym manifestem ani eks-

perymentem formalnym. Ale czy każda warta lektury powieść musi mieć epokowy ciężar? Czy sztuką nie jest umiejętność pisania o zwyczajnych życiach tak, jakby były najważniejszymi pod słońcem?

Upiorne dłaczego

Gdyby „Życ szybko” miało być historią z morałem, można by poprowadzić ją mniej więcej tak: para z dzieckiem kupuje dom marzeń. Żona wyjeżdża na jedną noc. Rano 41-letni mąż bierze w tajemnicy motor wyścigowy, który szwagier zostawił na przechowanie. Kiedy wraca z pracy, traci nad nim panowanie. Umiera. Żona zostaje wdową, a syn pólsterotą w domu ze snu.

Giraud wybiera inną drogę, opowiadając o najtrudniejszym momencie życia – nie miała 40 lat, kiedy jej mąż Claude zginął w wypadku motocyklowym. Na pierwszy rzut oka Francuzka podsuwa nam powieść autoterapeutyczną. Zapowiada to motto zaczerpnięte z Patricka Autréaux, pisarza i psychiatry: „Pisać to dać się zaprowadzić tam, gdzie wolelibyśmy nie zaglądać”. Dziś pisanie dziennika żałoby bywa przydzielonym przez terapeutę zadaniem domowym, a wielu pisarzy czyni z najintymniejszych stanów ducha i ciała materiał do wystawionej na sprzedaż wiwisekcji (nazywanej dla niepoznaki modną w humanistyce autoetnografią). Dlatego tak trudno chwycić czytelników za gardła, nie porzucając przy tym języka literatury, który nie trawi emocji, ale czyni z nich tworzywo fikcji.

Jednak pisarka nie epatuje szczegółami odchodzenia ani nie uprawia zapasów z samą sobą z tamtych lat. Pamięta, że w ostatnich dniach Claude czytał eseje krytyka rocka Lestera Bangsa. Tam musiał natknąć się na słowa Lou Reeda, uważane niegdyś za dewizę Jamesa Deana



JULIEN DE ROSA / AFP / EAST NEWS

Brigitte Giraud, Paryż, październik 2022 r.

– „Życ szybko, zginąć młodo”. A jednak Giraud tytułem swojej opowieści czyni tylko pierwszą część sławetnego zdania. Jej narracja staje po stronie życia, które wcale nie było szybkie ani szalone. Narratorka i jej mąż zmagali się raczej z pragnieniem przyspieszenia, co rusz hamowanym i odraczanym. W książce odtwarza z czułością pozbawioną egzaltacji drobne szczegóły ich codziennej rutyny i niewielkie odstępstwa, które z perspektywy nieubłaganego czasu stały się baterią znaków przepowiadających katastrofę.

„Życ szybko” stanowi zapis tego, jak działa pamięć człowieka gwałtownie osamotnionego. Nie chce się pogodzić z tym, że los bywa ślepy, ale podejrzewa, że celowo sobie zakpił. Domaga się wyjaśnienia, podania racjonalnej przyczyny i powiązania ze sobą końców niepasujących do siebie sznurków. Kierująca się racjo-

nalizmem pamięć narratorki rekonstruuje z na pozór niewinnych wspomnień serię niefortunnnych zdarzeń prowadzących do tragedii. Wymieniająca je litania, która służy za kręgosłup książki, zapętla wydarzenia bliskie z tymi rozgrywającymi się na dalekim planie poza jakąkolwiek kontrolą protagonistów. „Gdybym nie chciała sprzedać mieszkania. Gdybym się nie uparła, żeby obejrzeć ten dom. Gdyby mój dziadek nie popełnił samobójstwa w momencie, kiedy potrzebowaliśmy pieniędzy (...) Gdybym nie przesunęła wizyty u wydawcy w Paryżu. Gdybym zadzwoniła do Claude’a 21 czerwca wieczorem, co powinnam była zrobić, zamiast słuchać opowieści o nowym romansie Hélène (...) Gdyby Claude przed wyjściem z pracy słuchał »Don’t Panic« Coldplay, a nie »Dirge« Death in Vegas...”. A może gdyby 19 czerwca Stephen King,

jeden z ulubionych pisarzy Claude’a, poniósł śmierć w wypadku drogowym, to trzy dni później tysiące kilometrów na wschód 41-letni Francuz nie wsiadłby na wyścigowy motor szwagra?

„Życ szybko” skomponowane jest z węzłków łączących pozornie osobne epizody w kod poczucia winy, który może się kojarzyć z goszczącym w kinach filmem „Anatomia upadku” Justine Triet. U Giraud widzimy jeszcze szczęśliwą parę, która wraz z kilkuletnim synem wkracza w nowy etap. Ona jest na początku kariery pisarskiej, on, godząc się na udomowienie, próbuje ocalić resztki swojej niepokornej natury. „Claude, człowiek elegancki, wyrefinowany, powściągliwy i skromny, ma też inną twarz, swoją stronę B. Za którą też go kochałam” – pisze narratorka, zatracając się w poczuciu winy, że to jej ambicje, uległość wobec krewnych i minimalne niedopatrzienia doprowadziły do tragedii. Ale gdyby do niej nie doszło, czy dziesięć lat później para nie upodobniłaby się do tej z „Anatomii upadku”? Ona zbierałaby pochwały za powieści i opowiadania, on usiłowałby utrzymać pozycję na karzącym rynku krytyki muzycznej. W momentach złości wypominałaby mu, jak przed laty rozbił motor szwagra i nie mógł go spłacić. I „Życ szybko”, i „Anatomia upadku” są częściami opowieści o tym, że szczęście to przemijający stan umysłu, nie do zatrzymania.

Melodia dla dewelopera

W ojczyźnie Pierre’a Bourdieu i Loïca Waquanta nawet subtelny literacko tekst musi mieć socjologiczne drugie dno. Opowieść Giraud przenosi nas nie tylko do szczęśliwego 1999 r., kiedy Francja przechodziła z franka na euro, nie nastąpił jeszcze 11 września ani kryzys gospodarczy w UE, a telefony komórkowe mieli wciąż nieliczni pierwsi ich niewolnicy.

Brigitte Giraud ma chłopskie korzenie, urodziła się w Sidi Bu-l-Abbas pod Oranem, ale dzieciństwo spędziła już we Francji, w małej miejscowości pod Lyonem, dokąd przeniosła się w późniejszych latach. Podobnie rodzina jej męża emigrowała z walczącej Algierii, kiedy Claude miał cztery lata. Poznali się młodo, kiedy pieniądze i klasa nie wydawały się mieć większego znaczenia. Jednak kilka lat po narodzinach syna spanie na antresoli zaczęło ich uwierać. Zapragnęli „podskoczyć o oczko na skali fajności”.



→ Ona pragnęła lokalowego awansu bardziej. To ona wynalazła zapuszczony dom z duszą, zasiała we właścicielach myśl o sprzedaży i organizowała środki i zasoby, żeby kupić to, co wymarzyła. Obok domu był ogród, w którym uprawiała by ekologiczne warzywa, a po zakupy jeździła rowerem. Pragnęła stać się wyluzowaną czterdziestolatką, kimś, kogo dziś z ironią nazywa się „bobo” – *bourgeois-bohème* – mieszczką udającą, że żyje z artystowską swobodą. Po dwóch dekadach podpisze akt kapitulacji, umowę sprzedaży domu, w miejsce którego deweloper postawi apartamentowiec.

„Życ szybko” to także wstawać, myć się i marzyć w rytm melodii tamtych lat. Główni bohaterowie zakochali się przy The Clash i Joy Division, w pierwszym mieszkaniu słuchali Nirvany i Dominique’a A, w kolejnym Oasis, Blur i Coldplay. Ich przewodnikami po świecie dźwięku byli krytycy rocka, ostatnie franki wydawało się w półmroku sklepów muzycznych, a po wypłacie zamawiała płyty idące tygodniami ze Stanów i Wielkiej Brytanii. Dla Claude’a muzyka była substytutem wolności, w jakiejś mierze utraconej po założeniu rodziny. Kierował lyońską płytoteką (tak, wtedy wypożyczało się płyty z działu muzycznego biblioteki) i recenzował albumy dla „Le Monde”. A dwa razy w tygodniu pędził po pracy, żeby odebrać syna ze szkoły. Był pierwszym pokoleniem „nowych ojców”, którzy z ochotą dzielą obowiązki opiekuńcze. I zwykle za późno wychodzą z pracy, bo jeszcze to, bo jeszcze tamto.

Z dystansem

Giraud wciąż zachowuje dystans wobec literackiego parnasu. Mimo że mieszka w Lyonie, trzecim mieście Francji, aluzyjnie używa etykiety pisarki prowincjonalnej, petentki nieśmiało pukającej do bram paryskiego sezonu literackiego. Latami miała się różnych zajęć, z których większość miała coś wspólnego z literaturą: była księgarką, dziennikarką, redaktorką, organizatorką życia kulturalnego, ale nie pisarką na pełen etat. Z wielkich nazwisk najbliższej jej do Annie Ernaux, która nawet po Noblu pozostała outsiderką. Giraud pisze jednak stylem mniej chłodnym, bardziej bezpośrednim i prostszym, a historie, które opowiada, są przez to łatwiejsze do przełknięcia. „Życ szybko” jest jej piętnastą książką.

Giraud latami miała się różnych zajęć, które zwykle miały coś wspólnego z literaturą: była księgarką, dziennikarką, redaktorką, organizatorką życia kulturalnego, ale nigdy
pisarką na pełen etat.

Doceniono ją jako kronikarkę spraw bliskich dnia codziennego. Począwszy od debiutu, „La Chambre des parents” (Pokój rodziców, 1997), często pisze o rodzinie. W drugiej powieści, „Nico” (1999), w sprawie której była w Paryżu w feralny dzień wypadku męża, analizuje relacje rodzeństwa wobec siebie, trudnych rodziców i nieuchronnego dorastania. Także w następnych utworach pozostaje wierna motywowi trwałych więzi i przelotnych znajomości, wyznaczających tor zwyczajnego szaleństwa, w które popadają nieprzesadnie przebojowi ludzie.

Znakiem rozpoznawczym jej postaci jest doświadczenie imigranckie i postkolonialne, życie w rzeczywistości przedmieść i robotniczych dzielnic. Wprost o wojnie w Algierii pisze w „Un loup pour l’homme” (Człowiekowi wilkiem, 2017), ale czyni to poprzez pryzmat intymnej historii kilkorga młodych ludzi. Problemy, wątki, konstrukcja postaci i ich emocje powracają w kolejnych powieściach, z czego niektórzy krytycy czynią jej zarzut. Kłasykiem dziennikarstwa żałoby, który można czytać w parze z „Życ szybko”, jest autofikcja „À présent” (Obecnie, 2001), rekonstruująca zmagania autorki z psychiką i codziennością po tragicznej śmierci męża. W „Marée noire” (Plama ropy, 2004) wraca do tematu życia po śmierci partnera i pyta o możliwość stworzenia nowej rodziny przez ludzi dotkniętych stratą. A w powieści „Avoir un corps” (Mieć ciało, 2013) uważni czytelnicy wypatrzą Claude’a.

Małe grzeszki

W swojej najgłośniejszej powieści Giraud tworzy przywrotną mitologię, która przenika się z symbolami społeczeństwa i klasy. To mitologia drobnych przysług,

niewielkich ustępstw, niewidzialnego zaginania czasoprzestrzeni. Wcześniej – przekazanie kluczy przez notariusza, znajomego znajomych, rodzi pytanie, czy małe nagięcie przepisów zawsze uchodzi na sucho. Użyczenie bratu garażu, gdzie postawił motor, który „zabił” Claude’a, uruchamia pytanie, czy zawsze trzeba się dzielić. Albo czy chwalenie się własnym szczęściem wymusza, żeby coś skapnęło innym? Kiedy kontrolowanie poczynąń ukochanych osób jest wyrazem troski o nich, a kiedy łechtaniem własnego ego? Kiedy można sobie odpuścić te małe przewinienia?

Prawdziwa zagadka tkwi w zmarłym. „Co go naszło, żeby 22 czerwca rano pojechać do pracy na motorze mojego brata zamiast na własnym nieszkodliwym suzuki, którym jeździł, jak mówił, powołusku, i który stał w garażu naprzeciwko podstawówki?” – pyta narratorka. Zew przygody, deficyt adrenaliny, kryzys wieku średniego? Fakt, że los z niego zakpił. Motor, który kupił brat pisarki, był modelem przeznaczonym na tory wyścigowe. Honda CBR 900 została w Japonii zakazana w ruchu miejskim. Francja nie widziała przeszkód, by wprowadzić ją na rynek. Dostała homologację, by panowie z odpowiednim budżetem mogli udawać, że są najfajniejsi w dzielnicy. Pięć lat po wypadku Claude’a została wycofana ze sprzedaży.

„Co sprawia, że przykładny przedstawiciel klasy średniej z kredytem i rodziną w jednej chwili przeistacza się w punka, gotowego wszystko rozwalić, wszystko zniszczyć?” – w to pytanie wkłada się gniew. Po latach nie wszystko udaje się odtworzyć. Co tak naprawdę się traci, nie wiedząc, jakiej piosenki utracona osoba słuchała jako ostatniej i czy po drodze do szkoły syna zrobiła przystanek przy banku? Męża? Czy pamiętać o nim? „Odwlekam moment, w którym zatrzymam podróż Claude’a i zmienię światło przed muzeum na czerwone” – pisze Giraud. A ja w tym momencie odkładam na chwilę książkę, żeby światło nie zmieniło się, nim zdążę odpuścić bohaterom ich małe grzeszki, które wcale nie należą tylko do nich.

© MAGDALENA

NOWICKA-FRANCZAK



Brigitte Giraud
ŻYC SZYBKO
przełożyła Dorota Malina,
W.A.B., Warszawa 2024



MATERIAŁ PRASOWY AMAZONE

Mads Mikkelsen w filmie „Bękart”, reż. Nikolaj Arcel, 2013 r.

Ta twarz brzmi złowrogo

ANITA PIOTROWSKA

Ma prawie 60 lat, jeszcze więcej tytułów na koncie i niemal tyle samo nagród, ale co jakiś czas któryś z reżyserów odkrywa jego nieznany dotąd potencjał.

TRUDNO ROZPOCZĄĆ SZKICOWANIE TEGO portretu od innej, równie reprezentatywnej sceny. Oto po tragicznej śmierci kumpla trójka nauczycieli, których w kryzysie wieku średniego wyraźnie przerosły eksperymenty z alkoholem, idzie do portowej knajpki i przyłącza się do zabawy z udziałem szkolnej młodzieży. Widzimy, że jednego z głównych bohaterów wyraźnie coś gryzie, coś w sobie próbuje przewalczyć, ale po kolejnym drinku, przy piosence „What a Life” zespołu Scarlet Pleasure, rzuca się w ekstazy tancerz. Zakończony straceńczym skokiem do wody.

Film „Na rauszu” (2020) zamyka taka właśnie, zatrzymana w powietrzu stopklatka, która doczekała się wielu interpretacji, również krytycznych. Te ostatnie krążyły wokół pytania, czy dramat Thomasa Vinterberga, traktujący przecież o poważnym uzależnieniu, nie jest w finale nazbyt beztroski. Najlepiej podsumowuje go w wywiadach sam Mads Mikkelsen: że połowa jego bohatera chciałaby pofrunąć, a połowa utonąć.

Nie byłaby to jednak scena aż tak mocna i wieloznaczna, porównywana do analogicznej z „Greka Zorby”, gdyby nie choreografia – na poły pijacka, na poły wręcz akrobatyczna, godna zawodowego tancerza, jakim odtwórca postaci Martina był przed laty. Z pewnością zaśaskoczyła tych, którzy sądzili, że duński aktor to przede wszystkim charakterystyczna twarz.

Duńskie talenty

Dziś uchodzi za jedną z najbardziej rozpoznawalnych i zarazem najbardziej prominentnych gwiazd kina. Trudno znaleźć innego aktora z Europy, w dodatku nieanglojęzycznej, który byłby tak rozchwytywany za oceanem, i to w najbardziej kasowych produkcjach, zaliczając uniwersum Bonda, Marvela i „Gwiezdných wojen”. Równolegle zaś będąc twarzą wyrafinowanego kina spod znaku głębokiej psychologii czy kostiumowej intrygi.

Faktem jest, że najchętniej zalicza się go do kategorii „twarzowców” – jakby to intrygująca fizjonomia była w jego przy-

padku głównym wyznacznikiem aktorskiego fenomenu. W sieci znaleźć można poważne badania antropometryczne, analizujące (oczywiście pod kątem idealnego wzorca męskości) zarys jego szczęki, kształt stalowoniebieskich oczu, wykrój ust, rozstaw kości policzkowych... I chociaż tego rodzaju pomiary raczej źle się kojarzą, zabawnie jest patrzeć, jak próbuje się sformułować „przepis na Mikkelsena”. Raczej daremnie, bo takiej twarzy, zwłaszcza „w działaniu”, po prostu nie sposób skatalogować czy podrobić.

Odkrył ją dla kina nie kto inny, jak przyszły twórca kultowego „Drive”, Nicolas Winding Refn. Ich wspólny debiut, czyli niezależny „Dealer” (w oryginale „Pusher”) z 1996 r. przyniósł eksplozję dwóch duńskich talentów, rychło też eksportowych. Zaowocował zresztą dalszą ich współpracą przy filmach „Bleeder” (1999) czy „Pusher II” (2004), a potem przy ekstrawaganckiej przypowieści „Valhalla: Mroczny wojownik” (2009).

Zanim jednak usłyszał o nich świat, stworzyli wspólnie energetyczne kino gangsterskie, zanurzone w brutalnych realiach Kopenhagi lat 90., ze społecznym zacięciem i wyraźnie egzystencjalną nutą. Takiego kina wówczas w Danii nie było. A wygolony i wytatuowany Mikkelsen, który dopiero wówczas, będąc już koło trzydziestki, zaczynał uczyć się aktorstwa przy stołecznym Teatrze Aarhus, wniósł na ekran swój bezbłędny instynkt.

I podczas gdy „Na rauszu” rodziło pytania, czy rzeczywiście był w stanie tak



„Casino Royale”, reż. Martin Campbell, 2006 r.



„Doktor Strange”, reż. Scott Derrickson, 2016 r.

→ przekonująco odegrać alkoholika, będąc całkowicie trzeźwy, to w przypadku dresiarzkiego „prawdziwka” również był podejrzewany o chemiczne wspomaganie. Te wczesne, mięsiste role utrwaliły jego wizerunek „złego chłopca”, który będzie z powodzeniem podtrzymywał, przełamując lub nuansował – jak na wszechstronnego aktora przystało.

Urodzaj na łotrów

O tym, że trudno uciec od własnej „geby”, przekonał się Mikkelsen wielokrotnie, postanowił więc się nią zabawić – i nieźle na tym zarobić. Hollywood pokochało lekko sepleniącego Duńczyka z ciekawie wyrzeźbioną facjatą, zasypując go propozycjami w głośnych filmowych franczyzach. Bycie demonicznym Le Chiffrem, bankierem sponsorującym terroryzm w „Casino Royale” (2006) Martina Campbella, tak się obu stronom spodobało, że aktor użyczył potem swojego głosu i twarzy w oryginalnej wersji gry komputerowej „007 Quantum of Solace”.

Rola doktora Lectera w trzech sezonach serialu „Hannibal” (2013–2015) Bryana Fullera, wyrosłego z „Milczenia owiec”, została namaszczona przez samego Anthony’ego Hopkinsa – za to, że duński odtwórca psychiatry o kanibalskich skłonnościach znacznie bardziej skomplikował i tym samym uatrakcyjnił tę postać. Jako Kaecilius w kinowym hicie „Doktor Strange” (2016) Scotta Derricksona miał za zadanie odtworzyć zło w czystej postaci i upiornym makijażu, jednakże zafascynował go psychodeliczny wymiar komiksowej historii, a sceny kung-fu przyniosły mu samą radość, albowiem mógł obudzić swoje wygimnastykowane niegdyś ciało. Z kolei nordycka fizis pomogła

mu wcielić się przekonująco w doktora Jürgena Vollera, eksnazistowskiego naukowca na usługach NASA, który w filmie „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia” (2023) Jamesa Mangolda staje na drodze sławnego archeologa.

Pytany o ten amerykański urodzaj na łotrów w jego filmografii, odpowiada skromnie, że to zapewne obcy, skandynawsko brzmiący akcent czyni go oryginalnym. Lecz nie da się ukryć, że pojawienie się na ekranie Mikkelsena dodaje prestiżu kosztownym produkcjom dla masowej widowni.

Dlatego można uznać za niezłe mrugnięcie okiem występ aktora w kozackim teledysku do piosenki Rihanny „Bitch Better Have My Money” z 2015 r., tym razem w roli szemranego księgowego. Ale zanim się na to zgodził, jeden z najbardziej zapracowanych aktorów na świecie musiał wypytać własne, wówczas już dorosłe dzieciaki, kim w ogóle jest owa śpiewająca pani. Nie był też nigdy zapalonym kinofilem, prędzej fanem komiksów, co przydało mu się w Hollywood, zaś stosunkowo późny debiut zaszczerpił go skutecznie na ostentacyjne gwiazdorstwo. Ponoć scenariusz do „Casino Royale”, przełomowego dla zagranicznej kariery, przed wzięciem udziału w castingu zostawił – z roztargnienia – w samolocie.

Szkoła przetrwania

Uważa się za typ zadaniowca i stara się nie wartościować aktorskich dokonań, choć jedynie w ojczyźnie udało mu się uniknąć łatki czarnego charakteru, obśmadywanego „po warunkach”. We wspomnianej „Valhalli” grał przeciwieństwo heroiczną, wpłataną w tryby dość umownie potraktowanej historii i re-

ligii. Z mroków średniowiecza wyciągnął Refn germańską legendę i przerobił ją na opowieść o jednookim gladiatorze, który ucieka z niewoli, przyłącza się do krzyżowców i rusza na Jerozolimę. Ta niema rola w okrutnym antywidowskim fantasy jest najbardziej w dorobku Mikkelsena powściągliwa i mocno cielesna. Już wtedy zadaje kłam przekonaniom, iż wszystko ma wypisane w twarzy, w tym przypadku prawie nieruchomej, pokiereszowanej, zaciętej w jednym grymasie.

Trochę więcej miał do zagrania we francusko-niemieckim filmie „Michael Kohlhaas” (2013) o XVI-wiecznym przywódcy chłopskiego powstania z Brandenburgii, bo równie dobrze jak szwarccharaktery sprawdzają się u niego różnej maści antysystemowcy i buntownicy, z dużym potencjałem słusznego gniewu, który wcześniej czy później musi znaleźć ujście.

Trochę inaczej było we współczesnych „Jeźdźcach sprawiedliwości” (2020), czarnej komedii Andersa Thomasa Jensena. Zagrał duńskiego weterana z Afganistanu i samotnego ojca – postać nieco groteskową w swoim zagubieniu pośród teorii spiskowych, w swoich próbach ogarnięcia i naprawienia świata. Ubrany w wojskową kurtkę brodacze jest tutaj dyskretną parodią dzisiejszych przeterminowanych twardzieli, toteż jego odtwórca musiał dla roli sporo przypakować.

Legendy z planu głoszą, że scena, w której bohater z wściekłości rozbija głową łazienkowe lustro, nie została sfingowana. I nie było to największe poświęcenie w karierze: wcześniej, w islandzkiej „Arktyce” (2018) Joego Penny’ego, zaprezentował Mikkelsen istną szkołę przetrwania w ekstremalnych warunkach,



„Na rauszu”, reż. Thomas Vinterberg, 2020 r.



„Polowanie”, reż. Thomas Vinterberg, 2012 r.

także w wydaniu aktorskim. Powstał w znacznej mierze film jednego tylko aktora i podobno najtrudniejszy w całym jego dorobku, a już na pewno fizycznie. Któż inny mógłby lepiej wyrazić na ekranie determinację i wytrwałość człowieka zmagającego się samotnie z siłami pólnocnej natury?

Sprzedawca mięsa

To jednak nie wyczynowością, ale w rolach kameralnych objawia się najbardziej sugestywny Mikkelsen. Ma dziś prawie 60 lat, jeszcze więcej tytułów na koncie i niemal tyle samo nagród, ale co jakiś czas któryś z reżyserów odkrywa jego niezany dotąd potencjał.

Jak choćby wspomniany na początku Vinterberg, który zakończywszy przygodę z manifestem filmowym *Dogma '95* długo szukał swojego tonu i dopiero w 2012 r. nakręcił doskonałe „Polowanie”. Wybitność swą zawdzięcza ono w ogromnym stopniu Mikkelsenowi, nic więc dziwnego, że rola rozwiedzionego wychowawcy przedszkolnego z małej miejscowości, niesłusznie oskarżonego o molestowanie podopiecznej, przyniosła mu canneńską Złotą Palmę. Otrzymałmy sugestywny obraz zbiorowego zaszczucia i zatrucia, angażujący emocjonalnie i jednocześnie niewygodny w odbiorze. Zadawał bowiem pytania o żywotność stadnych instynktów w nowoczesnym społeczeństwie, o kulturę podejrzliwości niweczącą racjonalny osąd, a pośrednio o role i stereotypy genderowe.

Scenę, w której napiętnowany mężczyzna nieoczekiwanie pojawia się w kościele podczas bożonarodzeniowej mszy, chciałoby się w zachwycie rozkładać na pojedyncze klatki pod kątem aktorskiej

ekspresji: od wystudiowanego spokoju, przez stopniowy napływ goryczy, po wybuch rozpacz. Mikkelsen nie zabiega tu o naszą sympatię, zazwyczaj bywa po swoim wycofany, lecz jego intensywna obecność promieniuje na cały film, zamieniając historię o insynuowanej winie w przypowieść o kolektywnie utraconej niewinności.

„Polowanie” i „Na rauszu” stanowią niezbity dowód na to, że ulubiony aktor Vinterberga ma dużo większe pole do popisu w rodzimym kinie – tam nawet w epizodach i niewiele znaczących tytułach Mikkelsen potrafi zabłysnąć. Nie mówiąc o filmach stworzonych przez czołówkę duńskiej kinematografii, jak Lone Scherfig („Wibur chce się zabić”, 2002), Susanne Bier („Otwarte serca”, 2002; „Tuż po weselu”, 2006) czy przywołanego wyżej Jensena („Jabłka Adama”, 2005; „Mężczyźni i kurczaki”, 2015). To zazwyczaj lekkie, obyczajowo-komediowe role, lecz paradoksalnie w nich aktor miewa więcej do zagrania, wylamując się z czysto „twarzowych”, lajdackich wcielen. Pewnie dlatego zapytany przez magazyn „Vulture”, z którą rolą czuje się związany najbardziej organicznie, wymienia mało znaną u nas makabryczną komedię „Zieloni rzeźnicy” (2003) tegoż Jensena.

Powołał tam do życia najbardziej, jego zdaniem, irytującą postać – zdziwaczałego współwłaściciela mięsnej jatki, wiecznie spoconego, z fatalnym zacesem i rozbieganym wzrokiem. „Odkryłem, niestety, że mamy ze sobą wiele wspólnego” – wyznaje. Ale właśnie to, że będąc kojarzony z aktorstwem bardziej realistycznym, pozwolił sobie nagle na „kreatywne samobójstwo”, które wydaje mu się najciekawszym wyzwaniem. Bo przy

okazji nadał odpychającemu typowi rysy bardzo ludzkie. A fakt, iż jego bohater zaczyna sprzedawać niczego nieświadomym klientom ludzkie mięso, okazał się zabawnym preludium do późniejszego serialu o wytrawnym kanibalu.

Poskramiacz wrzosowisk

Tymczasem na ekranach polskich kin obejrzeć można najnowszy film z Mikkelsenem. To zrealizowany epickim gestem, choć zarazem duszny od przemocy „Bękart”, na podstawie wydanej u nas niedawno książki Idy Jessen, oczywiście z Madsem na okładce. Adaptację wyreżyserował Nikolaj Arcel, twórca „Kochanka królowej” (2012), gdzie ten sam aktor zagrał człowieka, który w połowie XVIII w. próbował zreformować duński dwór, także pod względem obyczajowym i z dużym zaangażowaniem osobistym.

Teraz powraca do tamtej epoki, ale w zgoła innym kostiumie i otoczeniu. Wciela się w „poskramiacza wrzosowisk”, który gdzieś w bezludnej części Jutlandii, na przekór wszystkiemu i wszystkim, chciałby zamienić jałowy ugor w żyzne pola. W ten sposób on, nieślubne dziecko pana i służącej, samotny weteran wojenny w pocerowanym mundurze, pragnie zasłużyć sobie u króla na szlachecki tytuł.

Mikkelsen doskonale stapia w tej roli plebejską godność z szorstką szlachetnością. Na tle upudrowanych peruk jego bohater zdaje się częścią surowego pejzażu, a w obliczu feudalnego okrucieństwa z trudem ukrywa swoją wrażliwość i jednocześnie gwałtowną naturę. Za to miejscowego dziedzica od początku traktuje z należytą mu wząrdą i rychło skupia wokół siebie innych społecznych wyrzutków. ➔

→ Kieruje nim nie tylko ambicja nisko urodzonego – jest w tej walce z nierównościami, uprzedzeniami i żywiołami nieomal iskra obłędu, charakterystyczny złowrogi błysk, raz po raz przesywający pobrużdżoną kamienną twarz. Również wtedy, gdy z desperacją rozgrzebuje ziemię rękoma, gotów własnym ciałem uchronić pierwsze kielki ziemniaka od przemarznięcia. Sam Mikkelsen aż tak poświęcać się nie musiał: w kwietniu 2010 r. syn pielęgniarzki wychowany w robotniczym środowisku Kopenhagi, dorabiający we wczesnej młodości przy sprzątanii czy za barem, otrzymał z rąk królowej tytuł Kawalera Orderu Danebrog za szczególne zasługi cywilne dla państwa duńskiego.

W dużej mierze za sprawą aktor-skiej charyzmy jego bohaterowie, nawet kiedy przegrywają, to jednak w naszych oczach wygrywają. Choć dobrze byłoby czasem zrobić wyjątek od tej reguły, np. jeśli wcieli się kiedyś w postać Putina. Przy niewielkiej charakterystyce wygląda dokładnie jak Władimir Władimirowicz, co zdążyła zresztą wychwycić internetowa twórczość obrazkowa. Trochę gorzej może być z akcentem: w średnio udanym filmie „Chanel i Strawiński” (2009) Jana Kounena mówiący wieloma językami Duńczyk z pewnością nie brzmiał jak Rosjanin. Co ciekawe, jego młodszy brat Lars Mikkelsen, też aktor z międzynarodową renomą, w trzecim sezonie serialu „House of Cards” przeistoczył się z powodzeniem w... rosyjskiego prezydenta, który jako żywo przypominał panującego.

Na jedno możemy liczyć: jeszcze bardziej podobny do oryginału Mads Mikkelsen nie zamieni kremlowskiego dyktatora w płaską imitację czy grubą karykaturę, ale rozwaluje go na zimno. © ANITA PIOTROWSKA

Chwile ukojenia

MACIEJ PŁAZA, PISARZ:

Kiedy czyta się wspomnienia z początków XX wieku, uderza i szokuje zbiorowy poryw entuzjazmu wobec nadchodzącej wojny. Pokój stał się wtedy nieznośny, wręcz obmierzły. Zupełnie inaczej niż teraz.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Co mówi literatura o naszych lękach?

MACIEJ PŁAZA: Artyści od zawsze byli przekątnikami zbiorowej energii społecznej. Jako autor, jako tłumacz również, a jako odbiorca kultury to już w ogóle – jestem wyczulony na te elementy naszego życia społecznego, które się w niepokojący, mroczny sposób powtarzają. Odczuwam wręcz lęk, gdy widzę odtwarzające się wciąż na nowo mechanizmy historii.

Jakie?

Przede wszystkim struktury przemocy. W Ukrainie toczy się wojna zarazem nowoczesna, jak i archaiczna, pozycyjna, w okopach – jak sto lat temu, równie brutalna jak wszystkie poprzednie. Nie przewidzieliśmy tego, prawda? Mimo że w latach 90. widzieliśmy, co dzieje się na Bałkanach. Nauka z tego płynie, moim zdaniem, gorzka: historia jest powtarzalna, ale my się z niej nie uczymy. W okresach pokoju i prosperity popadamy w drzemkę, a potem budzimy się z przerażeniem.

Boimy się rzeczy powtarzalnych?

Lęk dotyczy przede wszystkim utraty stabilności – zarówno w życiu osobistym, jak i społecznym. Nawet komfort to sprawa drugorzędna, bo ważniejsze jest funkcjonowanie w dobrze znanej, oswojonej rzeczywistości. Z drugiej strony rozumiejąc pewne procesy, możemy przewidzieć, do czego one doprowadzą. Dziś wszyscy boimy się wojny, bo zdajemy sobie sprawę, jak ona może wyglądać – tej wiedzy dostarczają nam zarówno historia, jak i media.

Kiedy czyta się wspomnienia z początków I wojny światowej, uderza i szokuje zbiorowy poryw entuzjazmu. Wstrząsające, że wielu świadków wspomina wojnę jako coś podówczas wyczekiwanego, pożądanego, radosnego wręcz. Ubrany w szaty patriotyzmu wybuch entuzjazmu w Anglii czy Niemczech miał w sobie coś pierwotnego i złowieszczonego zarazem. Na początku XX wieku pokój stał się nieznośny, obmierzły.

Zupełnie inaczej niż teraz.

Bo mamy inne doświadczenia – nawet jeżeli odziedziczyliśmy je po rodzicach czy dziadkach. Stąd ta mieszanina lęku i niedowierzania, która dominuje dziś w dyskursie publicznym. Trudno nam uwierzyć, że groźba wojny znów stała się realna.

Żli Rosjanie jako bohaterowie zniknęli z kultury po upadku Związku Radzieckiego.

Kultura potrzebuje kilku lat, może nawet dekad, żeby pewne traumy przepracować, o ile mówimy o poziomie świadomości konstruowanego dyskursu. Dla tego Rosjanie wkrótce z pewnością pojawią się w książkach, filmach czy grach. Zwłaszcza że po zimnej wojnie zostało nam wiele gotowych stereotypów czy wręcz całych struktur fabularnych i symbolicznych – Rosjanin od dawna jest domyślnym szwarzcharakterem, zarówno w Polsce, jak i na całym Zachodzie. Wróć na pierwszy plan.

Za sprawą grożącej wojny dowiedzieliśmy się czegoś nowego o nas samych?

Zachodnia cywilizacja była w złej kondycji psychicznej już od dłuższego czasu. Widać to choćby w tym, jak wszech-



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”

w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Stuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

Zawsze tak było?



LUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

obecna jest w naszej kulturze przemoc. Nie chodzi o to, że filmy czy seriale, które oglądamy na co dzień, pokazują przemoc, bo to oczywiście dzieje się już od dawna. Problem w tym, w jaki sposób to robią.

W jaki?

Niezwykłe drastyczny, obsceniczny wręcz. Kryminały, thrillery czy horrory stały się w ostatnich latach zdecydowanie bardziej mroczne. Nie chodzi mi tu o kino artystyczne w stylu Larsa von Triera, tylko o popularne produkcje, jakie możemy znaleźć choćby na Netflixie. Problem w tym, że to nie jest celowa eksploracja mrocznych zakamarków naszej egzystencji, tylko symptom zmieniających się kanonów estetycznych.

Zwykłe morderstwo już nie wystarczy?

Jeśli pojawia się morderca, to zawsze serijny, który do tego swoje ofiary pozbawia życia w wyszukany i okrutny sposób. I ten spektakl okrucieństwa musi odbywać się przed naszymi oczami – te odcięte nogi i głowy pokazane są wprost. A nawet gdy na ekranie akurat nie leje się krew, całość i tak utrzymana jest w dojmująco mrocznej tonacji. Wszystko to obliczone jest na maksymalizację niepokoju i lęku u odbiorcy, bo w ten sposób łatwiej przy-

kuć jego uwagę. Tylko że płacimy za to cenę, bo te obrazy zostają z nami, nasiąkami nimi powoli, ale konsekwentnie. Pornografia przemocy stała się domyślną estetyką.

Do tego dochodzi wojna w Ukrainie, którą możemy śledzić niemalże na żywo.

Nagrania dronów ostrzeliwujących żołnierzy, wybuchające czołgi... Bierzymy w tym emocjonalny udział. Tylko, żeby to było możliwe, musimy coś w sobie zablokować. Bo przecież wiemy, że w tych wozach opancerzonych czy śmigłowcach znajdują się ludzie, którzy właśnie giną na naszych oczach. Mówimy sobie: „to nasi wrogowie, orkowie”, ale to niewiele zmienia. Nasza kultura będzie tym naznaczona, ale dopiero za jakiś czas – bo tu też działa wspomniana wcześniej zasada inercji.

Niedawno ukazało się Twoje tłumaczenie zbioru opowiadań „Bogowie Pegāny i inne opowieści fantastyczne” Lorda Dunsany’ego, którego nazywasz ojcem literatury fantastycznej. U niego niepokojem podsyte jest niemalże każde zdanie.

Lord Dunsany tworzył w pierwszeń połowie XX wieku, a jego pisanie wpływało

MACIEJ PŁAZA jest prozaikiem i tłumaczem. Autor powieści „Skoruń”, „Robinson w Bolechowiu” i „Golem” oraz przekładów m.in. H.P. Lovecrafta, Mary Shelley i Arthura Machena. Za swoją twórczość wyróżniony m.in. Literacką Nagrodą Europy Środkowej Angelus, Nagrodą im. Kościelskich, Nagrodą Literacką Gdynia i nagrodą „Literatury na Świecie”. Nakładem wydawnictwa Vesper ukazało się niedawno jego tłumaczenie zbioru opowiadań „Bogowie Pegāny i inne opowieści fantastyczne” Lorda Dunsany’ego.

z głębi starej, konserwatywnej kultury. Był typowym arystokratą z typowymi arystokratycznymi zamiłowaniami, takimi jak wytworne podróże i polowania, służył też w wojsku. Do tego miał gruntowne, klasyczne wykształcenie, szczególnie w obszarze kultury starożytnej Grecji, ale interesował się też innymi mitologiami. Fascynowały go te elementy naszej zachodniej cywilizacji, które kojarzyły się – przynajmniej na poziomie filozoficznym – ze stabilnością. A jednocześnie tę tradycję rozszalał od środka.

Był też ateistą.

A przynajmniej agnostykiem. Pokazywał człowieka jako igraszkę w rękach potężnych sił, które przedstawiał jako osobowych bogów we własnym literackim uniwersum – tytułowej Pegānie. Trzeba podkreślić, że ci bogowie są głupi, bo pozbawieni autorefleksji. Są głupi tak, jak głupie, bo bezrozumne są siły natury. Działają w sposób im przyrodzony, pozbawione są refleksji moralnej. Nie ma tu kategorii dobra i zła. Bohaterowie Dunsany’ego wrażliwi są wyłącznie na piękno, a przez większość czasu próbują walczyć z nudą.

Wszyscy są też pogodzeni ze swoim losem...

To jest zaczerpnięty z greckiego panteonu olimpijski spokój. W jednym z opowiadań napisane jest wprost, że na końcu dziejów wsiadą oni na statek i odpłyną w dal, bez lęku i żalu opuszczają świat, który przez epoki był im domem. A ludzie, którzy i tak zostali stworzeni wyłącznie dla rozrywki, zostaną sami. Dlatego też, w przeciwieństwie do bogów, →

→ odczuwają ciężar i tragizm istnienia. Od człowieka nic nie zależy – jest wydany na pastwę namiętności i kaprysy niezrozumiałych sił. Targają nimi tęsknota, a także lęk przed czasem, przemijalnością, kruchością egzystencji. To chyba była podstawowa obsesja Dunsany’ego.

Nie ma tam pocieszenia?

Można go szukać tylko w pięknie, ale ono daje tylko chwilowe ukojenie. Reszta to spektakl cierpienia i lęku, jakim jest ludzkie życie.

Dunsany przyłożył rękę do narodzin nowoczesnego, zachodniego konserwatyzmu?

Tak, bo literatura fantasy w swojej definicji jest konserwatywna. Znamy to dobrze z późniejszego i czerpiącego pełnymi garściami z Dunsany’ego Tolkiena. Podstawowa różnica polega jednak na tym, że świat u Dunsany’ego jest amoralny, podczas gdy ten Tolkienowski ma wiele elementów wyraźnie chrześcijańskich, przede wszystkim kategorii dobra i zła, sił, które toczą ze sobą odwieczną walkę. Być może dlatego Tolkien okazał się łatwiej strawny i odniósł tak spektakularny sukces.

Nie przypadkiem też Tolkien odniósł sukces po II wojnie światowej.

Dawał wytchnienie. Zwłaszcza w kontekście zimnej wojny i lęku przed zagładą atomową. I był mistrzem opowieści, co oczywiście również przysporzyło mu wielu czytelników. Dunsany to cyzelator literackich bibelotów.

Czy kiedyś były dobre czasy dla bibelotów?

Dobre pytanie. Od literatury wciąż wymaga się pocieszenia, często kosztem innych walorów. Estetyzm w literaturze czy ogólnie kulturze bierze górę w okresach marazmu i dekadencji, takich jak schyłek XIX stulecia, słabnie natomiast lub wręcz kompromituje się w chwilach kryzysów i przełomów oraz po wielkich katastrofach, takich jakimi były obie wojny światowe.

Czyli i dziś jest bez szans.

Obecnie w życiu publicznym panuje ideowe wzmożenie na wielu frontach: ruch #MeToo, czyli nowa fala emancypacji kobiet, kwestionowanie tradycyjnego



Miranda Otto jako Eowina w ekranizacji „Władcy pierścieni”, reż. Peter Jackson, 2002 r.

postrzegania płci, kryzys klimatyczny, zagrożenie kolejną wojną światową. Wszystkie te napięcia oddziałują na kulturę, premiują publicystyczne zaangażowanie. W takim klimacie ideowym sztuka o wyeksponowanych walorach estetycznych naraża się na zarzut eskapizmu.

Eskapizm – to łatka, która przyłgnęła na dobre do fantastyki.

Szeroko rozumiana konwencja fantasy skupiona jest na tym, co uniwersalne. Jeśli czytelnik z jakichś powodów chce się oderwać od konkretnego, od zakorzenienia w partycularnej rzeczywistości, to faktycznie fantastyka może być dla niego formą eskapizmu. Jednak taki Dunsany był przede wszystkim estetą, nie nazwałbym go eskapistą. On raczej, podobnie jak wielu mu współczesnych, był zachwycony nowymi możliwościami sztuki. Różne nurty awangardy w momencie swoich narodzin musiały dawać poczucie niesamowitej wolności. Niemniej ta nieskończona potencjalność nieubłaganie prowadziła do rozpaczy.

Bo wszystko było zawieszone w próżni?

Brak punktów odniesienia oznacza, że nie wiadomo, dokąd to wszystko prowadzi. A kultura fantasy była formą ucieczki od tej zachwycającej, ale jednocześnie przerażającej wolności, kierowała raczej w stronę uniwersalnego pokrzepienia. Dziś jest w sumie podobnie.

Mamy rozkwit historii superbohater-skich.

To kolejna wariacja na ten sam temat. Popularność tych rozległych uniwersów, w których jednostki obdarzone nadzwyczajnymi mocami walczą ze złem, to nic innego jak próba przywrócenia pewnej równowagi psychospołecznej. Nadzieja, że przed chaosem da się jednak uciec.

Skuteczne próby?

Nie wydaje mi się i sama popkultura też sobie powoli z tego zdaje sprawę. Chyba najlepszym tego przykładem – punktem przełomowym – był Batman w wydaniu Christophera Nolana. Szczególnie druga część jego trylogii, gdzie w rolę Jokera wcielił się Heath Ledger. W swojej kreacji udało mu się wykroczyć poza postać komiksową i stworzyć personifikację lęków nawiedzających naszą zbiorową nieświadomość. Ma on sporo cech postaci folklorystycznej – już nie zło rozumiane zgodnie z chrześcijańską aksjologią, nie Szatan, a bardziej duch niehumanitarnej, chaotycznej natury. To ciekawe, że ta rola dużo lepiej zakorzeniła się w popkulturze niż sam Batman, który przy nim wydaje się nijaki. Może dlatego, że zło postrzegamy dziś inaczej. Jest bardziej bezosobowe, nieokiełznane, wy-nikające z samej natury rzeczywistości. Trudniej sobie z nim poradzić.

Scena, która najbardziej zapadła mi w pamięć, to Joker podpalający



MATERIAŁY PRASOWE NEW LINE CINEMA

Kapitalizm
jest dzisiaj
postrzegany jako
system, który
nas ciemni, ale
zarazem daje
oparcie, pozwala
zachować
minimalny
porządek
w rzeczywistości.

**Dlatego
nie potrafimy się
go wyrzec.**

absurdalnie wielki stos dolarowych banknotów.

Widać w tym nasz dwoisty stosunek do kapitalizmu, szczególnie w jego zwyrodniałej rabunkowej formie, gdzie wszystko zostaje podporządkowane logice maksymalizacji zysku, a rzeczywistość jest podmywana przez niekończącą się spekulację. Dlatego z jednej strony kapitalizm jest postrzegany jako system, który nas ciemni, ale zarazem daje oparcie, pozwala nam zachować minimalny porządek w rzeczywistości.

**Lęki i wewnętrzne konflikty,
o których tu rozmawiamy, mają
w sobie wyraźnie anglosaski rys.**

Oczywiście, ale mnie najbardziej frapuje w anglosaskiej kulturze mit podróży na południe, szczególnie w jej okresie klasycznym, imperialnym. Zwróciło to moją uwagę, gdy tłumaczyłem „O czym szumią wierzy” Kennetha Grahame’a. Pojawia się tam historia o szczurze wędrownym, który rozciąga przed szczurem rzeczny poruszającą wizję wyprawy na południe – czyli do miejsca niezwykłych przygód, bogactw i rozkoszy. To wynika wprost z brytyjskiej geografii, bo jeżeli z wyspy się gdzieś płynie, to prawie zawsze na południe. Północ kojarzy się źle, z zimnem i ciężką pracą. Ekscytująca jest podróż do Egiptu, Indii, na karaibskie wyspy.

**A jak Ty sobie radzisz z lękami
współczesności?**

Nie radzę sobie. Boję się jak diabli. Ale staram się jak najlepiej uprawiać swój ogródek, na przykład pisząc książki, które, choć historyczne, ukazują między innymi powtarzalność form przemocy, trwałość zła. Jeśli jednak uznać, że estetyzm ma w sobie coś dekadentckiego, jestem też odrobinę dekadentem, bo domagam się uznania dla piękna i dla indywidualnych doświadczeń, które mogą wydawać się ucieczkowe, takich jak kontemplacja. Sztuka nie ratuje świata, ale uszlachetnia nasze życie. Na to, w jakim kierunku zmierza świat, mamy znikomą wpływ, ale właśnie obcowanie z kulturą i zagłębienie w głąb siebie pomaga o tym pamiętać, a to pozwala zachować umiar i spokój. A będąc spokojniejszymi, jesteśmy też mądrzejsi.

© P Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Lektor: Przed herbertowską rocznicą



■ **Zbigniew Herbert**
KANON. TRYPTYK: 89 WIERSZY; KRÓL MRÓWEK. PRYWATNA MITOLOGIA; CENA SZTUKI I INNE ESEJE
Wydawnictwo a5, Kraków 2024,
ss. 196 + 150 + 196

TA ROCZNICA – SETNA ROCZNICA URODZIN AUTORA „Pana Cogito” – minie 29 października, ale już teraz otrzymaliśmy na jubileusz książkę niezwykłą. Właściwie trzy książki – każda w twardej oprawie, włożone razem do tekturowej kasety, w pięknym, minimalistycznym opracowaniu graficznym Joanny Rusinek, wykorzystującym rysunki poety.

Wydawnictwo a5, w którym pod edytorską pieczę Ryszarda Krynickiego ukazały się wcześniej monumentalne tomy „Wierszy zebranych” i „Wierszy rozproszonych” Herberta, proponuje teraz rodzaj zwęższego przewodnika po całości jego dzieła. Tom pierwszy zawiera wiersze wybrane przez samego autora w roku 1997 (a więc przed „Epilogiem burzy”), antologię osobistą ułożoną według dosyć ogólnie zarysowanych pięciu wątków tematycznych. Tom drugi to „Król mrówek”, czyli „prywatna mitologia” Herberta, której bohaterami miały być postaci mniej znane: „bogowie, potwory i ludzie zaplątani w mity i ludzką – nieludzką – historię”. Herbert pracował nad nią blisko dwadzieścia lat, ale nigdy nie dokonał jej ostatecznej redakcji, i dopiero po jego śmierci cytowany wyżej Krynicki podjął próbę rekonstrukcji całości.

Eseje, które znalazły się w tomie trzecim, wybrał i opracował Paweł Próchniak, tegoroczny laureat Nagrody imienia Kazimierza Wyki. Cztery pochodzą z „Barbarzyńcy w ogrodzie” („Lascaux”, „U Dorów”, „Il Duomo”, „Piero della Francesca”), dwa z „Martwej natury z wężem” i dwa z „Labiryntu nad morzem” – zbioru złożonego w Czytelniku w 1973 r., który jednak nie doczekał się tam druku i wydała go dopiero po śmierci pisarza Barbara Toruńczyk. W tym wyborze brakuje mi szkicu o albigensach („Herbert albigens” podpisywał się poeta w listach do Turowicza, dotknięty faktem, że miesięcznik „Znak” zrezygnował z druku tego szkicu) i (lub) równie emocjonalnego tekstu o templariuszach. Ale też, jak słusznie pisze Paweł Próchniak: „Nie jest to wybór oczywisty. I tak właśnie powinno być, bo literatura pozostaje żywa, dopóki ma w sobie potencjał nieoczywistości i nie zmienia się pod naszym spojrzeniem w garść komunałów”. © P

OLGA

Drenda:

Więcej niż jedno zwierzę



KIEDYŚ, GDY INTERNET BYŁ NIECO MNIEJSZY, popularnością cieszył się krótki wycinek z „Familiady”: w finale dwie uczestniczki udzielają zupełnie surrealistycznych odpowiedzi na pytanie „Więcej niż jedno zwierzę to...?”. Najpewniej w ankiecie chodziło o odpowiedzi typu „ławica” lub „stado”. Znienacka jednak odpowiedź „owca”, udzielona przez zaskoczoną uczestniczkę, prowadzi chyba do eskalacji generalnego osłupienia, bo konkurentka niczym w hipnozie odpowiada „lama”.

Niesamowitość tego nagrania to jedno. Drugie – to niespodziewana mądrość kryjąca się już w samym pytaniu. Dobrze jest bowiem pamiętać o tym, iż może być więcej niż jedno zwierzę. Albo więcej niż jedna odpowiedź na pytanie. Albo więcej niż jedno wyjście.

Przypominam sobie o tym czasami, kiedy napotykam kolejny przypadek człowieka uwiedzionego własnym poczuciem nieomyślności. Widać ich lepiej w internecie, bo na piśmie wszystko widać nieco lepiej, ale nie dajcie się nabrać – takie postawy nie pojawiły się na świecie za sprawą internetu. Na pewno i przed jego nastaniem spotkaliście nieraz na żywo ludzi, którzy mogliby oddać rękę, nogę i nerkę, żeby tylko postawić na swoim, choćby w głupiej kwestii. Znamie „rację najmniejszą” z „Dnia świra”. Albo ludzie, którzy będą gotowi brnąć w najgłupsze kłamstwo, żeby tylko nie utracić bezcennego poczucia własnej nieomyślności. „Już ja wiem lepiej” – to właśnie takie zachowanie. Albo, co gorsza, „już ja znam cię lepiej niż ty sam i zrobię wszystko, żeby to udowodnić”.

Więcej niż jedno zwierzę
autorstwa
Bronisława
Chromego



OLGA DRENDA

Zazwyczaj taki upór przybiera formy komiczne – człowiek brnie, fabrykuje, zmyśla, kręci z zapalem godnym lepszej sprawy. Rzadko zdarza się też, że ktoś faktycznie wynora spod ziemi dowód na to, iż w pewnych okolicznościach tę rację może mieć (jak Krystyna Pawłowicz, znajdując archiwalny słownik dopuszczający zapis „wziąć”, a nie tylko „wziąć”). Mięwa to jednak też i formy straszne. Na przykład – skoro się już posadziło o coś człowieka i zdążyło się go solidnie oszkalować, to fakt, że się pomyliło i atakowało niewłaściwą osobę o tym samym nazwisku, albo zarzuciło jej coś zupełnie zmyślnego, przestanie mieć znaczenie. Zbyt dużo zainwestowało się przecież w szkalunek, żeby odwręcać całą tę sytuację. To zapewne nieco bardziej niewinny przejaw mechanizmu, który każe sprawcy po popełnieniu zbrodni pozbyć się świadków: gdy jeden postępek pociąga za sobą kolejne. Raz uzyskane poczucie nieomyślności musi być substancją o niebywale uzależniającej sile.

Łatwo oczywiście obwiniać internet. Niczym Kanada w pełnometrażowej wersji „South Parku” doskonale nadaje się on do tego, by służyć za winowajcę i praprzyczynę wszystkich nieszczęść. Niewątpliwie, w internecie działa zaawansowany handel poczuciem nieomyślności, tak jak wszystkim, co daje pobieżną satysfakcję. Do tego publicyści, którzy mają w sobie coś z człowieka nieomyślnego, szybko zyskują publiczność złożoną z ludzi o zbliżonych potrzebach. A jednak takie wyjaśnienie wydaje mi się zbyt łatwe. Zastanawiam się, czy pompowanie wrażeń w internecie nie trafia tu na gotową strukturę nastawienia na jedną i tylko jedną odpowiedź. System edukacji – o ile mi wiadomo, nie tylko w Polsce – jest od lat skonstruowany w taki sposób, by wspierać tzw. myślenie zbieżne czy konwergencyjne. Ten tryb rozumowania polega na wybieraniu tylko jednej odpowiedzi na dane pytanie czy dylemat, na zakładaniu, że istnieje jedna najwłaściwsza. W taki sposób konstruuje się testy wyboru – ulubione narzędzie pomiaru wiedzy.

Oczywiście, tryb ten bywa przydatny – gdy stosujemy się do przepisów drogowych, chcemy postępować zgodnie z BHP albo musimy dopasować ewidentny objaw do diagnozy. Jednak w zderzeniu ze złożonością świata maksymalnie okrawa on sprawy, zawęża też myślenie, każe koncentrować się tylko na jednej stronie zjawisk i nadmiernie je upraszczać. Nie może istnieć więcej niż jedno zwierzę. Albo ja mam rację, albo nikt inny.

To pragmatyczne myślenie, ale zderzone z potencjałem – mówiąc górnolotnie i kaznodziejsko – pychy. Obserwuję czasami z dystansu zjawisko, które nazywam „fenomenem serka” (może dlatego, że serek jest pycha), od znalezionej w sieci komentarza: „dobrze, że wycofali ten serek, bo i tak go nie jadłem”. Innymi słowy, jeśli JA czegoś nie lubię, z czegoś nie korzystam, to nie powinno to w ogóle istnieć. Zapewne przyjemnie czuć się miarą wszechrzeczy, ale wiele szkodliwych zjawisk oszukuje nas taką powierzchowną satysfakcją. Bo co się stanie, jeśli się okaże, że nie tylko może nie być więcej niż jednego zwierzęcia?

PAWEŁ

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



Bravo: Baton i smartfon



NIE TRAĆCIE WIARY I NADZIEI, NIE JESTEŚCIE sami. Ileż razy słyszany to banał. W dodatku mało skuteczny, przynajmniej jeśli oceniać po konieczności powtarzania go w kółko, w kontekstach świętych i świeckich. Ale przecież i tydzień nam wypada

szczególony, tydzień wielkich powtórzeń, tych samych momentów liturgii i tych samych jajek na twardo. Pasji i kielbas, pustych grobów i pełnych stołów. Powtarzajmy zatem: nie jesteście sami – za przykładem wystąpienia księżnej Katarzyny. Szczęściarze, będący z nią na stopie towarzyskiej, mówią o niej *per* Kate, czyli Kaśka. Jest ich, jeśli sądzić po mediach, multum – och, jakże się wszyscy zdołają zmieścić w pałacu na herbatce? Ja się do nich nie zaliczam i chociażem demokrata z zasługami, zachowam minimum dworskiego *decorum*.

Tymi słowy Katarzyna zwróciła się do osób chorych, tak jak ona – o czym wiemy od piątku – na raka. Jej krótkie, surowe (ale ja i tak się popłakałem) wystąpienie, gdy opowiedziała o przyczynach nieobecności w sferze publicznej, o chemioterapii, o tym, jak w stosowny sposób i w odpowiedniej chwili chciała wprowadzić w to swoje dzieci – to wszystko nie trafiło na wcześniejsze strony „Tygodnika”, bo z szacunku dla was i dla swojego zawodu moje koleżanki i koledzy sądzą, iż królewskie plotki to nie jest temat. Skoro jednak spotykamy się w kuchni, dajmy sobie dyspensę. A poza tym, nie oszukujmy się, to i tak do was dotarło i obeszło, nie uniknęliście szumu, spoconych z podniecenia supozycji, spiskowych bredni i obleśnych dowcipów. Niech ich roznościele odprawia teraz szybką pokutę, np. zawieszając na kołku swoje konta co najmniej do Zielonych Świątek. Mam nadzieję, że bardzo zabolę, rozpoznajemy już mechanizmy, jakimi chochoł społecznościowy zalewa nasze mózgi tanią dopaminą. Mark Zuckerberg daje takie dragi, że kartele z Meksyku mogą mu czyścić styki w serwerach.

Ale może prawem kontrastu, powściągliwość i prostota przekazu odniesie pewien pożytek. Wielkie zasięgi uświadomią wszystkim, że rak nie jest tylko dla starych ludzi. Czterdziestodwuletnia Katarzyna jest „za młoda” na większość zalecanych obecnie badań profilaktycznych (poza rakiem szyjki macicy). Trzeba przestać traktować nowotwór w sile wieku jako szczególnie niesprawiedliwy cios. To wiedza od dawna obecna w porządnym czasopiśmie medycznym. W latach 1990-2019 częstotliwość występowania nowotworów u ludzi młodych podskoczyła o prawie 80 proc. I nie jest to, jeśli zaufać badaczom, wynik tylko powszechniejszej diagnostyki (à propos, jak tam z waszą kolonoskopią?).

Prym wśród młodych ludzi wiedzą nowotwory przewodu pokarmowego. Często pojawiają się ostrożne – bo za wcześnie na jednoznaczność, jak w przypadku papierosów – przypuszczenia, że ma to związek z widocznymi nawet dla nienaukowego oka zmianami w diecie bogatych krajów oraz wynika-

jącą z tego otyłością. Związek nie tylko z ilością jedzenia, ale i z jego jakością. Wysokoprzetworzona żywność jest szybka i wygodna, ale za cenę dobrze już udokumentowanych trwałych zmian w mózgu, które wpływają na nasze wybory, decyzje, nastroje. Kulminacja Wielkiego Postu to dobry moment, żeby znów sobie ten lej, który nas wysysa, uzmysłowić. Gdyby dzisiaj pisać ewangeliczne sceny kuszenia na pustyni, szatan powinien proponować, poza władzą i bogactwami: „dam ci batona i smartfona”.

Ale nie bądźmy kategoryczni aż do granic paleodiety. Przetwarzanie rzeczy, które nam natura dała, albo które od niej wyłudziłyśmy, to wielkie dobrodziejstwo. Bez obróbki termicznej i mechanicznej, ognia i dymu, żaren i tłoczni, bez drożdży i bakterii nie byłoby ludzkich kultur w żadnej znanej nam postaci. Historia udoskonaleń i przemian trwała nieustannie – choć nam, przerażonym technologiami, wydaje się, że ruszyła dopiero za naszego życia, bo babcia smażyła powidła na osmalonym piecu. Gdzie postawić granicę, poza którą są rzeczy godne odrzucenia nie tylko w postny czas?

Wybaczcie, jeśli dziś było niestrawnie. Za to na następnych stronach nagrodzony dwoma gwiazdkami Michelin kucharz opowie o swoich skarbach i zaprosi, byście wpadli do niego na obiad. Zjedzcie najpierw w domu solidne śniadanie, bo na stoliki długo się tam czeka – są zarezerwowane do końca czerwca. ©P

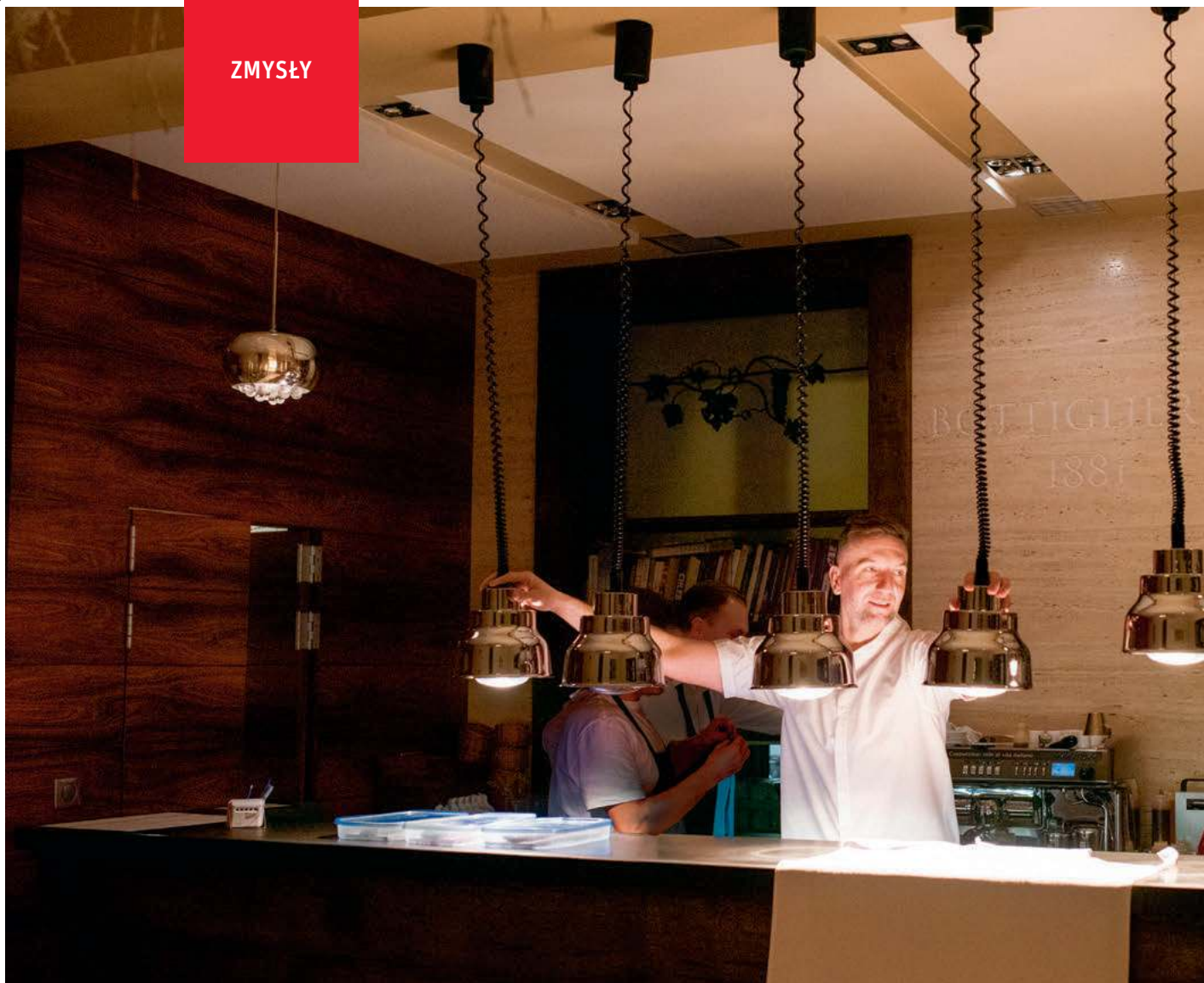
W menu restauracji, którą prowadzi bohater wywiadu w dziale Zmysły, widziałem także **kaszanke**. Cieszę się, gdy mistrzowie podnoszą ją z niskich progów ku doskonałości – jestem wielkim jej miłośnikiem.

Używam jej czasem, by stworzyć ciekawy finger food na przyjęcie. Namaczamy **mięksiz z kajzerki w białym winie**. Gotujemy do miękkości (lub pieczemy) **pół kilo batatów**. Po wystudzeniu i obraniu mieszamy je z **250 g kaszanki**, oczywiście wyjętej z flaka, z odcisniętym mięksizem, drobno posiekaną **dymką albo pęczkiem szczypiorku**. Solimy, doprawiamy **pieprzem lub papryczką**, jeśli lubimy bardziej ostro. Dodajemy stopniowo **bulkę tartą** w takiej ilości, by powstała masa dająca się formować w kulki o średnicy około 3 cm. Pieczemy w 180 st. C ok. 20 minut, aż z wierzchu będą chrupkie, a w środku nadal wilgotne.



CARLOS PEREZ GOMES / ADOBE STOCK

ZMYŚŁY



NIE JESTEM OPERA

PRZEMYSŁAW KLIMA, SZEFE KUCHNI:

Ludzie już nie pragną odkrywania na nowo rzeczy odkrytych i słuchania peanów nad czymś, co niby powstało z kosmosu. Chcą mieć taką restaurację, do której się wraca.

ZDJĘCIA JACEK TARAN

JACEK TARAN: Zaskoczyła mnie muzyka, którą tu słyszysz – blues, klasyczny rock. Myślałem, że w takich restauracjach to raczej Vivaldi, coś z muzyki poważnej.

PRZEMYSŁAW KLIMA: Muzyka jest ważna, ale nie najważniejsza. Wiele lat pracowałem bez niej. Ona powinna pomóc się skupić. Wieczorem, kiedy są goście, leci coś spokojniejszego, ambient. Coś dobranego do tego, co podajemy gościom. Muzyka klasyczna nie ma z tym nic wspólnego.

Masz w pamięci smaki z dzieciństwa, które nosisz w sobie przez całe życie?

Jest ich tak dużo, że nie potrafię wybrać jednego. To się zresztą cały czas zmieniało. Ważne przecież są pory roku. Jak były papierówki latem – jabłonka rosła przy samym domu – to była szarlotka. Później przychodził czas na białe porzeczki, agrest. Jesienią były weki, konfitury, zapiekane jabłka. Żyliśmy według naturalnego cyklu, bez kupowania dodatkowych rzeczy.

Menu też układasz według tego cyklu?



Przemysław Klima w swojej restauracji na krakowskim Kazimierzu. Kraków, 18 stycznia 2024 r.

Tak, bo w tym jest jakaś szczerłość. No i przepis na to, żeby praca nie była harówką, tylko po części zabawą. Odszukujemy wspomnienia z dzieciństwa, z okresu dojrzewania – tego, co nas ukształtowało. Odświeżamy te smaki również dla siebie i znajdujemy w tym radość. Nie mam ambicji robienia fizyki kwantowej. Wracam do tego, jak się wychowywałem w tych fajnych czasach, kiedy może nie wszystko było łatwe, ale we wspomnieniach wydaje się normalne.

Nawet praca w stołówce studenckiej, catering na wesela?

Każde z tych miejsc kształtowało moją osobowość, czegoś mnie nauczyło, dawało mi odpowiedź na pytanie, czy to jest to, co chcę robić. W stołówce trzeba było przygotować ok. dwóch tysięcy obiadów codziennie. Katorżnicza robota. Miałem wtedy 17 czy 18 lat: to wiek, w którym ludzie chcą poznawać świat, a nie robić coś monotonnego przez kilka godzin. Ale to była bardzo ważna lekcja. Nauczyłem się pokory, samodyscypliny, wytrwałości.

Ale jeszcze wcześniej było gotowanie z mamą.

To był inny etap, może mniej świadomy. Trochę jak zabawa, tylko innymi zabawkami. Zamiast klocków – lepienie pierogów. Dla mnie to była frajda, bo jak się ma 10 lat, fajnie jest ubrudzić się w mące, kleić ciasto. Ale w tej zabawie była też nauka, chociaż wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

A potem był staż w kopenhaskiej NOMA, jednej z najsłynniejszych restauracji na świecie.

Dla mnie to był zwrot pod każdym względem: nowy kraj, zwyczaje, ludzie z całego świata. Ale najważniejsze było w tym odkrywanie siebie na nowo, uczenie się siebie i swoich reakcji w różnych sytuacjach. Praca w Kopenhadze dała mi przeświadczenie, że konsekwencja, z którą podążałem przez cały ten czas, ma sens. Upewniłem się, że mój plan jest dobry. Zrozumiałem, że taki wojskowy dryl, dyscyplina w kuchni, to jest to, co mnie nakręca do działania. Pomyślałem, że chcę być taki jak oni, bo to są ludzie, którzy w kuchni są osobowościami. Miałem wtedy 20 lat, pierwszy raz zobaczyłem dużą i tak zorganizowaną kuchnię i po pierwszych 15 minutach wiedziałem, że w to wchodzi, że to moja droga. I nawet jeśli ona ma być ciężka, to warto coś poświęcić.

Co musiałeś poświęcić?

Starałem się, żeby tych rzeczy było jak najmniej. Najwyżej odkładałem je na inny czas. Chcę nauczyć się grać w golfa. Chcę przebiec maraton. To mój plan i realizuję go cały czas małymi krokami.

Może kuchnia to też po trosze maraton?

Tak, tu cały czas jest bieg. Nie możesz zwolnić ani zawrócić. Czasem się potykasz, ale wstajesz i dalej biegniesz. To bardzo przyjemne uczucie, jak się coś tworzy od początku i widzi się, jak to owocuje i umacnia ludzi, którzy pracują razem z tobą.

A na czym się najłatwiej potknąć?

Na rutynie. To najgorsza rzecz, jaka może się zdarzyć. Rutyna oraz nadmierna pewność siebie. Nadmierna, bo sama pewność siebie jest potrzebna. Tę prawdziwą zdobywa się w momentach, kiedy się wie, że ciężko się pracuje i nikt ci tego, na co zapracujesz, nie zabierze.

Jak jadają Polacy? Są otwarci na nowe trendy czy może konserwatywni?

Niczym się nie różnimy od Duńczyków, Holendrów czy Włochów. Mamy oczywiście swoje smaki, do których lubimy wracać, bo częściowo o nich zapomnieliśmy. Mam wrażenie, że to, co było nowością kilkanaście lat temu, czyli jakieś krewetki czy homary, już się Polakom przejadło. Szukamy domowego jedzenia i smaków, które kojarzą się z dzieciństwem. Słyszę to też w komentarzach gości naszej restauracji. Każdy odnajduje tu swoje dzieciństwo. Jak chcesz zjeść homara czy krewetki, to proszę bardzo, ale w innej restauracji albo na wakacjach – tam, gdzie jest to naturalne.

Gotując, nie możesz udawać kogoś, kim nie jesteś. Ja nie robię kuchni żółwio-morskiej, chociaż potrafię i bardzo ją lubię, ale wtedy nie byłbym sobą. Dla obcokrajowców przyjeżdżających do nas to też ważne doświadczenie. Oni nie chcą jeść w Polsce lazanii czy owoców morza. Chcą spróbować naszych smaków, →

→ sięgnąć do korzeni naszej kuchni, i ja to właśnie chcę dawać. Gdybym robił coś innego, szybko by wyczuli, że to jest nieprawdziwe albo słabe, po prostu.

Podobno tak planujesz urlop, żeby odwiedzić najlepsze restauracje?

Ale chyba wszyscy tak robią? Czy nie? Nie znam ludzi, którzy planowaliby wyjazd np. pod kątem zabytków. Może fakt, że moje życie kręci się wokół jedzenia, sprawia, że taki mam punkt widzenia. Ale przecież to jest ważne: musimy jeść. Na tym polega doświadczenie czegoś nowego. Poznajesz ludzi, poznajesz język, zwyczaje, kuchnię, która jest czymś niesamowicie ważnym w każdej kulturze.

Szukasz wtedy restauracji podobnych do Twojej czy czegoś bardziej lokalnego, prostego?

Staram się doświadczać całego bogactwa miejsca, w którym jestem. Zawsze odwiedzam jakiegoś znajomego: kogoś, kto ma jedną, dwie czy trzy gwiazdki. To ważne, żeby zobaczyć coś nowego, odświeżyć sobie głowę, znaleźć inspirację. Staram się jednak też pamiętać o lokalności. Zobaczyć, jak się je, jak się podaje. Zazwyczaj okazuje się, że te smaki są wszędzie bardzo podobne. Wiadomo: pierogi są wszędzie, chociaż nie takie same.

Kuchnia podlega też trendom, modom.

Kuchnia to żywy organizm, tu się wszystko zmienia. Widzę teraz mocny powrót do klasycznych produktów, dań. Ludzie już nie pragną odkrywania na nowo rzeczy odkrytych i słuchania peanów nad czymś, co niby powstało z kosmosu czy jakiejś magicznej energii. Szukają rzeczy lokalnych i przede wszystkim dobrze zrobionych, zdrowych, świeżych. Oczywiście są restauracje, które idą innym nurtem, ale to są restauracje jak opera. Tam się idzie tylko raz w życiu. Ja chcę mieć taką restaurację, do której się wraca.

Jak to się robi?

Musi być dobra atmosfera i muszą być ludzie, którzy potrafią budować relacje. Przecież wraca się do miejsc, do ludzi. Nasi goście czekają na nowe menu, są ciekawi tego, czym ich zaskoczemy w danym sezonie. To mój cel – mieć cały czas gości, których znam. To bardzo miłe, jak ktoś przychodzi i już się kojarzymy z widzenia: „Dzień dobry, panie Romanie, fajnie, że pan wpadł”. Oczywiście nie chodzimy razem na piwo, nie budujemy głębszych więzi, ale chodzi o to, żeby dobrze się czuć w swoim otoczeniu, nawet jeśli spotykamy się trzy razy w roku.

Zatem kuchnia to karmienie – i co jeszcze?

Gwiazdki Michelina



To prestiżowe wyróżnienia przyznawane od 1926 r. przez francuskiego wydawcę przewodników turystycznych, które

dzielą się na serię przewodników gastronomicznych, opisujących hotele i restauracje (czerwoną), i serię turystyczną (zieloną). W obydwu zamieszczane są oceny obiektów, którym przyznawane są gwiazdki według trzystopniowej skali.

★ Jedna gwiazdka – miejsce bardzo dobre i godne uwagi w swojej kategorii.

★★ Dwie gwiazdki – lokal warto odwiedzić ze względu na jakość jedzenia i obsługi.

★★★ Trzy gwiazdki – dla wyjątkowych miejsc, które są warte specjalnej podróży.

Wyróżnienia przyznawane są przez anonimowych inspektorów. Kilukrotnie odwiedzają oni restaurację, oceniając ją pod kątem jakości jedzenia, obsługi i atmosfery. Ich tożsamość jest tajemnicą. Decyzja o przyznaniu gwiazdek Michelina jest ostateczna i nie podlega negocjacji. W Polsce pierwszy raz to wyróżnienie otrzymała w 2016 r. restauracja Senses, gdzie szefem kuchni był Andrea Camastra. © P JT

Chodzi też o szczerość. Przyrządzając danie, muszę odszukać smak, który znam, i przekazać go prawdziwie. My podajemy jedzenie, które znamy, które wywołuje emocje, i to jest najbardziej prawdziwe. Jako kucharz sam musisz mieć przekonanie, że coś jest dobre, że sam chciałbyś to dostać.

Jak komponujecie menu? To Twoja autorska koncepcja czy pracujecie zespołowo?

Oczywiście mam decydujący głos, ale kompozycja jest wspólna. To burza mózgów. Siedzimy nad tym, myślimy, robimy różne próby, sprawdzamy, co się może przyjąć. Czasami się śmieję, że to jak w związku – trzeba dużo rzeczy przegadać, potrzebne są szczere rozmowy, ale to sprawia, że lepiej pracujemy.

Przed rozpoczęciem serwisu każdą kartę menu własnoręcznie podpisujesz. To jak gwarancja dla gości?

Podpisuję się pod tym, że wszystko, co jest w menu – dania, produkty, wina – jest prawdziwe, czerpie ze mnie. Ja się tym chwale. Nie chcę nabijać pieczęci, drukować, kserować, daję prawdziwy podpis, bo o prawdę tu chodzi. Nie wiem, czy inni tak robią, ja to sobie tak wymyśliłem, bo to jest indywidualne, oryginalne i myślę, że też bardzo miłe dla gości. Okazuje im też w ten sposób mój szacunek.

Jakie emocje wiążą się z gotowaniem?

Emocje zawsze są, ale trzeba zachować chłodną głowę. W nerwach nic nie wymyślisz. Musisz się wyłączyć z tego, co cię trapi, zwłaszcza od spraw osobistych, które potrafią wydrzeć pierwiastek kreatywności, ciekawości rzeczy. Ja muszę mieć wszystko poukładane: trzymać porządek, samodyscyplinę, bo wtedy są największe przypiły endorfin. Dopiero w takich warunkach można gadać o jedzeniu, wymyślać je. Ale przede wszystkim rozmawiać. Wtedy powstają naprawdę interesujące historie.

Ważne jest też to, co widzisz, gdy podajesz danie gościom. Patrzą na ich reakcje, uśmiechy, chwile szczęścia. To budujące: daję poczucie, że wykonałeś swoje zadanie, czujesz satysfakcję, która jest prawdziwą nagrodą za tę robotę. To ulotna chwila, jak strzelenie bramki w ważnym meczu. Potem trzeba jednak iść dalej, nie odpuszczać, bo chcesz strzelać kolejne gole.

Kreujesz przeżycia swoich gości.

Na co dzień, w wirze pracy, się o tym nie myśli. Warto o tym jednak pamiętać, bo to przecież też wyznacza poziom naszej pracy. Dajemy gościom coś więcej niż tylko jedzenie: nasze własne uczucia, emocje, część siebie. Te 5 czy 6 godzin dziennie to dla nas bardzo ciężki czas. Gościom 35 osób o różnych

charakterach, o różnych oczekiwaniach, nastawieniu. A my musimy być ciągle na 120 procent. Żeby to unieść, potrzeba naprawdę dużej wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Zwłaszcza że czasu na relaks nie ma wiele. Kończymy późno w nocy, a następnego dnia rano znów startujemy.

Czyli ciągle trzeba być w wysokiej formie?

Tak, ale trzeba uważać, żeby nie prze-dobrzyć, nie wypalić się. Dlatego ważna jest powtarzalność tego, co robimy. Ona jest kluczem każdego nowego menu. To bardzo ważne, żeby każdego dnia te rzeczy, które się wymyśliło, odtworzyć dla każdego gościa. W tych samych proporcjach, gramaturach, konsystencji.

Taka praca ma coś wspólnego z byciem artystą?

No właśnie dla mnie zupełnie nie. To ciężka, rzemieślnicza praca. Oczywiście, przeżywamy też radość tworzenia, ale danie to nie obraz, który sobie powieszisz na ścianie, żeby podziwiać. To coś bardziej ulotnego. Ja wolę mówić, że to jest ciężkie rzemiosło i ciężka praca fizyczna. Żeby być dobrym kucharzem, trzeba po prostu ciężko pracować.

A co z talentem?

Talent to dla mnie może 10 procent całej pracy. Zresztą talent to bardziej osobowość, umiejętność znalezienia się w sytuacji. Samo to słowo nic nie znaczy. Mamy wielu ludzi utalentowanych, którzy niczego nie osiągają, bo nie pracują, bo się nie starają. To tak jak z treningiem. Gdy trenujesz, to osiągasz cel. Może nie od razu złoto olimpijskie, ale ważne, żeby trenować.

Skoro porównujesz pracę w kuchni do sportu – wspólną płaszczyzną jest tu też rywalizacja?

Ja rywalizuję przede wszystkim z samym sobą. Wyznaczam sobie każdego dnia cele. Chcę każdy dzień przeżyć tak, żeby wieczorem być z niego zadowolonym. Jak tego nie ma, to jestem na siebie zły, że coś odpuściłem. To tak, jakbym nie zrealizował dobrego treningu.

Porównuję kuchnię do sportu, ponieważ jest mi on bliski. Wytrzymałość, wytrwałość, powtarzalność wyników – to jest prawdziwe mistrzostwo. Na koniec może cię czekać jakaś dobra rzecz, nagroda, ale to przecież nie jest żadna obietnica.

Czujesz się kucharzem spełnionym czy ciągle się rozwijasz?

Mam dopiero 38 lat. Mam nadzieję, że nigdy nie będę spełniony. Na pewno nie planuję iść na emeryturę. Nie ma takiej możliwości.



PRZEMYSŁAW KLIMA (ur. 1985 r.) jest szefem kuchni w krakowskiej restauracji Bottiglieria 1881. Najmłodszy polski kucharz, który otrzymał dwie gwiazdki Michelin (pierwszą w 2020 r., drugą w 2023 r.). W latach 2021 i 2022 znalazł się na liście 100 najlepszych kucharzy w rankingu The Best Chefs Award. Jest jurorem nowej edycji programu „MasterChef”. Wydał książkę z własnymi przepisami pt. „Fun dining” (Znak, 2024 r.).

Na zdjęciu – podczas codziennego podpisywania kart menu.
Kraków, 18 stycznia 2024 r.

Zrobiłem sobie kiedyś jakiś plan, ale udało mi się osiągnąć o wiele więcej, niż zakładałem, bo przecież ani pierwszej, ani drugiej gwiazdki w tym planie nie było. To oczywiście bardzo cieszy, daje więcej możliwości i pewności siebie. Ale nie myślałem, że teraz już nic nie muszę. Na odprawie z chłopakami mówię, że to dopiero początek tego, co się będzie działo. Zrobiliśmy dużo, ale czemu nie możemy zrobić jeszcze więcej?

Te dwie gwiazdki jakoś Cię zmieniły? Jesteś tym samym Przemkiem, którym byłeś wcześniej?

Musiałbyś spytać o to moich bliskich. Wydaje mi się, że nie aż tak bardzo, aczkolwiek na pewno jestem spokojniejszy wewnątrz. Myślę, że woda sodowa nie uderzyła mi do głowy. Wiem, że na pewno trzeba mieć więcej czasu, ale też wiem, że trzeba bardziej przykręcać śrubę, by być bardziej wydajnym i iść dalej. To mi ciągle sprawia dużo przyjemności, daje energię i nie pozwala spocząć na laurach.

A do tego jeszcze napisałeś książkę.

Ta książka jest dla ludzi, którzy ze mną pracują. Nie napisałem jej po to, żeby być jakimś *fancy* super-Przemkiem, co to i gotuje, i książki pisze. To jest po prostu „Fun dining”, czyli jedzenie, które chcemy jeść na co dzień. Część przepisów w niej zawartych pochodzi z naszej restauracji, z naszych lanczów, które jemy wspólnie przed rozpoczęciem serwisu. Zawarłem tu wszystko, co chciałem – od przepisów, poprzez zdjęcia pokazujące pracę w kuchni, prawdziwych ludzi, którzy są tu ze mną każdego dnia, aż po kolory okładki. Ale najważniejsi są właśnie ludzie – bez nich by tego nie było. Ta książka i to, że zostaną w niej już na zawsze, jest nagrodą za ich ciężką pracę.

A co z gotowaniem w domu? Nie masz dość?

Nie, bo w domu to jest relaks. Ale nie robię tego codziennie, bo nie mam czasu. Lubię bardzo proste potrawy, jak ryż z warzywami, owsiankę, wczoraj jadłem ogórkową z makaronem.

A czego nie lubisz?

Zupy pomidorowej z ryżem, wolę z makaronem czy kłuskami kładzionymi.

©® Rozmawiał JACEK TARAN



Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM

Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM

Rabka-Zdrój – 87,6 FM

www.radiokrakow.pl

STANISŁAW

Mancewicz:

Bez paniki



WYPADA SIĘ PRZYZNAĆ, ŻE LUBIMY CZYTAĆ opinie, wywiady i analizy na temat gotowości, czy jak kto woli, niegotowości naszego państwa na wojnę i zagładę, na kryzys i konflikt, zarówno lokalny, jak i globalny. Upodobanie wynika z obserwowanego przez nas od dość dawna powszechnie panującego pesymizmu związanego z bezsilnością wszechmocnego Polaka.

Na początek warto rzec – to oczywiste – że napaść na Polskę może się skończyć tylko koszmarną klęską, wynikającą – to oczywiste – ze zdrady sojuszników. Są to powszechne opinie, wypowiedziane głównie, ale nie tylko, anonimowo, przez internautów, pod literaturą na temat przyszłej wojny. Warto tu zauważyć, że w istocie zdrada sojuszników jest niejako wpisana na stałe w rozedrgane polskie poczucie niebezpieczeństwa, nie od dziś i nie od wczoraj, ale zapewne na zawsze. Nie będziemy tego rozwijać, choć warto może zaznaczyć, że zdrada sojuszników zwalnia nas z marzeń i wyobrażeń zwycięskich.

Staraliśmy się zbadać, kto ewentualnie zdradzi nas pierwszy, a kto tego raczej nie robi. Ranking wskazuje, że Anglicy z Francuzami sprzedadzą nas natychmiast, za czapkę gruszek. Zwłaszcza Francuzi, wobec których mamy bardzo niepochlebne opinie, poczynawszy od ich nabzdyczonej kuchni, drogich a kwaśnych win, skłonności do rozpusty, niehigienicznego seksu, na pokreślonym języku skończywszy. Amerykanie – popatrzymy – oddadzą nas później, choć tu statystyczny komentator, wieszczący przyszłość, się gubi. Nie bardzo wiadomo, co zrobić z Trumpem. Powiada on, że Europa ma sobie radzić sama, a on, Donald Trump, będzie zachęcał Putina do ataku na nią. Czy mówiąc to, wie, gdzie leży Polska? A może potraktuje

Polskę jako byt osobny, nieeuropejski, do bronienia przez Amerykanów się nadający? To by jakoś pasowało.

Polski przynigdy nie zdradzą Węgrzy, którzy nas uwielbiają i podziwiają. Przeczytaliśmy gdzieś, że miłują nas ze względu na „braterstwo broni”, co nas jednak solidnie zaskoczyło, bowiem nic w tym stylu od bardzo dawna nie miało miejsca. Rola Niemców – to ciekawe – nie jest jasna. Niewykluczone, że zajmą Szczecin i Wrocław, ale to może i dobrze.

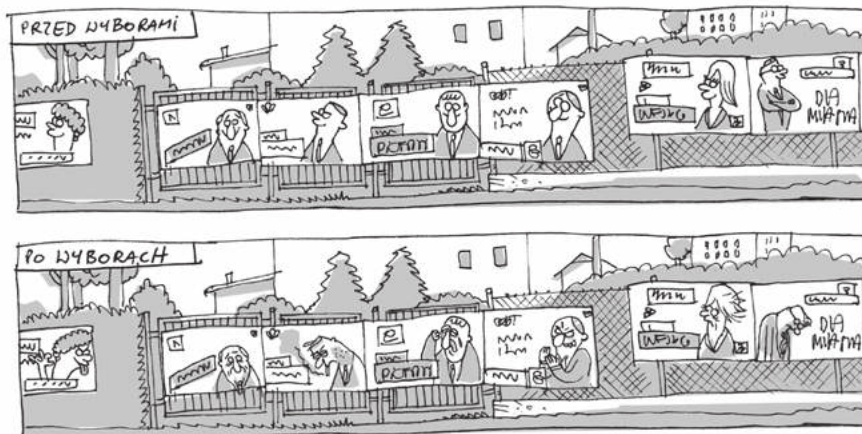
Oto skrót z geopolityki w sytuacji wybuchu wojny, widzianej oczami publicystów zawodowych i amatorów. Przejdźmy teraz do upiornej codzienności wojennej szarego Polaka, która także rysuje się co najmniej malowniczo.

Pośród dziesiątek materiałów nie znaleźliśmy ani jednego, w którym ktoś, ktokolwiek, od amatora po znawcę, dawałby nam szansę na przetrwanie w jako takim zdrowiu. Z treści tych generalnie wyciągnąć można wniosek, że w najlepszym wypadku, jeżeli w ogóle przeżyjemy, to tylko po to, by niebawem zemrzeć w rowie lub w piwnicy, z pragnienia, głodu, chorób, ran i zimna oraz całkowitej bezzadności władz. Jeżeli nie trafi nas bomba, to wykończy nas biegunka. Jeżeli chodzi o przewidywania dotyczące krajobrazu, to jego znaczącymi elementami będą nuklearne grzybki i grzyby, a aure i klimat dopełni sina poświata, chmury gazu i cuchnąca mgła, z niej zaś wyłonią się bandy rzezimieszków, Polak będzie jadł Polaka bez względu na różnice światopoglądowe. Przy świecach, ale nie dla nastroju, a z powodu braku prądu. Oto wszyscy, od lewa do prawa, wieszczą, że kraj nasz upadnie jak domek z kart, nie będzie wody, jedzenia ani lekarstw, że gdzieś na peryferiach tego konfliktu będą latać po próżnicy nieliczne samoloty NATO, warczyć przestarzałe czołgi Bundeswehry, szosy zaś będą zatłakane wszelakim żelastwem i tłumami ludzi w panice i hysterii, a rząd oddali się oczywiście na emigrację.

Rzec trzeba, że do snucia tego typu przepowiedni nie trzeba wiele talentu, sprzyja im sytuacja, ale i okoliczności. Jedna z nich jest osobliwa. Oto – na ile się orientujemy – poza Polską, w każdym kraju Europy stosowni urzędnicy powiedzieli głośno obywatelom, co mają włożyć do plecaka, zanim wojna wybuchnie. U nas tego, zdaje się, nie wolno zrobić z obawy przed wybuchem paniki. Paniczny strach przed paniką – widzimy w tym zjawisku spory potencjał do badań, by zacytować słowa pieśni: „póki my żyjemy...”.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Fundacja
Hospicjum
Proroka Eliasza

z szacunku dla życia

Naszych podopiecznych nie trzeba oswajać ze śmiercią, tylko z ludźmi

To już 13. rok naszej działalności z osobami przewlekłe i nieuleczalnie chorymi. Prowadzimy hospicjum domowe oraz stacjonarne na wiejskich terenach wschodniego Podlasia, świadcząc bezpłatną pomoc najbardziej potrzebującym w kresu życia. Na przestrzeni lat coraz częściej spotykamy się z nadużyciami wobec starszych, schorowanych pacjentów. Nie godzimy się na to! Chcemy zadbać o ich ostatnie chwile!

Trudne pierwsze spotkania

Pan Stanisław trafił do naszego hospicjum kilka miesięcy temu. Pierwsze spotkanie było trudne. Zmęczony chorobą, otumaniony lekami, ledwo mógł usiąść, ale nie to było najgorsze. Z daleka można było wyczuć przynębienie, rozżalenie, niechęć do ludzi, depresję w najgorszej z możliwych postaci. Ten smutek był tak dojmujący, że udzielał się nam wszystkim. Wiedzieliśmy, że miał złe doświadczenia z poprzednią placówką – wzdygał się na każdy nasz dotyk. – Natychmiast uczuliłem swój personel, że z tym pacjentem będziemy postępować „powoli”. Nie narzucając się zbyt, robiąc swoje, ale stojąc jakby trochę z boku. Będziemy tłumaczyć Panu Stanisławowi każdą rzecz, którą będziemy przy nim robić – zaczynając od badań, a skończywszy na czynnościach higienicznych czy karmieniu. Wiedziałem, że musimy dać mu dużo czasu, żeby oswoił się z nami, żeby uwierzył, że może być inaczej niż dotychczas, lepiej – mówi dr Paweł Grabowski, założyciel i lekarz w Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza.

Przywracać godność

Powoli, ze spokojem i właściwą empatią udało nam się zmienić nastawienie Pana Stanisława, dzięki czemu również jego organizm zaczął nabierać sił. W oczach pojawił się blask, narodziła się przyjaźń z Panem Tomaszem z łóżka obok. Teraz we dwóch na wózkach przemierzają korytarze hospicjum i wyjeżdżają na dwór. – Ostatnio widziałem, jak siedzą przed drzwiami z dziewczynami z biura i śmieją się, że nie mają opon zimowych na kołach swoich wózków – wspomina Doktor Paweł. Empatia, godność, poczucie zaopiekowania i taka zwykła życzliwość ludzka są czymś niezwykle ważnym na ostatnim etapie życia.

Oswajać nie ze śmiercią, a z ludźmi

Pana Stanisława nie trzeba było oswajać ze śmiercią, a z ludźmi. Wie, że umrze, że ten dzień nadejdzie niebawem. Najważniejsze dla niego, zresztą jak i dla wielu naszych podopiecznych, jest szacunek i empatia. Zaopiekowanie i godność, których zabrakło na etapie choroby oraz późniejszego pobytu w szpitalu.

– Wielu naszych podopiecznych doświadcza dramatycznych sytuacji w szpitalach, innych ośrodkach całodobowego pobytu, a nawet w domach. Widzimy to w ich oczach czy nastawieniu, z czasem zaczynają również mówić. Uważam, że najważniejsze, co powinniśmy, a nawet musimy zapewnić, to właśnie godne umieranie. Aby te ostatnie chwile były możliwie jak najlepsze, uwzględniały potrzeby i stan pacjenta – mówi doktor Paweł Grabowski.

Czy to wstyd „oddać” osobę nieuleczalnie chorą do hospicjum?

Nie ma mowy o żadnym oddawaniu, to jest powierzenie podopiecznego opiece hospicjum. TO NIE WSTYD! Nie każdy jest w stanie poradzić sobie z całodobową opieką, zwłaszcza medyczną. Nie każdy ma możliwość zapewnienia dobrych warunków w domu. Niejednokrotnie sami podopieczni nie chcą być ciężarem dla nikogo z domowników – to wpędza ich w poczucie winy, zależności, wstydu, a to z kolei powoduje pogorszenie stanu psychicznego chorego. Poczucie winy pacjenta oraz irracjonalne poczucie wstydu rodziny, że nie podołali opiece – to wszystko powoduje wiele frustracji w relacjach rodzinnych.

Hospicjum to dalej życie!

– Celebруем życie, dopóki się da. Obchodzimy święta Bożego Narodzenia zasiadając przy wspólnym stole, dzieląc się opłatkiem lub prosforą. Są prezenty i wspólne śpiewanie kolęd. Obchodzimy urodziny z naszymi pacjentami. Przed nami Wielkanoc, na stole nie zabranie święconych jajek i drobnych upominków – mówi dr Paweł Grabowski.

Naszą rolą jest służyć. Sprawić, aby te ostatnie chwile, dni, miesiące, lata były naprawdę dobrym umieraniem, bez bólu, w poczuciu godności i miłości, na jaką zasługują. Nasza praca nie kończy się tylko na uśmierzaniu bólu i fachowej opiece medycznej. Dajemy bliskość, cierpliwość, rozmowę – to, czego najbardziej potrzeba na ostatnim etapie życia.

Hospicjum na wsi

Mieszkańcy wsi mają średnio 2-2,5 razy gorszy dostęp do opieki zdrowotnej niż mieszkańcy miast. Jeszcze kilkanaście lat temu gospodarze mieli po 60 lat. Radzili sobie i byli dumni z dzieci, które wykształcili i które mieszkają i pracują w dużych miastach. Teraz mają 80+, często są już sami i ciężko chorzy. Wieś się wyludnia, starzejące się społeczeństwo, brak sklepów, aptek, komunikacji oraz ograniczony dostęp do opieki medycznej sprawia, że nasi podopieczni pozostawieni są sami sobie. Od ponad 12 lat prowadzimy hospicjum domowe na wiejskich terenach wschodniego Podlasia, a w lipcu 2022 roku otworzyliśmy wiejskie hospicjum w Makówce (gmina Narew).

Jak to robimy?

Objęliśmy bezpłatną opieką hospicyjną ponad 750 osób nieuleczalnie chorych w ich domach. Odwiedzamy naszych podopiecznych, wykonujemy podstawowe badania, zabiegi rehabilitacyjne i medyczne. Dostarczamy leki, sprzęt rehabilitacyjny i środki higieniczne. Służymy im wsparciem psychologicznym i towarzyszymy im do ostatnich chwil. Miesięcznie personel nasz pokonuje około 9 tys. km, aby dotrzeć do wszystkich potrzebujących.

Pobyt w hospicjum stacjonarnym również jest całkowicie bezpłatny dla podopiecznego. Może się wydawać, że skoro budynek stanął, to już po problemie – dalej pobyt pacjenta finansuje system opieki zdrowotnej. Niestety tak różowo nie jest: hospicjum dysponuje 28 łózkami, ale kontrakt z NFZ zabezpiecza finansowo tylko część kosztów. Rachunki za media, transport, nawet leki są poza tym wsparciem. – Dlatego, żeby zapewnić taką pomoc, na którą zasługuje każdy chory, w dodatku przez lata placący składki na opiekę zdrowotną, potrzebujemy więcej – nie ukrywa dr Paweł.

1.5% z miłości do ostatnich chwil

To właśnie dzięki darczyńcom możemy pełnić swoją posługę i zadbać o ostatnie chwile naszych podopiecznych. Dzięki wpłatom płynącym prosto z serca możemy działać, pomagając nie tylko podopiecznym, ale też rodzinom w tym trudnym czasie. Dlatego prosimy, pamiętaj o nas przy przekazywaniu 1,5% swojego podatku z miłości do ostatnich chwil. Ostatnie chwile naszych podopiecznych są tak samo ważne jak każde inne. Pomóż nam o nie zadbać!

PRZEKAŻ 1,5% z miłości do ostatnich chwil!

KRS 0000 328837 www.hospicjumeliasz.pl/1procent/



ERGO Hestia z **najwyższym ratingiem**
w polskich ubezpieczeniach

AAA-

**rating siły
finansowej**

**rating wiarygodności
kredytowej**

**i stabilną perspektywą
według agencji Fitch**